



Организаціонный  
КОМИТЕТ  
ОЛИМПИЙСКИХ  
ИГР 1980 г.  
в МОСКВЕ

COMITE  
D'ORGANISATION  
DES JEUX  
OLYMPIQUES DE 1980  
A MOSCOU

ORGANIZING  
COMMITTEE  
OF THE 1980  
OLYMPIC GAMES  
IN MOSCOW

12 марта

1980 г.

№ 17-31-СК

Академия физического воспитания  
во Вроцлаве

Проректору по науке

Д-ру Леонардо ШИМАНСКОМУ

Уважаемый тов. Шиманский!

С благодарностью подтверждаем получение русско-польского спортивного словаря, подготовленного преподавателем кафедры иностранных языков Вашей Академии Збигневом Федусом. Данное пособие будет использовано нами при подготовке различных материалов, связанных с проведением Олимпийских игр в Москве.

Просим передать нашу глубокую признательность автору словаря Збигневу Федусу.

С уважением,

Заместитель Управляющего  
делами

А. К. Носадский

# Słownik - bestseller nie tylko dla sportowców

**PRZYGOTOWYWANIE** podręcznych słowników dla sportowców reprezentujących nasze barwy na igrzyskach olimpijskich stało się już tradycją. Dotychczas były to jednak wydawnictwa miniaturowe, które tylko częściowo mogły spełnić swoją rolę.

Na rok przed Moskiewską Olimpiadą we Wrocławiu ukazał się bardzo starannie opracowany podręczny rosyjsko-polski słownik sportowy, przygotowany przez lektora języka rosyjskiego Wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego i starszego wykładowcę Studiów Języków Obcych we Wrocławiu mgr. Zbigniewa Fedusa.

Wrocławski językoznawca



## Pokrowiec na jajko

Nie wszyscy lubią np. w czasie wycieczki spożywać zimne jajka na twardo. Z myślą o tych bardziej wybrednych jedna z duńskich firm wyprodukowała proste urządzenie, które utrzymuje ugotowane jajko w żądanej temperaturze przez kilka godzin. Jest to dwuczłonowy izolowany pojemnik, który pasuje do jajka o każdym wymiarach. Thermal Egg ma plastikową zewnętrzną powłokę i wewnętrzną ze styrenu. Jest bardzo poręczny w użyciu, może być trzymany w kieszeni marynarki lub w sakiewce. Termiczny pokrowiec na jajko kosztuje 2 dolary.

## Żony więcej

Jak pociąga prasa, każdego dnia ucieka w Japonii od młotów 35 ton i tylko część z nich odnajduje się po pewnym czasie. Kobiety uciekają głównie z powodu nieudanych małżeństw z brutalami i pijakami.

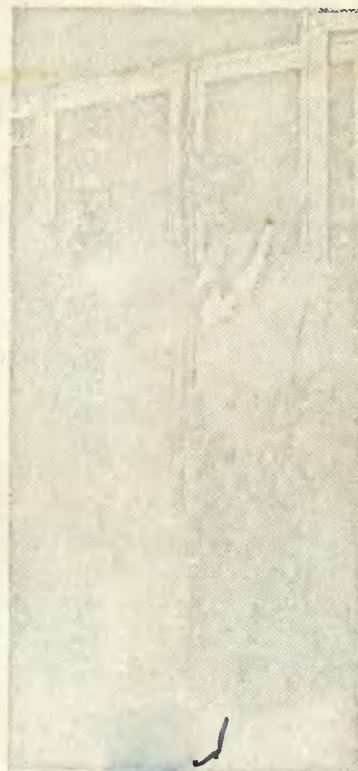
"Aukcja"

pracował nad słownikiem przez blisko 8 lat. Zebrał 22 tysiące terminów i skrótów z dziedziny kultury fizycznej, turystyki i rekreacji, a także dyscyplin z nimi związanych. Najczęściej w słowniku potraktowana jest terminologia olimpijska w lekkiej atletyce i grach zespołowych. Praca mgr. Zbigniewa Fedusa zawiera jednak także obszerną terminologię z innych dziedzin sportu. Słownik ukazał się najpierw w wersji rosyjsko-polskiej. Obecnie autor pracuje nad wersją polsko-rosyjską. Wydawnictwo ukazało się na razie w formie skrytu Wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Będzie je można zakupić w księgarniach, udostępnione też zostanie szero

ko członkiem polskiej ekipy olimpijskiej na Igrzyskach w Moskwie. Ponieważ ilość egzemplarzy pierwszego wydania wynosi zaledwie tysiąc, słownik już stał się prawdziwym bestsellerem. Odda on największe usługi pierwszym wszystkim sportowcom, trenerom, działaczom, kibicom, ale także tłumaczom.

Dotychczas bowiem nie było w Polsce tego typu szczegółowego wydawnictwa, poświęconego tematyce sportowej. W przygotowaniu jest wprawdzie obecnie encyklopedia sportowa, ale ukazać się ona dopiero za kilka lat.

WŁ. SCISŁOWSKI



## Wł. Scisłowski

### Ewolucja

Dziadek gości cunil, od przyjęcia nie stronił, pokazywał wszystkim swą kolekcję broni.

Ojciec nie był gorszy, nie skąpił pieniędzy — z dumą demonstrował płożną przednią pedzi.

Syn panny zapraszał do swojej przystani, by im pokazywać album ze znaczkami.

A wnuk z artystycznych wyhyty kompleksów

*Empire of the Roman*

# WROCŁAWSKI SŁOWNIK NA OLIMPIADĘ

Rok przed olimpiadą ukazał się we Wrocławiu **PODRĘCZNY ROSYJSKO-POLSKI SŁOWNIK SPORTOWY**, pierwszy tego typu słownik w Polsce. Jego autorem jest mgr **ZBIGNIEW FEDUS**, lektor języka rosyjskiego wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego, starszy wykładowca tamtejszego Studium Języków Obcych.

— Czy słownik przygotowany był specjalnie na olimpiadę?

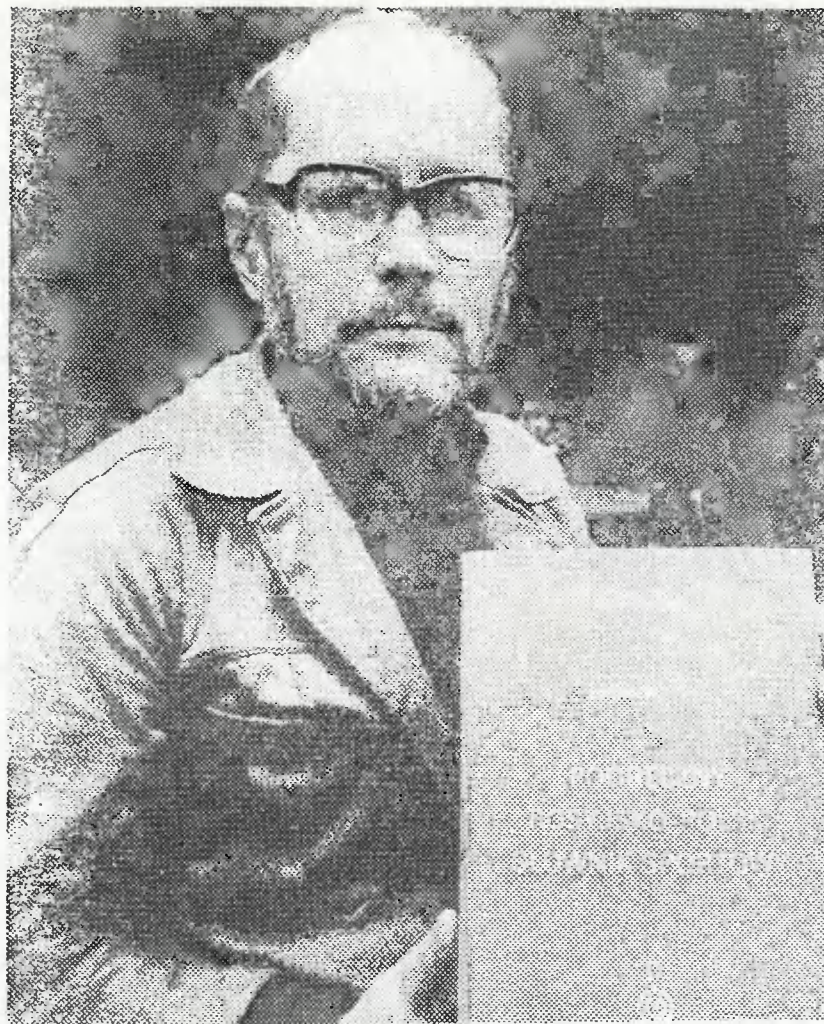
— Ależ nie, to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności, że ukazał się w roku przedolimpijskim. Zabrałem się do tego słownika osiem lat temu. W jakiejś codziennej rozmowie na uczelni prof. Barański mówił mi o kłopotach, jakie mają ludzie związani z kulturą fizyczną i sportem z tłumaczeniami tekstów rosyjskich. Ile jest nieporozumień i błędnych tłumaczeń! „Powinien pan zrobić dla nas specjalny słownik sportowy — powiedział — chociażby na 2—3 tysiące najczęściej używanych słów...”.

— Ile słów zawiera słownik, który Pan właśnie wydał?

— 22 tysiące terminów i skrótów z zakresu sportu, kultury fizycznej, odpoczynku i turystyki a także nauk pokrewnych.

— Z ilu dyscyplin sportowych?

(Dokończenie na str. 13)



Autor, mgr Zbigniew Fedus ze swoim „Słownikiem”.

Fot. W. Dąbicki

Муровані Мухоморов 4Р  
29-30 04 79.в.

# WROCLAWSKI SLOWNIK NA OLIMPIADE

(Dokończenie ze str. 8—9)

— 130. Najszerzej oczywiście potraktowana jest w słowniku terminologia olimpijskich dyscyplin sportu, przede wszystkim lekkiej atletyki i gier zespołowych. Ale jest rzecz jasna także tenis, alpinizm, bojery, bilard i wiele innych dyscyplin neolimpijskich.

— Nie dziwię się, że zbierał pan materiał przez 8 lat!

— I już dziś widzę, że zebrałem dopiero połowę. I już dziś mi się marzy nie podręczny, ale duży słownik rosyjsko-polski, oczywiście sportowy, z 40 tysiącami haseł.

— I już się Pan zabrał do nowej wersji dopiero co wydanej, jeszcze cieplej książki?!

— Nie, bo przedtem muszę wydać mój słownik w wersji polsko-rosyjskiej. Sądzę że za rok, najdalej dwa, będzie gotowy.

— Czy takie słowniki wydaje się w dużym nakładzie?

— Nie wiem jak inne, mój wyszedł w nakładzie 1000 egzemplarzy. Ukazał się dzięki aktywności komitetu wydawni-

czego wrocławskiej AWF, na zasadzie skryptu, który oczywiście można normalnie kupić w księgarni.

— Bo przecież nie jest przeznaczony tylko dla pracowników naukowych i studentów AWF?

— Przeznaczony jest dla wszystkich osób zainteresowanych kulturą fizyczną. A jeżeli weźmiemy pod uwagę miejsce sportu w naszym życiu, zakres zainteresowań sportowych społeczeństwa, to uświadomimy sobie, jak wiele jest tych osób. Myślę, że taki słownik zainteresuje także tłumacza, dziennikarza, trenera, sportowca, wiernego kibica...

— Co było najtrudniejsze w pracy nad słownikiem?

— Hasła krzyżujące się znaczeniowo, a jest takich mnóstwo. Często te same terminy reprezentują różne znaczenia i różny sens w różnych dziedzinach. Potrzebna jest wtedy nie tylko erudycja, ale i intuicja. No i fachowa porada. Wszyscy specjaliści, których prosiłem o konsultację, z nadzwyczajną życzliwością pomagali mi w ustaleniu najtrafniejszych tłumaczeń.

— Zajrzałam do słownika i zobaczyłam... skróty.

— O, to też była niezła łamigłówka na parę miesięcy! Ale udało mi się w końcu opracować zestaw konwencjonalnych skrótów, który obejmuje nazewnictwo stowarzyszeń, klubów, instytucji sportowych i turystycznych w skali światowej. Jest wersja rosyjska i tłumaczenie polskie. A żeby wydawnictwo było pełniejsze, dołączyłem jeszcze literaturę przedmiotu: ważniejsze polskie i rosyjskie słowniki specjalistyczne, instrukcje, informatory, przewodniki itd.

— Co czuje autor, któremu ukazanie się książki kończy ośmioletnią szperania, pisanie, porównywanie, porównywanie...

— Wdzięczność dla kilkudziesięciu osób, które mi pomogły znaleźć sens tysięcy słów. I chęć dalszej pracy, dalszego poszukiwania słów i ich sensu.

Notowała: A. GARSKA

## Słownik – bestseller nie tylko dla sportowców

Przed moskiewską olimpiadą ukazał się we Wrocławiu pierwszy w kraju — podręczny rosyjsko-polski słownik sportowy. Autor tej pracy, mgr Zbigniew Fedus, starszy wykładowca w Studium Języków Obcych AWF, przez osiem lat zbierał materiały i na 400 stronach swego skryptu zgromadził 22 tysiące terminów i skrótów z zakresu sportu, kultury fizycznej, odpoczynku i turystyki, a także nauk pokrewnych.

Po dwóch latach zostało już wydane, również w formie

skryptu, nowe opracowanie mgr. Z. Fedusa, na razie tylko w 500 egzemplarzach. Jest to wersja polsko-rosyjska tego słownika, zawiera już 30 tysięcy terminów i skrótów. Doszły hasła, dotyczące na przykład meteorologii, psychologii, anatomii, krajobrazu.

Doc. dr hab. Stanisław Kochman z Uniwersytetu Gdańskiego, recenzując tę pracę, napisał m.in.: „Słownik jest nie tylko owocem dojrzałości teoretycznej w dziedzinie leksykografii, jest to owoc zdumiewającej wręcz

pracowitości. W tak krótkim czasie, jaki dzieli oba słowniki, zebrał autor materiał imponujący. Piękny i bardzo potrzebny słownik, polecam tę pozycję do druku w wydawnictwie naukowym”.

— Do kogo jest adresowany ten słownik? — zapytałem autora — mgr. Zbigniewa Fedusa. — Do szerokiego odbiorcy, zainteresowanego sportem, a przede wszystkim do studentów, pracowników naukowych, także do słuchaczy uczelni wojskowych. Sądzę, że przyda się również specjalistom radzieckim, korzystającym z literatury polskiej. Jest to słownik dydaktyczny. Odczuwa się brak takiej pozycji na rynku wydawniczym.

— A nad czym pan teraz pracuje? — Rozszerzam liczbę terminów w obu wersjach tego

słownika. Korzystając z okazji, chciałbym gorąco podziękować za wielką pomoc fachowcom z różnych dyscyplin sportu z AWF i trenerom z klubów sportowych, a także uczelniom wojskowym. Noszę się z zamiarem przystąpienia do pracy nad pięcioletnim słownikiem sportowym dla studentów. Byłoby to wydawnictwo w językach polskim, rosyjskim, angielskim, francuskim i niemieckim.

Gdzie można nabyć podręczne słowniki sportowe rosyjsko-polski i polsko-rosyjski? — W księgarniach na razie ich nie ma. Pojedyncze egzemplarze tych skryptów są jeszcze do nabycia w dyrekcji AWF na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu. Polecam je bibliotekom i zainteresowanym tą sprawą instytucjom.

T. Dol.

M. J. Czarna Dob. + M. 19.02.82  
Korzystał z egzemplarza 14.02.83

Sport 66.08.80

# Słownik - bestseller

Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu wydała niezwykle cenną pozycję: „podreczny rosyjsko-polski słownik sportowy”, którego autorem jest starszy wykładowca języka rosyjskiego tej uczelni Zbigniew Fedus. Na ponad 400 stronach zgromadzono blisko 22 tysiące terminów i zwrotów ze 120 różnych dyscyplin sportu. Autor przez 8 lat gromadził materiały. Najwięcej kłopotów sprawiały mu terminy z dzu-  
do.

Starannie wydany słownik ukazał się w nakładzie zaledwie 1000 egzemplarzy, co jest kroplą w morzu potrzeb. Powinien on się znaleźć w bibliotekach większości naszych trenerów i instruktorów oraz uczestników zbliżającej się olimpiady w Moskwie, nie mówiąc już o studentach AWF, z myślą o których został wydany. Bardzo pochlebnie pisał o dziele Zbigniew Fedusa „Sowiecki Sport”.

Gratulując autorowi bardzo udanego dzieła mamy nadzieję, że jego pracę zainteresują się powołane ku temu wydawnictwa i podreczny rosyjsko-polski słownik sportowy zostanie wydany w większym nakładzie. Warto zasignalizować, że Zbigniew Fedus pracuje nad słownikiem sportowym polsko-rosyjskim i ma również w planie napisanie kilku innych podreczników słownika sportowego.

(1)

# Спорт

## ПРЕДОЛИМПИЙСКОЕ ИЗДАНИЕ

В Польше стало традицией готовить словари для спортсменов, выступающих в составе национальной команды на Олимпийских играх. Однако до сих пор издаваемые для этих целей словари были минимальными и только частично выполняли свою прямую задачу.

За год до Олимпиады-80 во Вроцлаве вышла в свет русско-польский спортивный словарь. Над ним восемь лет работал старший преподаватель курсов иностранной записки во Вроцлаве и преподаватель русского языка Вроцлавской академии физического воспитания Збигнев Федус. Он собрал и систематизировал 22 тысячи терминов и оборотов, относящихся к спорту, туризму, физическому воспитанию.

Одновременно внимание уделено терминологии, связанной с Олимпийскими играми, и прежде всего с легкой атлетикой и игровыми видами спорта. Словарь Збигнева Федуса включает также обширные сведения по другим видам спорта.

Вначале вышло издание русско-польского варианта. В настоящее время автор работает над польско-русским словарем и планирует закончить его в течение двух лет. Пока словарь издан небольшим тиражом — всего тысяча экземпляров — и быстро стал библиографической редкостью. Он был предназначен для польской олимпийской команды, специалистов. Теперь планируется выпустить его большим тиражом.

Русско-польский словарь на спортивную тематику получил высокую оценку спортсменов, тренеров, любителей спорта, а также переводчиков. Подобное серьезное издание в Польше вышло впервые.

Збигнев КОСЕК.  
ИНТЕРПРЕСС — ТАСС.  
ВАРШАВА.



### ВСЕ С МЕДАЛЯМИ



ЛОНДОН. 5 ноября. (Корр. ТАСС). С медалями возвращаются из Восточной Европы семь советских спортсменов, принявших участие в чемпионате Европы среди юниоров, который завершился в швейцарском городе Эвиан-ле-Бан.

В турнире участвовал Борис из болельщиков 33 страны. Наши молодые мастера добились успеха: больше всего золотых медалей — три, а также по две серебряных и бронзовых, шестой и командную победу.

Получившие в Эвиане Спиритов из Курма и Гансманн победили болгарина Колана, немца Валера Кристиана из Киллера, немца Дорозко из Киллера и Олгоша из ГАР. Золотый медали удостоился и полуфиналист Иван Стратак из Киллера, победивший немца Гелера.

Второе место занял болгарин Юри Соман (до 30 кг) и Владимир Иваница из Перма (до 78 кг), третье — Владимир Кобан из Эвиана (до 71 кг) и Валери Драганов из Бранко (до 86 кг).

### ПО СРЕДНЕЙ ТРАССЕ



СВЕРДЛОВСК. 5 ноября. (По телефону). У поселка Кизилки на уральском Севере прошёл впервые в этом зимнем сезоне соревнования скандинавской ходьбы области. Старты происходились 62-й годовщине Великого Октября.

Более ста лыжников выдвинулись на трассе, протяжённости во высоте 1000 м над уровнем моря. 23-градусный мороз с ветром делал коррективы в регламент соревнования — пришлось урезать дистанцию.

Женщины соревновались только на 3 км, мужчины бежали 6 км. Победою одержательно Анна Мария Н. Самоукина — 11:07 и В. Меркулова (ШВСМ) — 14:51. У юниоров первым был С. Шемелева («Труд») — 11:42. У юниорок победила динамовка Б. Новоселов — 21:42.

М. САМОУКИНА,  
заслуженная тренер РСФСР.

17-ти МИНУТ



ТАМБУРЕНТ и др. (По телефону) Во время соревнований...

## Алексей Осипович РОМАНОВ

На 78-м году жизни скончался один из авторитетов советского спортивного движения, член КПСС, участник Великой Отечественной войны, прославленный победитель олимпийского марафона Алексей Осипович Романов.

Начав трудиться в детстве, в 1926 году А. О. Романов окончил среднюю школу с французской культурой и спортом. Затем он ряд десятилетиями занимался в области физического воспитания на территории физической культуры и спорта, руководил областной комитетом.

Возвращаясь А. О. Романов много сил и энергии уделял работе на территории и методички спорта. Он участвовал в работе областного комитета физической культуры, руководил детскими секциями. Издал методическое пособие.

С момента завершения своей спортивной деятельности в 1940 году занимался общественной работой в области спорта. Он участвовал в работе областного комитета физической культуры и спорта в 1971 году А. О. Романов — лауреат медалей Международной олимпиады молодежи.

Последняя роль в общественной деятельности А. О. Романов была тесно связана со спортивной журналистикой.

Алексей Осипович был чутким, внимательным и искренним человеком, предельно внимательным и обремененным душой.

Заслуги А. О. Романова будут отмечены высшим правительственным орденом — орденом «Знак Почета», медалями.

Состаль семья об Алексее Осиповиче Романове никогда не забудет. Он оставил след в сердцах.

(По телефону)

### СТО ВНИМАНИЕ



ИТЭСОН. Методика СССР. 4-го издания. 1974 г. 120 стр. 1 руб. 50 коп. М — Москва. Издательство «Физкультура и спорт». Страницы: 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100.

НАЛЬСОН МАТТЕ. — 1974 г. в литературе старший тренер сборной СССР. Тираж...

11.04.07 21.23.05 80

Krzysztof Bryła-Luboszy  
Usta i Ręce Robotniczej

# NORWID: ODPOWIEDNIE DAĆ RZECZY - SŁOWO

ROZMOWA Z MGR. ZBIGNIEWEM FEDUSEM Z WROCŁAWSKIEJ AWF

— Czy można mówić o „języku sportowym”?

— Oczywiście, tak jak się mówi o języku studenckim, języku myśliwskim, języku młodzieżowym. Mnie w języku sportowym najbardziej interesuje słownictwo.

— Tak, znam Pana dwa słowniki. Podręczny słownik sportowy polsko-rosyjski zawiera 30 tys. haseł, rosyjsko-polski 22 tysiące. Wiem, że pracuje Pan teraz nad ogromnym słownikiem sportowym polsko - angielsko - francusko-niemiecko - rosyjskim.

— Ależ nie ja sam, chociaż oczywiście przygotowuję już materiały. Wkrótce poproszę do współpracy kolegów językoznawców.

— Czy polskie słownictwo sportowe jest bogate, precyzyjne, czy wystarcza na określenie wszystkiego, co dzieje się w sporcie

— Niestety, nie. Brakuje nam wielu słów.

— Na przykład?

— No choćby zawodniczka, która skacze. Kto, to jest — skoczkini? A jak powiedzieć zgrabnie, bez opisywania, że to jest właśnie taka zawodniczka, która skacze w dal albo wwyż? Jest jeszcze jeden aspekt nieprecyzyjności polskiego języka sportowego — regionalizm. Specjalista określonej dyscypliny sportu z jednego ośrodka naukowego nie zawsze właściwie rozumie specjalistę tej samej dyscypliny z innego ośrodka. No, ale to szczegół, wróćmy do spraw dla

Pani ciekawszych, to - znaczy przyczyn niedoskonałości naszego języka sportowego. Jedna jest chyba zasadnicza: nauka o sporcie jest bardzo młoda.

— Ależ sport jest bardzo stary!

— Oczywiście, są dyscypliny sportowe sięgające starożytności. Nawet pocziwa piłka nożna ma już 2300 lat, chociaż oczywiście współczesnego futbolu jest Anglia. Ale przecież powstaje wiele dyscyplin nowych. Proszę zwrócić uwagę na napór tych krajów i narodów, które przeżywają właśnie szybki rozwój. Lansują swoją kulturę a także swoje gry. Często zresztą oparte na starych tradycjach i dość zabawnie uno-

wocześnione. Weźmy za przykład bogate i rozwijające się kraje Azji. Jak mamy nazywać tamtejszą grę, coś w rodzaju badmintonu w wodzie? Albo jeszcze lepiej: jak nazwać grę w piłkę na słoniach? Czy sloniobol? Musimy posługiwać się albo opisem, albo tworzyć kalkę.

— Co to znaczy?

— Kalkami słowotwórczymi są nowo utworzone wyrazy, które ściśle powielają strukturę obcego modelu słowotwórczego. Na przykład: przedskok, międzybiegi, wielobój, trójkrok, przeciwiwskręt, odboczek...

— Można też szukać rdzennie polskiego.

— Oczywiście. I będzie to znowu słowo nieznanne, zupełnie nowe. Kto ma je wymyśleć, spopularyzować, kto podjąć decyzję. Ale że w piłkę na słoniach grywać prawdopodob-

nie nie będziemy, z tym przynajmniej zmartwienie niewielkie. Do migawki w TV wystarczy opis.

— Nasze słownictwo sportowe opiera się w dużym stopniu na zapożyczeniach. Najwięcej chyba z angielskiego?

— Słownictwo sportowe pochodzi na ogół z tego kraju, z którego przywędrował do nas dany sport. Przykłady angielskie: bobsleje, brydż, golf, hokej, badminton, tenis...

— Przykłady francuskie?

— Bilard, floret, moto-cross, alpinizm, totalizator, repasaż, champion — mistrz, galop, parcour...

— Jaki sport kojarzy nam się z językiem włoskim?

— Przed wszystkim szermierka. Tempo szermiercze, punta, finta, wolta.

— A więc to sprawa „wykształcenia” społeczeństwa w danej dyscyplinie sportu?

— Tak, sprawozdania z meczów piłki nożnej są z pewnością zrozumiałe dla wszystkich. W tej dziedzinie wiedza społeczeństwa jest dość duża.

— Wypadaloby rzecz o zapożyczeniach zakończyć najstarszymi zapożyczeniami z greki i łaciny.

— Bo też są to słowa podstawowe, typu stadion, olimpiada, atletyka, akrobatyka itd.

— Z jakich krajów przychodzą do nas obecnie nowe określenia sportowe?

— To na ogół zależy od tego, w jakim kraju określona dyscyplina rozwija się najszybciej. Dla przykładu — gimnastyka w Japonii i ZSRR. Na nowe działania muszą powstać nowe określenia.

— Zawsze są kłopoty z lyżwiarstwem figurowym...

— Bo tam często występuje słownictwo odmienne. Jeżeli

na to, że tam znajdę opracowaną starannie polską terminologię sportowego języka naukowego.

— To jest język aż naukowy?

— Bo nie mówimy o żargonie sportowym, o tym slangu, jakim posługują się zawodnicy i trenerzy w szatniach.

— Jaki sport ma polską proveniencję i polskie nazwy?

— Jesteśmy właśnie świadkami narodzin w Polsce nowej dyscypliny sportowej: ringo. I proszę zwrócić uwagę — nazwa pozornie uniwersalna, a jaka kłopotliwa. Bo ten sam problem: jak nazwać człowieka uprawiającego tę dyscyplinę? Ringowiec? Szkoda, że nowe określenia powstają bez porady językoznawcy! Jeszcze gorzej z pania, która gra w ringo, jak ją określić jednym słowem? W ogóle z paniami w

# mówiąc językiem sportowym...

— Z językiem niemieckim?

— Trochę narciarstwa — szus, sztolce, mulda, trochę jeździectwa choćby folblut. Jest też uniwersalny fuks. Z niemieckiego mamy liczne kalki językowe, o których już mówiliśmy: przedbieg, przedskoczek itd.

— Mamy słowa skandynawskie?

— Tak, choć niewiele. Związane są rzecz jasna z zimowymi dyscyplinami sportowymi. A więc slalom, telemark, kristiania, skikjoring.

— Czy jest dyscyplina sportowa, która ma wyłącznie słownictwo obce?

— Tak, całe dżudo. Przejęliśmy od początku do końca terminologię japońską. Rezultat jest taki, że gdyby sprawozdawca nazywał prawidłowo i fachowo wszystkie chwyt i rzuty, słuchacz nie obeznany bliżej z dżudo nic by nie rozumiał.

szczyty gór otrzymują nazwy od zdobywców, to uznano za słuszone nazywać nowe skoki nazwiskiem ich pierwszych wykonawców. Stąd lutze i axle.

— W polskim języku sportowym mamy często do czynienia z dubletami terminologicznymi. Zapożyczenia obok terminów sportowych polskich: futbol i piłka nożna, badminton i kometka. Które Pan woli?

— Oczywiście formy rdzennie polskie. Chociaż nie zawsze to wychodzi na dobre. Weźmy już za przykład tę kometkę. Najlepiej by chyba było, gdyby kometka była grą wczasową a badminton sportem wyczynowym. Bo jak nazwać zawodnika uprawiającego ten sport? Jak nazwać badmintonistę grającego w kometkę? Cieszę się, że wkrótce ukaże się polska encyklopedia sportowa. Liczę

sporcie jest mnóstwo kłopotów. Mówiliśmy już o skoczkini, moglibyśmy porozmawiać o pani nurek, o bokserce...

— Nieprecyzyjność polskiego języka sportowego najczęściej kłopotów sprawia chyba sprawozdawcom sportowym.

— Tak, sprawozdanie ma toczyć się szybko, nie ma czasu na zawile określenia, słowa powinny być celne. Wielki to kłopot, jeśli sprawozdawca ciągle musi sięgać do opisów.

— Jeśli Pan jest zajęty słuchaniem sprawozdania pod kątem języka a przede wszystkim słownictwa, to ma Pan chyba kłopoty ze śledzeniem samej imprezy sportowej?

— Ależ ja się imprezami sportowymi w ogóle nie interesuję!

Rozmawiała:  
AGNIESZKA GARSKA



Wydanie nr 13 02 1988

# Słownik Zbigniewa Fedusa

**Z**BIGNIEWA FEDUSA nie trzeba szeroko propagować w naszym piśmie, ponieważ od dawna znają go Czytelnicy „Wiadomości” zarówno z twórczości oryginalnej, jak i z obszernego dorobku w dziedzinie tłumaczeń i opracowań z języka rosyjskiego. Współpraca trwa już kilkanaście lat. Warto dodać, że podstawową pracą p. Zbigniewa jest prowadzenie lektoratu języka rosyjskiego w Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Wspominam o tym dlatego, że trafił do moich rąk grubaśny tom „Podręcznego rosyjsko-polskiego słownika sportowego”, którego autorem jest właśnie Zbigniew Fedus. O jego słowniku, na przygotowanie którego poświęcił osiem lat pracy, ukazały się już recenzje zarówno w prasie codziennej, jak też w pismach specjalistycznych. Recenzje, co warto podkreślić, entuzjastyczne. W tytułach znaleźliśmy i taki: „Słownik bestseller nie tylko dla sportowców” („Express Poznański”).

Książkę odnotowało czasopismo radzieckie „Sowietский Sport” pod tytułem „Przedolimpijskie wydanie”, wydając na pierwszy plan jego wartość w dziedzinie terminologii olimpijskiej oraz jego wysoką wartość dla sportowców, trenerów, wykładowców na uczelniach.

W słowniku nawet największy laik w dziedzinie sportu, stawiający pierwsze kroki w nauce języka rosyjskiego, znajdzie smakowite kąski, które osłodzią mu nużącą i jednostajną drogę

wkuwania słówek i zwrotów. Polak, gdy się czyzy rosyjskiego, jest przekonany, że zna ogromną ilość obcych przecież słów, ale już z uwagą powinien pamiętać, że „diwan” to nie dywan,



Fot. Marek Grotowski

lecz kanapa, że „kawior” to właśnie dywan, a nie przysmak z rybich jajeczek. Ze słownika Fedusa też się przekonamy, że słabo znamy ten język: „zabieg” nie ma nic wspólnego z lekarzem, a oznacza po prostu „bieg” (np. na 100 m) a „zajeżd” to nie gospoda, lecz „wyciąg, gontwa”. Zdumiało mnie też „tumannoje orudie” niby jakieś „mgliste działo”, co znaczy po prostu ślepy wystrzał. Choć to drobiazg, nie mogg się powstrzymać, by nie wytknąć, że w procesie produkcji nie ustrzeżono się błędów: jeden z nich to na str. 93 „jegiel” zamiast „jegier”. Słowo to ograniczono do pojęcia „strażnik łowiecki”, a znaczy przecież ono i tyle, co „ żołnierz, strzelec” i tyle, co myśliwy. Ale może w sprawie jest ważniejszy „strażnik łowiecki”, by pilnował (słusznie!) resztek zwierzyzny.

Oczywiście, zdarza się to w najlepszych wydawnictwach, i nie moim zadaniem jest wyszukiwanie dziury w całym. A cokolwiek to 22 tysiące terminów i skrótów! Raz jeszcze tylko podkreślając wagę tej arcypożytecznej książki, warto pamiętać, iż jest to dzieło piomerskie. Autorowi należy za nie gorąco podziękować.

Nie wiem natomiast, jak właściwie ustosunkować się do wysokości nakładu słownika, który osiągnął aż... tysiąc egzemplarzy! Panowie, czy to żart, czy tylko może próbny balon, sondujący, jak publiczność przyjmie słownik. Odpowiedź chyba jest jasna: trza szykować nowy nakład!

Aleksander Olek

*Aleksander Olek*

Nipponensis

By public spectacle for the  
same night to 15. 12. 81 in the  
place of the night in  
the social economy

23.05. 1994 r.

SŁOWNIK DLA SPORTOWCÓW

# Zapomniany bestseller

Rok przed Igrzyskami olimpijskimi w Moskwie, w 1979 roku, Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu wydała pierwszy w kraju podręczny rosyjsko-polski słownik sportowy. Jego rozszerzona wersja, owoc 18 lat pracy Zbigniewa Fedusa, do tej pory czeka na opublikowanie.

Pierwsze wydanie – wynik osiemnastoletniej pracy autora, dziś emerytowanego pracownika Studium Języków Obcych przy AWF-ie – składało się z 22 tys. terminów i skrótów z ponad 120 dyscyplin sportowych. Na czterystu stronach skryptu znalazło się słownictwo ze 130 dyscyplin sportowych, obejmujących m.in. nurkowanie podwodne, sporty lotnicze, motorowodne i samochodowe oraz pedagogikę i psychologię sportu.

W 1982 roku nakładem wydawnictwa AWF ukazała się wersja polsko-rosyjska słownika z trzydziestoma tysiącami terminów. Doszły hasła z meteorologii, psychologii, anatomii i krajoznawstwa. Tysięczny nakład od razu zniknął z księgarni.

Słownik zyskał uznanie środowiska naukowego związanego ze sportem. W 1980 roku wersja rosyjsko-polska otrzymała nagrodę państwową II stopnia, a dwa lata później autor za część polsko-rosyjską dostał nagrodę III stopnia. W polskich gazetach sportowych ukazały się entuzjastyczne recenzje słownika, a jego istnienie zauważył również „Sowietskij Sport”.

– Mój kolega dowiedział się, że w tym czasie w Japonii na wystawie prac poświęconych sportowi mój słownik zajął ósme miejsce. Niestety, w tym czasie nie docierały do Polski takie informacje, dlatego nie potrafiłem zdobyć żadnych dowodów na potwierdzenie tego – mówi Zbigniew Fedus.

Wartość naukowa słowników została zauważona przede wszystkim na wrocławskim AWF-ie. Ówczesne władze uczelni doszły do wniosku, że najkorzystniej byłoby napisać rozszerzoną wersję książki i sprzedać jako najlepsze kompendium wiedzy o wszystkich dyscyplinach sportu. Zbigniew Fedus przystąpił do kilkuletniej pracy.

Po 1981 roku zaczęły się trudności z wydaniem pracy. W 1982 roku wydawnictwo „Sport i Tury-

styka” odrzuciło ofertę Fedusa, podobnie jak Komitet Nauki o Kulturze Fizycznej przy PAN-ie (1984). Słownika nie opublikowano, mimo że w 1988 roku ujęto go w zapowiedziach wydawniczych „Współpracy”, a w 1987 roku – w wydawnictwie wrocławskiego AWF-u.

– Poprzednie doświadczenia na niewiele się zdały. W tym czasie prof. Marian Golema, wybitny specjalista w dziedzinie akrobatyki sportowej, zapewnił, że jeśli opracuję słownik specjalistyczny dla tej dziedziny, to natychmiast zostanie wydany. Zabrałem się do pracy. Po roku miałem gotowy 400-stronicowy tom z 8,5 tys. haseł. Do tej pory nie ujrzał on światła dziennego – mówi Zbigniew Fedus.

Na przełomie lat 1987/1988 podczas pobytu w Moskwie autor starał się opublikować słownik sportowy w dużym wydawnictwie „Russkij Jazyk”. Szefowie firmy na początku zachwycili się książką. Później doszli do wniosku, że można połączyć to wydanie z podobną publikacją opracowaną w innych językach. Zbigniew Fedus miał figurować jako jeden z 13 autorów, na co nie wyraził zgody.

Po ukazaniu się tytułu w zapowiedziach wydawnictwa „Współpraca” największe księgarnie we Wrocławiu zaczęły wysyłać zamówienia. Jednak w tym samym czasie wydawca rozesłał pismo informujące, że brak zamówień uniemożliwia wydanie pracy.

– Ta sterta makulatury to około 18 lat mojej pracy. Kilka-set stron maszynopisu z tysiącami haseł. Drugi tom wielkiego słownika jest przepisany tylko w połowie, reszta to fiszki, które zajmują kilka szuflad. Nie mam już nadziei, że ktoś teraz to wyda – mówi Zbigniew Fedus.

Od początku lat 90. autor bezskutecznie próbował zabiegać o opublikowanie słownika. Ze względów finansowych odmówiły mu PWN i Ossolineum. Jedyną możliwością jest sfinansowanie druku przez samego autora.

– Słownik sportowy nie będzie hitem wydawniczym dlatego, że jest to słownictwo wysoce wyspecjalizowane, dla koneserów. Nie możemy sobie pozwolić na zamrażanie gotówki w niechodliwym towarze – mówi szef ds. handlowych we wrocławskim oddziale PWN Tomasz Przedpełski.

Sfinansowanie wydania słowników zadeklarował ostatnio dawny student Zbigniewa Fedusa, obecnie jeden z najbogatszych biznesmenów Wrocławia. Zaoferował około pół miliarda, ale na deklaracjach wszystko się zakończyło.

– Gdybym miał pieniądze, sam zapłaciłbym za wydanie słowników. Żałuję jedynie, że kilkaset godzin mroźczej pracy pójdzie na marne. Gdybym je wydał, to co najmniej połowę sumy przeznaczyłbym na przedsięwzięcia związane ze sportem. Może pomógłbym jakimś początkującym autorowi słowników – śmieje się Zbigniew Fedus.

Agnieszka ALYKOW

*Wszystko kolim kyma  
doł kropki 23.05.94  
2.0.00. 23.05.94*

*Współpraca  
- to jest cy  
90.000*

W ostatnich dniach sierpnia i pierwszych dniach września 1939 roku na błękitnym niebie pojawiało się coraz więcej samolotów, które na dużej wysokości krążyły nad lasem, naszym domem, wsią Bertniki. Coraz częściej słyszałem rozmowy moich rodziców z naszą panią, nauczycielką Heleną Słonecką, tematem których były słuchy o nadciągającej wojnie. W wiejskim sklepiku ludzie wykupili cukier, sól oraz naftę do oświetlenia mieszkań.

Codziennie późnym wieczorem przychodziła do tatusia trójka policjantów. Imponowały mi ich wyjątkowej długości karabiny zaopatrzone w bagnety. Te karabiny, jak podsłuchałem którąś z rozmów, były wojskową pomocą Francji dla Polski. Policjanci rozmawiali z tatusiem całymi godzinami, na ogół aż do północy. Niekiedy udało mi się coś niecoś podsłuchać z tych rozmów. Wypytywali o niektórych Ukraińców, mieszkających w Bertnikach i okolicznych wioskach. Równocześnie informowali tatusia o licznych podpaleniach polskich domostw w różnych okolicznych wsiach, o częstych bestialskich mordersztwach dokonywanych zwłaszcza na tzw. kolonistach. Podpalenia i mordersztwa dotyczyły najczęściej małżeństw mieszanych polsko-ukraińskich.

Wśród paru polskich rodzin zamieszkiwanych w Bertnikach zapanowała panika. A bać się było rzeczywiście czego. Liczące kilkadziesiąt numerów Bertniki, położone parę kilometrów od dużego skupiska Polaków - Monasterzysk i ponad 15 kilometrów od Buczacza - zamieszkiwane były prawie wyłącznie przez Ukraińców. Nasz dom-leśniczówka, położony na skraju dużego kompleksu leśnego, należącego do dziedzica Dwernickiego - oddalony był mniej więcej około 1,5 kilometra od wsi.

W jednej części leśniczówki mieszkała nasza rodzina. Składała się ona z ojca Władysława - leśniczego-ichtiologa z wykształcenia i powołania, mamci Walerii (z domu Dorosz) byłej urzędniczki magistratu w Buczaczu oraz młodszej ode mnie o dwa lata siostry, Danusi i oczywiście mnie. W drugiej części domu mieszkało bezdzietne małżeństwo gajowego, Edmunda Wybieralskiego. Tuż za ogrodzeniem leśniczówki mieszkał Kardasz, wraz ze swoją liczną rodziną. W samych Bertnikach mieszkały zaledwie trzy polskie rodziny: moja pierwsza nauczycielka pani Helena Słonecka, emerytowany kapitan Wojska Polskiego Józef Iskrzak oraz małżeństwo państwa Izbińskich wraz z sześciorgiem dzieci. Ale życie towarzyskie odbywało się w trójce Iskrzak-Słonecka-rodzice.

1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa. 3 września (nomen omen w rocznicę moich dziewiątych urodzin) Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Następnego dnia tatuś otrzymuje wezwanie z posterunku policji w Monasterzyskach w celu zdania posiadanej broni: belgijskiej strzelby oraz pistoletu vis, z którym, dosłownie i w przenośni, nigdy się nie rozstawał. Pozostał mu jedynie pistolet bębnowy, który wkrótce miał stać się przyczyną jego aresztowania przez NKWD. Do wojska tatuś nie został powołany ze względu na posiadaną kategorię zdrowia. Zdrowie do czynnej służby wojskowej stracił podczas wyprawy kijowskiej. "Zarobił" pod Kijowem parę ciężkich ran postrzałowych. Prawie rok "lizał" rany w jednym z krakowskich szpitali.

Przy końcu pierwszej dekady września pod nasz dom podjechał wozem pan Edek, woźnica pani Słoneckiej. Rodzice wraz ze służącą Ukrainką, Marynką załadowali na wóz najcenniejsze rzeczy: kilimy, srebra, maszynę do szycia, porcelanę. Wszystkie te przedmioty zostały

przewieziobe do majątku pani Słoneckiej. A tam zapakowane do dość dużej skrzyni i zakopane w kurniku.

Wczesnym rankiem 17 września tuż nad wierzchołkami drzew przeciało kilka kluczy samolotów. Na strzydłach i kadłubach miały namalowane duże czerwone gwiazdy. Rodzice moi nie bez pewnego wahania stwierdzili, że to z pewnością sowievi spieszą Polsce z pomocą wojskową. W ciągu najbliższych trzech dni żyliśmy w całkowitej niewiedzy. Gazety przychodziły z parodniowym opóźnieniem, a jedyne radio we wsi, będące własnością pani Słoneckiej zostało zarekwirowane przez władze na początku wojny.

20 września wjechało do Pertnik kilka sowieckich czołgów. Pojawili się żołnierze w obcych nam mundurach. Skoszarowani zostali w szkole, w majątku państwa Izbińskich oraz u pani Słoneckiej. U niej też zatrzymało się na kwaterze dwóch oficerów NKWD. We wsi powołana została rada wiejska złożona z ukraińskich pijaczków i analfabetów. Na czele milicji ludowej stanął znany we wsi i okolicy złodziej i pijak Jurko. Milicjanci ukraińscy w towarzystwie sowieckich żołnierzy patrolowali wieś, zaprowadzali swoje nowe "porządki".

21 września, o świcie, w przedpokoju usłyszałem głośną rozmowę prowadzoną w języku ukraińskim. Rozmowa ta, zrazu spokojna, wkrótce przerodziła się w stek wyzwisk i przekleństw, a także w szamotaninę. To, jak się wkrótce zorientowałem, nasza służąca Marynka, broniła dostępu do drzwi sypialni. Napróżno. Do pokoju wpadł Jurko wraz z jeszcze jednym dryblasem. Jurko miał rozdartą koszulę i poranioną pierś. To był wynik desperackiej obrony służącej. Obaj napastnicy byli uzbrojeni w karabiny. Na dodatek Jurko trzymał w ręku pistolet o wyjątkowo długiej lufie, a drugi nieznan mi z nazwiska mężczyzna wymachiwał szablą. I pistolet, i szablę rozpoznałem bez trudu, należały bowiem do pana kapitana Iskrzaka. Pistolet nie

był używany od kilkunastu lat i nie stanowił bezpośredniego potencjonalnego zagrożenia dla naszej rodziny. Ale karabiny i szabla tak! Jurko zażądał od tatusia wydania broni. Nie wiedział zapewne, że tatuś nie posiadał jej od ponad dwóch tygodni. A o pistolenie bębnekowym nie zarekwirowanym przez policję nikt nawet z domowników nie wiedział. Sprawa bębnekowca nie została nigdy wyjaśniona do końca. Nie wiem ja, nie wiedział tego również tatuś, dlaczego pistolet ów nie został zarekwirowany przez policję. Zapewne stało się tak ze względu na jakieś przeoczenie, pośpiech, niezwykłą, przecież sytuację, w jakiej działała wówczas policja.

Marynka, choć została dotkliwie pobita przez ludowych milicjantów, próbowała wciąż jeszcze bronic dostępu do łóżek rodziców. Po błyskawicznej wymianie zdań tatuś poprosił Marynkę, aby ta sięgnęła do jednej z szuflad kredensu po dokument policyjny, poświadczający zdanie dwóch sztuk broni. Po obejrzeniu zaświadczenia (do dzisiaj nie mam pewności, czy któryś z nich umiał czytać) stwierdzili, że wrócą tu jeszcze raz. I w ogóle policzają się ze wszystkimi polaczkami.

Po mniej więcej godzinie od momentu wyjścia ludowych milicjantów do naszego domu przybiega kapitan Iskrzak. Miał podartą bluzę wojskową, koszulę - podrapaną twarz i dłonie. Po krótkiej naradzie zapada błyskawiczna decyzja. Uciekamy do Monasterzysk!

W Monasterzyskach tatuś miał bardzo dobrego znajomego, był nim pan Jastrzębski. Pan Jastrzębski trudnił się zawodowo "wypychaniem" zwierząt, a przede wszystkim ptaków. Ptaki pozyskiwał w lasach Dwerneckiego, którymi to lasami oraz położonymi w nich nielicznymi stawami mimi zarządzają mój tatuś.

Tak więc w pół godziny, dosłownie tak jak staliśmy, opuściliś-

my leśniczówkę. Pośpiech ten spowodowany był nie tylko zaistniałą sytuacją, co przede wszystkim prośbami służącej Ukrainki, która na kolanach błagała nas, żebyśmy czym prędzej uciekali. Wrogość miejscowych i okolicznych Ukraińców do nas spowodowana była przede wszystkim tym, że wypełniając polecenia pana Dwernickiego, tatuś nie zezwalał im na zbieranie jagód, grzybów, chrustu. A tak naprawdę wstęp obcym na teren lasu był surowo zakazany. Niestety chodziło nie tylko o grzyby, jagody czy też zbieranie uschniętych opadłych gałęzi, ale przede wszystkim o dość masowo występujące kłusownictwo - zakładanie wnyków i pułapek na zwierzynę płową. Zdarzało się również dość często zabijanie zwierzyny z nielegalnie posiadanej broni. A pracę w tych czasach trzeba było szanować; skrupulatnie wypełniać polecenia właściciela. Toteż przyłapani na gorącym uczynku zbieracze jagód i grzybów, a zwłaszcza "myśliwi" byli surowo karani, na ogół więzieniem. Teraz powstała znakomita okazja do odegrania się. Pod ostrzami siekier i pił padały buki, dęby, brzozy, klony. Nawet w pobliżu leśniczówki rozlegały się pojedyncze strzały. Zasadą stało się niszczenie wszystkiego co jest pańskie, polskie.

Mamcia w pośpiechu zapakowała do torby parę niezbędnych drobiazgów: szczoteczki do zębów, mydło ręczniki. Marynka upchnęła do torby jeszcze trochę cukru i nieco soli. Wszak sklepy w tym czasie były całkowicie ogołoczone ze wszystkiego. Do Monasterzysk w linii prostej mieliśmy około 4 kilometrów. Ruszyliśmy w drogę, przedzierając się przez chaszczce, unikając leśnych duktów, ścieżek i dróg. Tuż przed wyjściem na otwartą przestrzeń tatuś wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pistolet. Wyłuskał z bębena naboje i długo, bardzo długo oglądał broń. Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i



owinał nią pistolet, który następnie schował pod drewnianym mostkiem. Teraz musieliśmy przejść przez dość szeroką leśną drogę. Ale tatuś zdecydował, że bezpieczniej będzie przeczołgać się pod mostkiem. Ruszył pierwszy. Za nim Iskrzak. Za Iskrzakiem ruszyła siostra, następnie ja; "pochód" zamykała mamcia. Wkrótce wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Pyliśmy wszyscy prawie kompletnie obdarci, pokrwawieni. Po przejściu około 600-700 metrów usłyszeliśmy tętent koni. Po paru minutach zrównało się z nami dwóch jeźdźców. Rozpoznali ojca i pana Iskrzaka. Wymienili się spojrzeniami. O czymś szeptem mówili. Po chwili jeden z konnych powiedział nie bez zdziwienia. "A przecież jedziemy do Monasterzysk zawiadomić placówkę NKWD, że wy (tzn. tatuś i Iskrzak oraz jeszcze paru Polaków) podpalacie w Czechowie - najbliższa stacja kolejowa od Bertnik - ukraińskie domy i zabijacie naszych braci. A wy jesteście tu". Tatuś i Iskrzak długo bezradnie patrzyli na jeźdźców i jak na komendę obaj równocześnie rozłożyli ręce. Konni ruszyli w kierunku Monasterzysk i po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymali się. O czymś rozmawiali, a raczej sprzeczali się. Powrócili i po kilku minutach skryli się w bertnickim lesie.

Do Monasterzysk doszliśmy bez większych przeszkód. Zamieszkaliśmy u państwa Jastrzębskich, a pan Iskrzak u swojego znajomego. W Monasterzyskach, w niegdysiejszych polskich koszarach stacjonowała jakaś duża sowiecka jednostka pancerna. Ulicali, nie spiesząc się przetaczały się czołgi. Niektóre z nich zatrzymywały się, dając dzieciom okazję do wdrapania się na swój pancierz. Trwał handel wymienny: nafta za różnego rodzaju drobiazgi, a niekiedy za pieniądze.

Któregoś dnia pan Adam Jastrzębski wręczył mi bankę i parę rub-

li, chciał, aby kupić od sowietów naftę. Nafta bowiem była, obok cukru i soli, jednym z najbardziej poszukiwanych artykułów. Nafta w tych stronach i czasach służyła do oświetlenia mieszkań. Po kilku dniach pobytu w Monasterzyskach zaprzyjaźniłem się z paroma rówieśnikami, miastowymi chłopakami. Zaprowadzili oni mnie na szosę Monasterzyska-Buczacz, stanowiącą fragment tzw. szosy zaleszczyckiej. Po obu jej stronach leżały w rowach zepchnięte z drogi samochody. Było ich setki, a może i tysiące. Na karoseriach samochodów widoczne były wyraźne ślady gąsienic. To sowieckie czołgi zepchnęły je do rowów, aby nie torowały ruchu. Właściciele samochodów po wyczerpaniu się paliwa ratowali się ucieczką lub szukali schronienia wśród miejscowej polskiej ludności. Tracili bardzo często dorobek całego życia. Wiele aut, jak mówili mi moi podwórkowi koledzy, było wypełnionych różnego rodzaju cennymi rzeczami i przedmiotami. Wszystkie pozostawione na pastwę losu rzeczy i przedmioty były skrupulatnie zabierane przez okoliczną ludność. Nam chłopakom pozostało wybijanie ocalałych jeszcze szyb. Ze szczególną namiętnością rozjręcaliśmy śruby w silnikach, wyciągaliśmy siedzenia. Później nastąpiła moda na palenie opon.

Ani tatuś, ani mamcia nie wychodzili w ogóle z domu państwa "astrzebskich. W pierwszym tygodniu parę razy przychodziła do nas w odwiedziny zapłakana Marynka, przynosząc ser, masło, mleko i chleb. Przeważnie milczała. Coś ukrywała. Mijał drugi tydzień naszego ukrywania się. Skończyły się pieniądze. Pan Iskrzak wrócił do swojego domu. Ale wracać właściwie nie było gdzie bowiem do leśniczówki rada wiejska wprowadziła dwie biedniackie rodziny. Rozdała pięć spośród sześciu holenderskich krów. Świnie z wyjątkiem jednej, którą podarowano Marynce, poszły pod nóż wojska. To samo stało się z drobiem. Meble i większość rzeczy rada wiejska rozdała miejscowej biedocie. Obda-

rowano również sowicie odzieżą i obuwem oraz krową i świnia naszą niegdysiejszą służącą, Marynkę.

Muszę w tym miejscu wyjaśnić, że praca leśniczego-ichtiologa w dobrach pana Dwernickiego nie należała do zbyt atrakcyjnych. W gotówce miesięczne wynagrodzenie wynosiło zaledwie 10 złotych oraz tzw. ordynaria - zapłata w naturze. Składało się na nią około 24 kwintali zboża rocznie, bezpłatne drewno na opał, ponad 2 hektary pola, na którym rodzice sadzili tytoń oraz fasolę. Początkowo tytoń suszono pod okapem domu i stajni. Później tatuś wybudował dość dużą suszarnię do suszenia tytoniu. Tatuś otrzymał od pana dziedzica Dwernickiego pozwolenie na karczowanie pniaków, które później rozłupywał siekierą na kawałki nadające się do palenia w suszarni. To rozłupywanie pniaków mogę jedynie porównać do pracy na Syberii, pracy katorżniczej. Dochód ze sprzedarzy tytoniu, a przede wszystkim dochód ze sprzedarzy mleka od sześciu bardzo mlecznych krów zapewniał dość dostatnie życie. Mleko mamcia wraz z Marynką nosiły na koromesłach we wiadrach do miejscowej mleczarni. Ale ile wszystko to kosztowało trudu, zdrowia, wyrzeczeń. Takimi byliśmy panami-bogaczami.

Pozbawieni dachu nad głową i w zasadzie całego dobytku wróciliśmy do Bertnik. Rodzice zwrócili się o pomoc do pani Słoneckiej, ale ona niewiele mogła pomóc naszej niedoli. Prawie wszystkie pomieszczenia zajmowali sowioci. A zresztą pchać się do tego gniazda os nie miało żadnego sensu. Rodzina nasza została przygarnięta przez pana Iskrzaka. Tatuś bez skutku poszukiwał jakiejś pracy.

Po kilku dniach Marynka przyprowadziła najpierw krowę, a nieco później świniaka. Oddała nam również podarowaną jej wcześniej odzież i obuwie, które po prostu na nią były za małe. Ale tak czy inaczej, myślę dzisiaj, że jej postępek rzeczywiście był szczer<sup>nas</sup>y. Marynka, i jej nieślubna córka Melania, traktowane były przez nas jako członkowie rodziny. Mało tego sporo rzeczy, zwłaszcza tatusia, uda-

ło się jej schować zanim rada wiejska zajęła się dzieleniem naszego dobytku. Dzięki jej za tę, okazaną nam dobroć serca.

Pod koniec października w domu i zabudowaniach gospodarczych pana Iskrzaka oraz w naszym pokoju odbyła się sześciogodzinna rewizja. Akcją kierował Jurko. Szukano broni. Na nic zdały się tłumaczenia oraz zaświadczenie z posterunku policji o zdaniu przez tatusia broni. Szabli i starego zabytkowego pistoletu pana Iskrzaka policja nie chciała przyjąć w ogóle. Zrabował je Jurko ze swoim kompanem, ale teraz - podczas rewizji - domagali się od kapitana wydania białej i palnej broni. Pan Józef Iskrzak <sup>i tatuś</sup> zostali aresztowani i doprowadzeni do majątku państwa Izbińskich, w którym to majątku od drugiej połowy września urzędowała rada wiejska i stacjonował nieduży oddział wojsk NKWD. Na drugi dzień pod eskortą czterech sowieckich żołnierzy tatuś z Iskrzakiem zostali doprowadzeni najpierw do Monasterzysk, a następnie po kilku dniach, przewiezieni zostali stamtąd do więzienia w Buczaczu. Pod koniec drugiego tygodnia od momentu aresztowania, jak opowiadał tatuś, rozpoczęły się wielogodzinne nocne przesłuchania. Dotyczyły one dwóch spraw: dwukrotnego przewodniczenia przez tatusia komisjom wyborczym oraz tego nieszczęsnego pistoletu, który z niewiadomych powodów nie został zarekwirowany. Z zadawanych pytań wynikało, że mogli natrafić na jakieś dokumenty, świadczące o tym, że jedna sztuka broni palnej mogła być w dalszym ciągu w posiadaniu ojca. W piątym tygodniu po jednym z wielogodzinnych przesłuchań tatuś został nad ranem wypchnięty poza mury więzienia buczackiego. Do dzisiaj nie wiem, jak doszło do tego zwolnienia. Ale już parę lat po wojnie, kiedy tatuś pracował w gospodarstwie rybackim w Wildze koło Warszawy przyjechała do nas pani Słonecka. Z jej relacji wynikało, że przeprowadziła ona bardzo odważną i desperacką rozmowę ze stacjonującymi u niej enka-

wudzistami, w wyniku której tatuś został zwolniony. Mam sporo wątpliwości co do tej wersji wydarzeń, ale jak to się mówi - nikogo za rękę nie złapałem. Pan Józef Iskrzak natomiast wrócił do domu parę dni później.

Po zwolnieniu z więzienia tatuś chwycił się różnych dorywczych prac w lesie, szukając równocześnie pracy w swoim zawodzie. W piątek, 9 lutego 1940 roku, tatuś został wezwany na godzinę 23! przez oficerów NKWD, którzy stacjonowali u pani Słoneckiej. Ogólnie, jak wspominał, rozmowa miała charakter przyjacielsko-towarzyski. Zaproponowano mianowicie tatusiowi, by od 1 marca objął kierownictwo nad załogami wszystkich stawów w województwie tarnopolskim. Stawy te prezentowały się wówczas tak: Poczynając gdzieś od 20-21 września do końca października 1939 roku została z nich wypuszczona woda, a ryby poprostu rozkradzono. Otrzymał więc tatuś zadanie praktycznie niewykonalne. Nie było bowiem materiału zarybieniowego, nie było tarlaków, a pojedyncze stawy, należące kiedyś, głównie do wielkich właścicieli ziemskich rozrzucone po całym województwie. Sieć połączeń komunikacyjnych wyjątkowo słabo rozwinięta i całkowity brak połączeń telefonicznych uniemożliwiał praktycznie wykonanie zadania. A brzmiało ono jednoznacznie: "we wszystkich stawach już jesienią muszą być ryby". 10 lutego tatuś miał zameldować się w Buczaczu, podpisać umowę o pracę, otrzymać odpowiednie pełnomocnictwa, dokumenty umożliwiające poruszanie się po całym województwie. Najważniejsze jednak, że mieliśmy otrzymać samodzielne mieszkanie w Buczaczu. O tych pomyslnych dla nas wieściach poinformował tatuś po powrocie do domu - o drugiej, a może trzeciej godzinie po północy dnia 10 lutego 1940 roku. Mało tego - rano miały podjechać po tatusia sanie, którymi pojedzie do Buczacza.

I rzeczywiście, około godziny siódmej dnia 10 lutego 1940 roku pod dom pana Iskrzaka zajechała nie jedna, a para sani. Załomotano do drzwi. Otworzył je pan Iskrzak. Do sieni wdarło się czterech sowieckich żołnierzy z charakterystycznymi bagnetami na karabinach. Za nimi weszło dwóch oficerów NKWD. Byli to ci sami oficerowie, z którymi tatuś parę godzin wcześniej rozmawiał na temat nadzoru nad tarnopolskimi stawami. Przywitali się z tatusiem, polecając równocześnie, aby się szybko przygotował do podróży. Drugi z oficerów wskazał ręką na mamcię, a następnie na nas, tzn. na mnie i na Dankę, polecając również ubierać się. W drzwiach pokoju stanął jeden z żołnierzy z bronią w ręku.

Tatuś zapytał, czy mamy również pakować rzeczy, będąc święcie przekonany, że są to po prostu nasze przenosiny do Buczacza.

- "Niet, eto pieriesielenije. Budżetie pomogat' nam".

Skoro pieriesielenije to znaczy, że należy pakować również rzeczy - zapytał tatuś. Ale dlaczego tak nagle. Tatuś chciał wyjść z pokoju, zobaczyć co dzieje się za ścianą u pana Iskrzaka, gdyż z jego sypialni dochodziła do nas bardzo głośna rozmowa w języku ukraińskim i rosyjskim. Słysząc było jakieś trudne do bliższego zidentyfikowania dźwięki. Ale żołnierz zastąpił tatusiowi drogę. W międzyczasie ubrała<sup>się</sup> również mamcia, która następnie zaczęła pomagać ubierać się rozspanej mojej siostrze. Ja ubrałem się prawie równocześnie z tatusiem. Włożyłem również na siebie zakopiański kożuszek, przepasałem się paskiem, na którym powiesiłem mój nowo kupiony ulubiony ćwiartkowy garnuszek koloru niebieskiego. W takim stroju wyslizgnałem się z pokoju. Pobiegłem do sadu sprawdzić założone przeze mnie, w wielkiej tajemnicy przed tatusiem i panem Iskrzakiem, wnyki na zające. Na dworze panowała jeszcze szarówka i było niekielnie zimno. Najpierw

ścieżką, a później brnąc po głębokim śniegu dotarłem do sadu. Na jednym z wnyków zobaczyłem zająca. Był skamieniały na kość. Rozkłęciłem drut od gałęzi i powlokłem zająca do domu. Z sieni wziąłem moje ulubione, wykonane przez tatusia, sanki i przywiązałem do nich zająca. Z kolei sanki te przywiązałem do "naszych" sań. Bowiem na tych drugich, nie naszych siedział już pan Iskrzak. Na saniach pana Iskrzaka leżało trochę rzeczy oraz kilka wędzonych boczków, ogromna szynka. Na naszych saniach zobaczyłem kufer obity blachą oraz dwa prześcieradła, w których związane były jakieś rzeczy. Tatuś eskortowany przez żołnierza wnosił z domu pierzyny, poduszki, a siostra targła jakieś garnki. Do pokoju wróciliśmy we trójkę. Mamcia w pewnym momencie podeszła do kredensu i wzięła z niego porcelanową wazę. Podeszła z nią do jednej z dwóch stojących w kącie dużych puszek. Były to ponad dziesięciolitrowe naczynia, w których kiedyś były znakomite cukierki firmy Kanold. Teraz były one wypełnione prawie po brzegi smalcem. A tam gdzieś na dole zwoje smakowitej z dodatkiem dużej ilości czosnku pęta wiejskiej kiełbasy. Mamcia otworzyła pokrywkę jednej z puszek i zaczęła nakładać łyżką smalec do wazy. Trwało to może dwie- trzy minuty. Ja stanąłem w rozkroku naprzeciw oficerów i zacząłem przyglądać się im, rozcierając równocześnie dłońmi zmarznięte uszy.

- Szto zamioz, malczik? - zapytał jeden.

- Niczewo, przykaj - dodał drugi.

Byli sympatyczni, bardzo sympatyczni. Najbardziej u oficerów podobały mi się ich czapki-kubanki. Były uszyte z czarnych karakulów, chyba takich samych, jak futro mamci, które jeszcze nie tak dawno zakopane było z innymi rzeczami w kurniku pani Słoneckiej. Czapki miały denka niebieskie, ubrani w dość długie sięgające prawie kolan kożuszki w kolorze brudnej czerni. Byli przepasani szero-

kimi pasami, na których z prawej strony dość wyraźnie ciążył nagan umocowany na dwucentymetrowej szerokości pasku skórzanym. Byli tak naprawdę bardzo podobni w ubiorze do mnie. Ja bowiem byłem ubrany również w kożuszek, ale koloru brązowego, sięgający także kolan. Ale mój był o wiele piękniejszy, haftowany. No, może jak na chłopca, za bardzo haftowany. Również byłem przepasany paskiem z tym, że o wiele węższym. Oni mieli po prawej stronie nagany, ja natomiast po lewej stronie miałem przytroczonego niebieskiego garnuszka. Różniło nas jedynie obuwie. Oni mieli na nogach jakieś dziwne buty filcowe, jakich do tej pory nigdy nie widziałem. Ja miałem na nogach trzewiki firmy Bata. Przyglądali mi się uważnie, uśmiechali się. Spoglądali również kątem oczu na mamcię nabierającą do wazy smalec. I nagle, jak na komendę, zwrócili się twarzami do siebie. Półszepcem wymienili między sobą parę zdań. Jeden z oficerów kiwał najpierw przecząco głową, rozkładał ręce, by po chwili unieść nieco rękę w górę i opuścić ją w dół. Zrozumiałem, że doszli do porozumienia. Ale jakiego? Obaj oficerowie, równocześnie skierowali się w stronę mamci. Podążyłem za nimi. Jeden z oficerów odsunął mamcię od puszki ze smalcem. Wziął wazę i położył na kredensie.

Usłyszałem.-"Nie nado!"

Więc nie namyślając się długo chwyciłem tego napastnika za rozcięcie kożucha i zacząłem odciągać go od mamci, wołając równocześnie tatusia na pomoc. Powstało solidne zamieszanie. Danka zaczęła płakać, zaś tatusiowi zastąpił drogę żołnierz. Oficer, którego zaatakowałem skrepił mi ręce i przycisnął do podłogi. Drugi enkawudzista w tym czasie zaczął przekładać smalec z wazy do puszki, z której dopiero co mamcia wybierała go. Wrzeszczałem w niebogłosy, kopałem, chciałem ugryźć prześladowcę mojej mamci, ale uniemożliwiły to skórzane rękawice oficera. Mamcia, jak mówiła później, kiedy



już siedzieliśmy w zakratowanym bydlęcym waganie, zrozumiała właściwie zamysł oficerów. Dlatego m.in. nie pospieszyła mi z pomocą. Była bowiem w ciągu swojego 63-letniego życia kobietą wyjątkowo szczupłą, słabą, chorowitą. Nigdy jej waga nie przekraczała 50 kilogramów. Być może ten fakt spowodował właśnie takie, jak zastanawiam się dzisiaj po latach, opisując tę scenkę - działanie oficerów NKWD.

Po przełożeniu smalcu z wazy do puszkki enkawudzista staranie ją zamknął wieczkiem. Następnie wziął puszkę pod pachę, drugą puszkę pod drugą pachę i zaniósł na sanie.

Po powrocie do pokoju powiedział:

- Prigoditsa!

Dopiero teraz zostałem uwolniony.

Usłyszałem od matczynego i mojego prześladowcy.

- Molodiec malczik. Mat' nado wsiegda zaszciszczat'.

Niemal błyskawicznie uświadomiłem sobie, że przecież my oprócz smalcu mamy sporo wędlin. Przypomniałem o tym tatusiowi, który poszedł w asyście żołnierza do wędzarni. Wyniósł z niej pęta kiełbas, wędzonki, wędzoną słoninę. Wszystkie te, jak miało się wkrótce okazać - dobra najprawdopodobniej uratowały życie nam i paru jeszcze osobom w wagonie i w Krasnojarskim Kraju.

Od momentu smalcowego incydentu, że tak się wyrażę - atmosfera stała się jeszcze bardziej przychylna. Byliśmy pewni, że przenosimy się do Buczacza. A jeżeli tak, to dlaczego są żołnierze? Dlaczego pan Józef Iskrzak? Nawet żołnierz stojący dotąd w drzwiach pokoju przeniósł się do sieni i ukradkiem przeżuwał wyciąganą z rękawa kiełbasę, którą widocznie dał mu tatuś podczas bytności w wędzarni. Pozwolono również panu Iskrzakowi zejść z sań i zabrać jeszcze trochę różnych rzeczy. Kiedy siedzieliśmy już na saniach jeden z enka-

wudzistów zapytał tatusia, czy zabrał siekierę i piłę. Przecząco poruszył głową.

- Obiazatielno woźmitie, prigoditsa - powiedział.

Po paru minutach na saniach leżały dwie siekiery i dwuręczna piła.

Ruszyliśmy. Końmi powozili nieznani tatusiowi dwaj Ukraińcy. Na naszych i na saniach pana Iskrzaka przycupnęło po dwóch żołnierzy. Oficerowie NKWD zostali przy otwartych drzwiach wejściowych domu emerytowanego ofecera WP, pana Józefa Iskrzaka. Był to jakiś dziwny dwusaniowy kulig, czy też kondukt. Nawet trochę cieszyliśmy się z siostrą z tej niespodziewanej dla nas jazdy. Było zimno, piekielnie zimno. W dniu tym, tzn. 10 lutego 1940 roku słupek rtęci spadł poniżej 30°C. Dojechaliśmy do bocznej bertnickiej drogi, by po paru minutach jazdy truchtem dojechać do skrzyżowania z główną drogą wsi. Jazda na wprost znaczyła, że jedziemy w kierunku Monasterzysk, a więc w niewiadomą, skręt w prawo miał oznaczać, że jedziemy w kierunku Buczacza, że będziemy przyjeżdżać obok domu pani Słoneckiej i państwa Izbińskich. Skręt w lewo - stacja kolejowa Czechów. Pojechaliśmy na wprost, tzn. w kierunku leśniczówki. Znaczyło to - po prostu - kierunek Monasterzyska.

Jak mówił później wielokrotnie tatuś, co miały znaczyć te uzgodnienia i rozmowa, którą prowadził z tymi samymi oficerami NKWD, którzy nas wysiedlali. A może chcieli w ten sposób uspić czujność tatusia? Musieli oni przecież wiedzieć, że tatuś jest doskonałym fachowcem z zakresu leśnictwa i ichtiologii. Dlaczego właśnie nasza rodzina i pan Iskrzak mieli "zaszczyt" być wysiedlanymi przez oficerów NKWD, a nie jak to powszechnie było robione wystarczali - po prostu zwykli żołnierze w asyście ukraińskich pełnomocników

Po co ta cała komedia z pracą, z propozycją zamieszkania w Buczaczu. Dotąd nie znajduję na to sensownej odpowiedzi. A może jednak wiedzieli o planowanej naszej deportacji. Może. Nie wyjaśnię już tego.

Minęliśmy budynek "mojej" pierwszej szkoły, w której ukończyłem dwie klasy. Do klasy trzeciej w roku szkolnym 1939/40 chodziłem nie dłużej niż trzy miesiące. Tyle samo chodziła Hanka do klasy pierwszej. Jeszcze wczoraj byliśmy na lekcjach. Z tym, że naukę ze wszystkich przedmiotów pobieraliśmy w języku ukraińskim.

Minęliśmy skrzyżowanie i wjechaliśmy na wąską, o wysokich skarpach drogę. Była zasypana głębokim śniegiem, ale dzisiaj przed nami już ktoś przejeźdżał tędy. Furmani, bojcy oraz tatuś i pan Iskrzak zeszli z sań. Konie z ogromnym trudem ciągnęły je. W oddali, tuż przed samym torem kolejowym, dostrzegłem inne sanie. Wkrótce dojechaliśmy do nich. To one właśnie przecierały ślad. Woźnica bez większego rezultatu okładał konie batem. Sanie popychali dwaj żołnierze, furman oraz jakieś trzy cywilne osoby. Rozpoznałem ich wkrótce bez trudu. Byli to pani Izbińska, jej najstarszy syn, Staszek i córka Jadzia. Pozostała czwórka dzieci była przykryta na saniach baranicą. Pan Izbiński natomiast, powołany do wojska w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku odszukał swoją rodzinę na Dolnym Śląsku dopiero w 1948 roku...

Teraz stało się jasne, że jest to jakaś zakrojona na większą skalę akcja wobec Polaków.

Sanie z rodziną Izbińskich, Iskrzakiem i nami minęły tor kolejowy i po przejechaniu około 500 metrów dotarły do gospodarstwa Kardasza. Minęliśmy nasz dawny dom-leśniczówkę. Wjechaliśmy do lasu. Konie raźniej pociągnęły sanie. Bojcy i furmani ponownie usadowili się na nich. Przejechaliśmy przez mostek, pod którym tatuś ukrył swego bębenkowca. A po mniej więcej dwudziestu minutach jazdy do-

tarliśmy do szosy Monasterzyska-Buczacz. Pojechaliśmy w kierunku Monasterzysk. Po drodze dołączyliśmy do paru załadowanych sań najprzeróżniejszym dobytkiem. Do nas dołączyło wkrótce kilka sań również z ludźmi i dobytkiem. Na każdym saniach dwóch żołnierzy z karabinami. Po kilku minutach wjechaliśmy do Monasterzysk. Minęliśmy dom państwa Jastrzębskich. Charakterystyczną cechą naszej jazdy z Bertnik do stacji kolejowej w Monasterzyskach było to, że ani we wsi, ani w obejściu Kardaszów, ani na podwórku naszego niedawno domu-leśniczówki, ani na ulicach Monasterzysk nie spotkaliśmy przysłowiowej żywej duszy. Jedyne dym z niektórych kominów świadczył o tym, że gdzieś tam za ścianami wiejskich lepianek, za murami miejskich domów są ludzie. A może po prostu ukrywają się? A może boją się siarczystego mrozu? A może nie chcą widzieć tego co dzieje się poza ścianami ich ciepłych domów?

Nasze sanie, podobnie zresztą, jak inne objechały budynek dworca kolejowego. Dworzec i cała stacja była szczelnie otoczona stojącymi co kilka metrów żołnierzami, którzy trzymali w rękach karabiny. Sanie zatrzymały się przed długim składem czerwonych wagonów. Tatuś z trudem wyjął zgrabiętymi z zimna palcami zegarek z kieszonki spodni. Dochodziła godzina 10-ta. A termometr umieszczony na budynku stacji wskazywał minus 35°C.

Przed każdym wagonem stał jakiś cywil i trzymał w ręku kartkę papieru. Rozpoczęło się wyczytywanie nazwisk. Ponieważ wyczytywanie nazwisk rozpoczęli równocześnie prawie wszyscy powstało więc solidne zamieszanie. Tym większe, że Rosjanie niesamowicie przekręcili nazwiska osób, które miały być umieszczone w określonym wagonie. Bałagan ten trwał ponad dwie godziny. Rodzina nasza otrzymała "przydział" do wagonu numer pięć. Tatuś zajął miejsce dla na-

szej rodziny po lewej stronie wagonu na górnych narach. Do tego samego wagonu otrzymał "przydział" pan kapitan Iskrzak. Wybrał miejsce po prawej stronie na dolnych narach. Po wejściu pana Iskrzaka drzwi wagonu zostały zasunięte. Szczęknął zamek. W wagonie zapanowała całkowita ciemność.

Kiedyś takie wagony przeznaczone były do przewozu ośmiu koni. Teraz ładowano do nich, a raczej upychano nie mniej niż czterdziestu ludzi wraz z zabranym bez ładu i składu różnym, niejednokrotnie przedziwnym dobytkiem. My mieliśmy to szczęście, że było nas w wagonie zaledwie 39 osób - ludzi różnych zawodów i różnego wykształcenia, ludzi od wieku niemowlęcego do 80-letnich staruszków i staruszek. Wszyscy oni znaleźć musieli dla siebie i swoich rzeczy miejsce na jednej z czterech nar umieszczonych, po dwie z każdej strony wagonu. Przeciętnie wypadało po dziesięć osób na jedną narę. Ale, jak okazało się później, były wagony, do których ładowano po 42-44 osoby, zaś do wagonu pullmanowskiego wpychano aż po 80 i więcej osób.

A było tak:

Pośrodku wagonu stał okrągły żeliwny piecyk. Miał on rurę, która wychodziła przez dach. Obok piecyka leżało trochę węgla i drewna na rozpałkę. Po prawej stronie wagonu, dokładnie nad kołem zrobiono otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych i mycia się. Obrzeża otwaru obito metalowym płaskownikiem. Korzystać z tej wagonowej paraszy można było tylko podczas ruchu pociągu. Zaś myć można się było w dowolnym czasie. Polegało to na tym, że myjący się stawał okrakiem nad otworem, a ktoś inny z garnuszka polewał jego ręce wodą. Otwór zakrywano ciężką klapą. W tych warunkach załatwianie potrzeb fizjologicznych było zajęciem - delikatnie mówiąc - hańbiącym. Norma wody dla 40 ludzi wynosiła dwa wiadra

na dobę. Miało jej wystarczyć na potrzeby spożywcze i higieniczne. Ale o tym wszystkim mogłem się dowiedzieć znacznie później. Cztery otwory okienne wagonu były zakratowane od zewnątrz drutem kolczastym, zamknięte klapami metalowymi, które niezbyt szczelnie je zasłaniały.

Górna nara umieszczona była kilkadziesiąt centymetrów od sufitu. Na takiej wysokości, że człowiek nieco wyższy niż średniego wzrostu nie mógł na niej siedzieć, nie dotykając głową sufitu. Po zaryglowaniu drzwi, zapanowała grobowa cisza. Nawet dziecko przy piersi, jakiejś kobiety na dolnych narach przestało płakać. Tę trwającą, trudną do bliższego określenia ciszę przerwał głos modlącej się kobiety. Wkrótce męski głos rozpoczął: -:Ojczy nasz..., W trakcie wspólnej modlitwy czyjeś mocne pięści załomotały do drzwi. Usłyszałem wypowiedziane po ukraińsku pytanie: czy w tym wagonie może jest Władysław Fedus. Tatuś odpowiedział twierdząco. Szczęknął rygiel. A po chwili rozsunęły się drzwi. Uderzyło mrozem. Przed drzwiami zobaczyłem Marynkę w towarzystwie dwóch sowieckich bojcow.

Tolko, bystrzej - usłyszałem.

Marynka schyliła się, by podnieść z ziemi najpierw jeden, a po chwili podać tatusiowi drugi solidnej wielkości tłumok. W jednym z prześcieradeł znajdowała się odzież i obuwie, w drugim parę bochenków chleba oraz około 10 kilogramów jabłek. A nawet dwie butelki wina porzeczkowego. Był to dar od pani Słoneckiej, o czym dowiedziałem się dopiero parę lat po zakończeniu wojny.

Marynka płakała. W pewnym momencie chwyciła tatusia za ręce i przywarła do nich ustami. Właśnie wówczas widziałem ją po raz ostatni w życiu. W 1992 roku dowiedziałem się, że udało się jej

wyjechać z kraju wiecznej szczęśliwości i osiedlić w jednym z miasteczek w pobliżu Wrocławia.

Dochodziła godzina 15-ta.

Ktoś zaproponował, ażeby rozpałić w piecu, ktoś inny lamentując walił pięściami w drzwi wagonu. Zaczęło ponownie płakać niemowlę, by po chwili zawtórowały mu inne dzieci. Jedne domagały się jedzenia, inne chciały pić. Wszyscy, absolutnie wszyscy byliśmy przemarznięci do szpiku kości.

Mamcia rozścieliła na narach jedną pierzynę, drugą przekryła nas. Tatusz rozpoczął rozpalanie w piecyku. Na próżno. Drewno było zbyt mokre, a i zapalniczka zaczęła odmawiać posłuszeństwa. Ktoś odszukał w swoich tłumokach świecę i podał ją tatusiowi. Promyk świecy rozjaśnił mrok wagonu. Tatusz odszukał w "stercie" różnych przedmiotów i rzeczy jedną z puszek ze smalcem i nabrał drewnkiem trochę tłuszczu. Ktoś podał tatusiowi pudełko tekturowe. Podpalił go od świecy i włożył do piecyka. Na palące się pudełko powędrowało najpierw drewno ze smalcem, później inne szczapy. Z wysokości nar w otwartych drzwiczkach piecyka dojrzałem wesołe płomienie palącego się drewna. Rozjaśniły one jeszcze bardziej lewą stronę wagonu. Ktoś z prawej strony wagonu doradzał. Wkładaj pan węgiel! Porada, czy też polecenie zostało wykonane. Po kilkunastu minutach rura piecyka rozgrzała się do czerwoności, a nieco później ciemno-czerwonym kolorem zaczął świecić piecyk. W świetle palącej się świecy, przede wszystkim w świetle rozgrzanej już do białości rury piecyka na ścianach wagonu widoczne były wyraźnie białe wzgórki. Były to pokryte grubą warstwą szronu główki śrub, którymi przykręcono do szkieletu wagonu deski. Bielą rozjaśniał również półmrok wagonu, klapy, zamykające otwory okienne. Ktoś po drugiej stronie

naszych nar rozpoczął zdrapywać szron z klapy okiennej. Paznokciami! A nieco później łyżką, a może nożem. Wkrótce w czterech górnych kątach wagonu rozlegało się jednostajne szuranie jakimiś przedmiotami o okienne klapy. W istocie nie miało to żadnego znaczenia kto i jakich używał narzędzi do pozyskiwania szronu. Ważne było to, że szronem tym można zrosić spragnione picia usta. Nawet w tym piekielnym pudle wagonu, ci którzy zajęli miejsca przy zamkniętych, nie tak zresztą szczelnie okienkach, mogli czuć się w pewnym stopniu ludźmi o wiele szczęśliwsiymi od tych na dolnych narach. Mało tego przez szpary okienne można było dojrzeć spory kawałek nieba. Ale równocześnie tu przy klapach piekielnie wiało. Jakaś dziewczynka z dolnych nar zapytała swoją matkę czy może zlizywać szron ze śrub. Ta zaprzeczyła. Wiedziała bowiem z własnego doświadczenia, iż groziło to przymarznięciem języka do śruby.

Tatusz rozwiązał jedno z prześcieradeł, które przyniosła Marynka i rozdał każdemu z dzieci po jednym jabłku. W wagonie łącznie z nami i niemowlęciem było trzynaścioro dzieci. Dopaliła się świeca, ale mrok wagonu rozświetlała rozgrzana do białości rura oraz sam piecyk. Tatusz kroił chleb, mamcia tylko w jej wiadomy sposób odszukała i wręczyła nam po sporym kawałku kiełbasy. Był to pierwszy nasz posiłek tego dnia. Doskwierało jednak pragnienie. Zdjęliśmy obuwie, gdyż temperatura w wagonie podniosła się na tyle, że umożliwiała zdjąć nawet wierzchnie odzienie. Ludzie stopniowo godzili się ze swoim losem. A przecież jeszcze parę godzin temu wydawało się, że w tych warunkach nie da się przeżyć nawet godziny. Wydawało mi się, że moje grzeszne ciało przestało istnieć. Zapadłem w głęboki sen.

Gdzieś po północy uderzyły o siebie bufory wagonów. Po obu



stronach toru usłyszałem skrzypienie butów. Byli to zapewne przechadzający się strażnicy. Wkrótce kroki ucichły. Jedynie dały się słyszeć jakieś bliżej nieokreślone okrzyki, może komendy. Usłyszałem dwa krótkie gwizdy lokomotywy. Odczułem jedno, a po nim - w dość długich odstępach czasu - kolejnych parę łagodnych szarpnięć. Wagon drgnął lekko, zadrzżał, jakby przeszyty jakimś niewidocznym dreszczem. Stuknęły koła na pierwszym styku szyn. Później na następnym. Coraz częściej, coraz częściej. Skład towarowy z zamkniętymi w nim ludźmi nabierał szybkości. Po mniej więcej dwudziestu minutach jazdy pociąg coraz bardziej zwalniał. Oznaczać to mogło, że zbliżamy się do Bertnik, bowiem poczynając od stacji kolejowej Czechów tor kolejowy zbudowany był na odcinku około pięciu kilometrów na dość stromym wzniesieniu. Na tym odcinku nawet pociągi osobowe poruszały się w prędkością nie przekraczającą 6-7 kilometrów na godzinę, towarowe zaś ciągnęły zwykle dwie lokomotywy. A więc za kilkanaście minut minimy najpierw leśniczówkę, dom pana Iskrzaka, posiadłość pani Słoneckiej. Koła wagonów coraz rzadziej, coraz gwałtowniej - aż do bólu w głowie - wpadały w styki szyn. Słysząc było wyraźnie ciężką pracę lokomotywy. Jedziemy prawdopodobnie na Wschód. Zanim lokomotywa pokonała to długie wzniesienie ponownie zapadłem w sen. Kiedy obudziłem się pociąg stał na jakiejś stacji. Trudno mi ocenić nawet w przybliżeniu, która mogła być godzina. Przez szpary okienka sączyło się dzienne światło. W wagonie panował ponownie niesamowity ziąb. Skończył się po prostu węgiel. Większość "pasażerów" siedziała na swoich legowiskach. Ciszę przerwał, jak mi się wówczas i wiele razy później wydawało, jakiś dziki gwizd jednej, a po chwili jeszcze paru innych - lokomotyw. Wszyscy, powtarzam wszyscy, jak na komendę zaczęliśmy płakać.

Szczęknał rygiel drzwi, które z wielkim trudem otworzyło dwóch bojcow i jakiś cywil. Cała trójka wdrapała się do wagonu. Rozpoczęło się wyczytywanie nazwisk. Po zakończeniu sprawdzania, które trwało dość długo, cywil w skórzanym płaszczu wyznaczył tatusia starszym wagonu i polecił mu "przygotować ludzi do przesiadki do stojących naprzeciw wagonów-tiepluszek".

Tiepluszki były to również wagony towarowe przygotowane do przewozu więźniów bądź też zesłańców. Słynne rosyjskie tiepluszki opisane przez wielu polskich i rosyjskich więźniów politycznych, pieriesieleńców różnych narodowości, zesłańców. Ogólnie, różnica między polskim a rosyjskim wagonem polegała na tym, że rosyjskie wagony były nieco szersze, dłuższe, wyższe i o wiele twardsze. Ponadto zauważyłem, że w wagonie rosyjskim stały dwa bardzo sfaitygowane wiadra. W innych wagonach rozpoczęła się chaotyczna przesiadka. Prawie wszyscy wyciągali swoje tłumoki, kufry, zawiniątka, spieszyli się bardzo. Odniosłem wrażenie, iż boją się aby nie odjechał pociąg, do którego mieli polecenie się przesiąść.

Tatus, zwlekał z wydaniem polecenia do przesiadki, coś kombinował, zastanawiał się. A minuty płynęły. Ludzie nie wiem dlaczego, denerwowali się. Czyżby pilno im było jechać, gdzieś w nieznanne?

Tatus wreszcie mówi. Przesiadamy się po pomoście. Sprawa piekielnie prosta, tym bardziej, że staliśmy dokładnie naprzeciw rosyjskiego wagonu. Dwaj młodzi mężczyźni układają pomost z desek nar. Powstał doskonały pomost, po którym w ciągu mniej więcej pół godziny zostały przeniesione wszystkie rzeczy, przeszli również bezpiecznie wszyscy ludzie. Tatus wrócił raz jeszcze do pustego już wagonu polskiego, aby sprawdzić czy coś jeszcze w nim nie zos-

tało. I nie bardzo wiedziałem dlaczego w pewnym momencie przesunął po pomoście do rosyjskiego wagonu pięć czy też sześć desek. Deski te natychmiast zostały schowane w wagonie rosyjskim pod dolnymi narami i zamaskowane różnymi rzeczami, zaś deski z samego pomostu bardzo powoli i starannie, tak, żeby widzieli konwojenci zaczął wciągać do polskiego wagonu. W ten sposób udało się zdobyć dość dużą ilość suchego drewna na rozpałkę. Cała operacja przesiadki naszego transportu trwała około półtora godziny.

Ale wciąż jeszcze nie wiedzieliśmy na jakiej jesteśmy stacji, no chyba tylko tyle, że na granicznej. Na domysły i rozmyślania nie było zbyt dużo czasu bowiem parę minut po przesiadce drzwi zostały zasunięte, szczęknął rygiel zamka. Znowu byliśmy zamknięci, jak dzikie zwierzęta w klatce ogrodu zoologicznego.

Mijały godziny: jedna druda..., Staszek Król rozpałił drewno w piecyku. W wagonie zrobiło się przytulniej. Jedyne skrzypienie butów przechadzających się wartowników świadczyły o tym, że nie zapomniano o nas. Że wciąż jesteśmy pod troskliwą opieką sowietów. Stuknęły bufory wagonów, a po chwili potworne szarpnięcie i pisk hamulców. I znowu jedno, a po nim drugie i trzecie szarpnięcie. Ktoś spadł tuż obok piecyka, na szczęście dla siebie z dolnych nar. Szarpnięcia były tak gwałtowne i silne, iż wydawało się, że nam wszystkim pourywa głowy. To swoją siłą "popisywały się" potężne transsyberyjskie lokomotywy FD. Wreszcie skład ruszył. Gdzieś w oddali słyszałem coraz głośniejsze zbliżające się w naszym kierunku uderzenia buforów. Uderzyły i w nasz wagon. Staszek Król, stojący tuż obok piecyka, ratując się przed upadkiem, mimowolnie chwycił ręką za rozgrzaną prawie do białości rurę. Upadł. Syknął od potwornego bólu. Nasz skład teraz dla odmiany to cofał się, to zatrzymywał. Manewrował. Doczepiał inne wagony. Na pomoc Staszekowi

pospieszyła jego siostra, Hanka, nauczycielka z sąsiedniej wsi Czechów. On sam, pan Staszek, pracował, jako kontroler gotowych wyrobów w fabryce tytoniu w Monasterzyskach. Staszek w 1943 roku został powołany do wojska. Służył pod Berlingiem, tak samo zresztą, jak mój tatuś. Spotkali się na Wale Pomorskim. Parę dni później na jego grób natrafił przypadkowo tatuś. Było to w 1945 roku.

Tymczasem leniwie otworzyły się drzwi. Rozpoczęło się znowu, mozolne, długo trwające odczytywanie nazwiski "pasażerów" wagonu. Przez otwarte drzwi bezpowrotnie ulatywały resztki ciepłego powietrza. Tatuś, jako starszy wagonu, otrzymał polecenie wyznaczenia trzech mężczyzn "w celu udania się na stację i pobrania produktów". Cywil z plikiem papierów w garści, dwaj żołnierze-konwojenci, tatuś oraz wyznaczona trójka mężczyzn razno zeskokczyli z wagonu. Ale zanim to nastąpiło cywil polecił zabrać stojące wiadra oraz dwa worki. Z tymi workami było trochę kłopotu; znalazł się tylko jeden worek. Tak więc funkcję drugiego worka tym razem - po prostu - pełniło prześcieradło. Wspomnę jeszcze, że podczas sprawdzania "pasażerów" ojciec zameldował, że uległ poparzeniu pan Staszek.

- Pokażicie! - powiedział cywil, kierując snop światła latarki na dłoń Staszka.

- Jerunda. Do swad'by zażiwiot.

Pełniej więcej godzinie czwórka mężczyzn konwojowana przez dwóch bojcow wróciła do wagonu. Przynieśli dwa wiadra zupy jaglanej: sownie omaszczonej jakimś olejem, dwa wiadra kipiataki czyli wrzątku-herbaty, 19,5 kirpiczika, czyli kilogramowego czarnego formkowego chleba oraz opatrunek osobisty dla postradawszego, Staszka.

Ani takiego chleba, ani takiej zupy jeszcze dotąd nigdy nie

jadłem. Może dlatego jej nie jadłem. Dla większości nieszczęśników, jednak był to pierwszy posiłek, a co jeszcze ważniejsze pierwsze picie po prawie trzydziestu godzinach od momentu wyjazdu z Monasterzysk. I jeszcze jedno - do sowieckich wagonów przesiedliśmy się dnia 12 lutego w godzinach popołudniowych na dawnej stacji granicznej Husiatyn. Orientacyjnie, jak ocenił tatuś, transport nasz składał się teraz z około 45 wagonów, w tym pięć pullmanowskich oraz z jednego wagonu osobowego, w którym jechał, zapewne, komendant transportu ze swoją żoną. Na tej podstawie oceniam, że mogło nas jechać tym transportem 2000-2100 osób. Gdyby zamiast ludzi przewożono w tych wagonach konie to mogłoby mieścić się ich jakieś 400-420 sztuk.

Tatuś wraz dwoma kobietami zaczął dzielić zupę i chleb. Wypadało jej na osobę około 0,5 litra i tyleż samo wody oraz pół bochenka chleba. I tak miało być, a ściślej było w ciągu całej podróży. Chociaż zdarzały się i takie sytuacje, że i tego przydziału nie otrzymywaliśmy regularnie. Posiłki w postaci zupy, chleba i wody wydawane były w różnych porach dnia i nocy. Wielokrotnie również nad samym ranem. W ciągu 24 dni jazdy otrzymywaliśmy menu standardowe, tzn. zupę jaglaną, którą dwukrotnie urozmaiciliśmy kuchną kapuśniakiem i raz zupą z makaronem. Po przekroczeniu Uralu zamiast zupy parokrotnie dostaliśmy śledzie i dodatkowo, a jakże, dwa wiadra wody. Chleb foremkowy, zawsze czarny, raz lepiej, raz gorzej wypieczony. Chyba w drugim czy też trzecim dniu podróży "brygadę zaopatrzeniowców" powiększono o dwie osoby. Zadaniem jednej z nich było dostarczenie do wagonu węgla, a niekiedy także drewna na rozpałkę; drugiej przynieść dodatkowo dwa wiadra wody pod warunkiem wszak, jeżeli wagon dysponował własnymi

naczyniami. Właśnie woda w ciągu całej pogroźy była największym rarytasem.

O ile chodzi o żywność to okazało się, pieresielenicy mieli sporo własnych produktów. Czegoż tylko ludziska nie zabierali w pośpiechu z domu, jeżeli w większości wypadków mieli pół godziny na spakowanie się. Ale byli i tacy, którzy dosłownie nic nie mieli. Jakiś kolonista, którego nazwiska nie pamiętam miał dwa worki mąki i worek pszenicy, ktoś inny w pośpiechu załadował na sanie pół tuszy świniaka. Ludziska mieli cukier, herbatę, różne kasze, naczynia, ktoś chwycił z domu bańkę nafty, inny naftową lampę stajenną. Były również, oprócz naszych, także inne siekiery, piły; jakaś pani zabrała główkę od maszyny do szycia marki Singer. A nawet znalazł się worek ziemniaków, które oczywiście zamarzyły na kość. My mieliśmy, dzięki moim kłusowniczym skłonnościom zająca, który kruszał, a także sporo smalca, wędlin.

Pan Staszek Król najbardziej zainteresował się bańką z naftą i lampą stajenną, która wkrótce zawisła u sufitu. Mamcia zajęła się pitraszeniem. Matka niemowlęcia gotowała zacierkę. Ale wkrótce mieliśmy się przekonać, że gotowanie było jednym z najniebezpieczniejszych zajęć w wagonie. A spowodowane ono było tym, że lokomotywa podczas ruszania gwałtownie szarpała wagonami, zaś podczas normalnego biegu pociągu zdarzały się częste gwałtowne hamowania. To samo działo się podczas doczepiania lokomotywy. A kiedy to mogło nastąpić nikt nie mógł przewidzieć. W każdym wypadku wszystkie naczynia spadały z piecyka. A gotować przecież trzeba było. Aby zabezpieczyć się przed poparzeniami ktoś w wagonie wpadł na pomysł, żeby wyznaczyć na czas postoju specjalnego dyżurnego, któryby nasłuchiwał dobiegające gdzieś z oddali uderzenia buforów. Złagodziło

to co prawda nieco ilość poparzeń, ale gotująca się strawa i tak lądowała na podłodze. Siedzący ludzie na skraju jednej strony narzadali z nich, z drugiej zaś strony wyrzucani byli nierzadko aż do ściany wagonu. Tatusz zabronił kategorycznie siadania na skraju nar oraz stania naprzeciw piecyka. W sąsiednim wagonie jakaś kobieta została oparzona całym garnkiem wrzątku. Wysadzono ją z pociągu na jednej ze stacji.

Chyba trzeciego, a może czwartego dnia podróży tatusz zameldował konwojentowi, iż chce rozmawiać z komendantem pociągu. Prośba została spełniona. Komendant obiecał, że zwróci na to uwagę maszynistom. Ale lokomotywy zmieniane były nieraz dwa razy dziennie. I albo komendant transportu nie wydał maszynistom odpowiednich poleceń, albo - co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że po prostu maszyniści nie mogli wiedzieć o zawartości wagonów bowiem żadnej poprawy podczas ruszania czy też doczepiania nie zauważyłem.

Podczas, którejś kolejnej już wędrówki po prowiant tatusz zaplątał się w kawałek drutu. Najpierw, jak mówił po powrocie ze stacji do wagonu, odrzucił drut, ale po chwili zastanowienia podniósł go i schował do kieszeni. Zresztą, gwoli ścisłości nie obeszło się podczas tych czynności bez interwencji konwojentów. Zapada decyzja, że gotować od tej chwili można jedynie w naczyniach z uszami. Za nie, tzn. za uszy odtąd przywiązywano garnki do rury piecyka. pięć lat później kiedy z Krasnojarskiego Kraju jechaliśmy najpierw na Ukrainę, a później do Polski ten "wynałazek" tatusia był z wielkim powodzeniem wykorzystywany.

W innych wagonach, jak donosili "zaopatrzeniowcy" naszego wagonu, sytuacja przedstawiała jeszcze tragiczniej, bowiem oprócz poparzeń były liczne złamania rąk i nóg na skutek upadku z górnych nar. A nawet jeden z upadków zakończył śmiercią trzynastoletniego

chłopca.

Pociąg już trzecią dobę mknął na Wschód., wystukując na stykach szyn przedziwne, raz smutne, raz wesołe melodie. Przysłuchiwałem się temu stukowi całymi godzinami, aż do obłądu. Na wschód, na wschód... Dlaczego właśnie na wschód? - zadawałem sobie pytanie. Nie zdając sobie jeszcze sprawy z zaistniałej sytuacji. Ale instyktownie wiedziałem, że oddalając się coraz bardziej od stron rodzinnych nie będziemy wyróżnieni, że ciała nasze nie będą zbeszczeszczone...

Pociąg zatrzymał się na jakiejś kolejowej stacji; manewrował. To znów stał całymi godzinami. A ja wciąż słyszałem to jedno: na wschód, na wschód... Po którymś, trwającym kilka godzin postoju, pociąg ruszył w przeciwnym do dotychczasowego kierunku jazdy. Znaleźli się i tacy w wagonie, którzy widzieli uśmiechnięte twarze konwojentów. Gruchnęła po wagonie wieść, że wracamy do Polski. Nie, nikt nie powiedział do Polski, lecz do domu. I ja chociaż ze szczególną wnikliwością wsłuchiwałem się w melodię kół, nie słyszałem już natrętnego: - na wschód, na wschód.

I znowu stoimy, I znowu słyszę uderzenia młotków o koła. To kolejarze sprawdzają, czy któreś z kół nie pękło od tej szaleńczej jazdy, czy też z powodu siarczystego mrozu. Ale nie. Po godzinie słyszę zbliżające się coraz bardziej uderzenia buforów. To doczepiają lokomotywę. I znowu jedziemy w kierunku przeciwnym do dotychczasowego. Znowu słyszę natrętne: na wschód, na wschód.

Aż do Ufy transport kilkakrotnie jechał, to w jedną, to w drugą stronę. Ale już nigdy od nikogo nie słyszałem, że jedziemy do domu. Za nami została Europa. Wjechalismy do Azji. Mijalismy miasta: Czelabińsk, Omsk, Tomsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk. W sumie od Bertnik przejechalismy, drobiazg, kilkanaście tysięcy kilometrów.



7 marca 1940 roku pociąg zatrzymał się na stacji Kańsk. Transport został podzielony na trzy części. Ale zanim to nastąpiło, najpierw lokomotywa manewrowa ciągnęła wagony to w jedną, to pchała je w drugą stronę. Trwało to w sumie ponad dwie godziny. Chodziło najprawdopodobniej o to, żeby ludzie, na przykład z okolic Czortkowa nie znaleźli się w tym samym miejscu osiedlenia. Wszak mogło to utrudnić sterowanie i manipulowanie nimi. A w skrajnych wypadkach mogło nawet sprzyjać ewentualnemu zbiorowemu oporowi. Tak czy inaczej, władza sowiecka doskonale wiedziała, co robi.

Zarządzono odprawę starszych wagonów. Prowadził ją, jak się przedstawił, lejtnant NKWD, Achańkow Boris Akakijewicz. Padł rozkaz wyładunku, ale zanim to nastąpiło enkawudzista osobiście sprawdził nazwiska i dane osobowe "swoich" podopiecznych. Czynności sprawdzające trwały jak zwykle bardzo długo, a otwarte drzwi wagonów bardzo dotkliwie wyziębily ich wnętrza. Było stosunkowo ciepło, jak na tamtejsze warunki. Stacyjny termometr wskazywał "tylko" 30<sup>o</sup> C poniżej zera. Przygrzewało nawet blade syberyjskie słońce.

Jadaliśmy się wraz z naszym skromnym dobytkiem na trzyto, nowe otwarte zisy. Inaczej - dwie ciężarówki przypadały na ludzi stłoczonych w jednym wagonie. Ruszyliśmy w pierwszej kolumnie złożonej z dziesięciu ciężarówek. Samochody kluczyły zrazu zasypnymi śniegiem szerokimi ulicami Kańska. Wszędzie, i do dużych, i do małych drewnianych domów prowadziły od ulicy wąskie wydrążone w dwumetrowej warstwie śniegu ścieżynki-tunele. Po kilkunastu minutach wyjechaliśmy z miasta. Kierunkowskaz drogowy w połowie zasypany śniegiem wskazywał miejscowość Aban - 80 kilometrów. Samochody jechały najpierw parę kilometrów otwartą przestrzenią z ogromnym trudem przebijając się przez liczne zasy. Miejscami nie na wiele

przydawały się nawet założone na koła grube łańcuchy. Po wjechaniu do lasu śniegu było co prawda znacznie mniej, ale za to pojawiły się wyboje znacznie utrudniające jazdę. Tę drogowskazową odległość 80 kilometrów pokonaliśmy w ponad cztery godziny. Około dwustu ludzi, a wraz z nimi naszą rodzinę zakwaterowano w dużej sali abażńskiego domu kultury. Tam otrzymaliśmy kipiatak, zupełną przypominającą zacierkę oraz <sup>do</sup> dwa bochenki czarnego foremkowego chleba na osobę. Chleb ten, jak się okazało miał wystarczyć nam na kolejne czekające nas cztery dni podróży. Saniami. Już bez strażników, jedynie w towarzystwie Achańkowa. Jechaliśmy cały, bardzo krótko trwający o tej porze roku dzień. Droga, a raczej trudno dostrzegalny jej ślad wiała się między wiekowymi sosnami i modrzewiami. Co jakiś czas dały się słyszeć jakieś bardzo głośne, trudne do opisanie dźwięki. To po prostu mróz rozrywał pnie i korony drzew. W miejscach nizinnych całymi kilometrami jechaliśmy przez las brzozowy. Na gałęziach brzoź żerowały nieznane mi ptaki. To znów mijaliśmy liczne jakieś drzewa szpilkowe, których nazwy nie znał nawet mój tatuś-leśniczy. Były to, jak się dowiedziałem znacznie później - cedry.

Jedziemy ciągle na północny-wschód. Pod wieczór wjeżdżamy na rozległą polanę. Skąd roztacza widok dziwny. Widać unoszące się ku górze dymy z kominów. Świadczą o istnieniu życia - domów. Ale domów stąd nie widać, domy utonęły w głębokim śniegu. Skręcamy nieco w prawo. I po paru minutach jedziemy stromym brzegiem jakiejś szerokiej rzeki. Nazwy tej miejscowości niestety nie pamiętam, nie pamiętam również nazwy rzeki.

"Nasze" sanie zatrzymują się przed stosunkowo okazałym budynkiem szkoły. Tu w niesamowitej ciasnocie spędzamy noc, już drugą

od momentu opuszczenia wagonu. Otrzymujemy kipyatok oraz po kawałku gotowanego żyłastego mięsa. Przydział chleba na całą podróż - pół kilograma na dzień - otrzymaliśmy w Abanie. Tej nocy miałem bardzo dziwny sen. Najpierw śnił mi się bertnicki, pieczony na listku z kapusty i posypyany czernuszką chleb, później gorąca, obficie umaszczona olejem zupa jagłana. Cieszyłem się, że Rosjanie mają tak dużo jagieł. Następnego dnia jedziemy dalej parę godzin korytem tej samej rzeki; omijając liczne duże wyspy. Tak dojeżdżamy do jej ujścia. Z kolei wjeżdżamy na lodową taflę innej jeszcze szerszej rzeki. Rzeka ta w tym miejscu dość gwałtownie skręca na północny zachód. Tak to po dwóch-trzech godzinach dojeżdżamy do miejscowości Poczot. Nocujemy znowu w budynku szkoły w niesamowitej ciasnocie. I znowu dostajemy kipyatok i jakąś potwornie śmierdzącą czosnkiem zupę. Następnego dnia rano wyruszamy w dalszą drogę. Jedziemy nadal korytem rzeki, kierując się na północny wschód. Po mniej więcej czterech godzinach jazdy zatrzymujemy się w posiołku Płachino. Otrzymujemy krupnik i kipyatok. Tym razem nocujemy w dwóch bardzo dobrze ogrzanych barakach. Mamy dużo miejsca. Biegam z dziećmiakami między piętrowymi pryczami. W ciągu kolejnego już dnia jazdy, a zarazem ostatniego dnia jazdy saniami jedziemy zamarzniętym korytem rzeki. Zmęczone konie w godzinach popołudniowych dowlokły nas do posiołka Tuleń. Zatrzymujemy się przed pięcioma barakami. Z sań schodzą przemarznięci do szpiki kości pieriesieleńcy. Jedynie furmani (jeden furman obsługiwał pięć sań) ubrani są, podobnie zresztą jak i lejtmant NKWD, w długie kozuchy uszyte z psich skór, obuci w walonki - dziarstko zeskakują z sań. Wydało mi się wówczas, że oni w ogóle nie reagują na mróz.

Zeskakując z sań uradowany Achańkow oznajmił.

- Wot i prijechali. Damoj - dodał.

Jak się okazało domem tym miał być dla nas jeden z baraków. Tem, który w pośpiechu zajmowaliśmy, chroniąc się przed wzmagającym się mrozem. Achańkowa przywitało dwóch rosłych mężczyzn odzianych w watowane spodnie, walonki, czapki uszanki. Enkawudzista podał jednemu z miejscowych plik jakichś papierów.

Baraki zbudowane były z grubych okrągłych bali w kształcie prostokąta. Do baraku wchodziło się przez jedne z dwóch drzwi, które znajdowały się na krótszych bokach budynku. Po każdej długiej stronie baraku znajdowały się cztery okna - a właściwiej - okienka, przez które średnio otyły człowiek miałby kłopoty przecisnąć się. Okna były pojedyncze; pokryte grubą warstwą szronu, głównie zaś lodu. Przez te okienka z trudem sączyło się światło dzienne. W baraku, jak się potem okazało, nawet w okresie lata panował półmrok bowiem wzdłuż obu ścian baraku zbudowane były dwupiętrowe prycze, które bardzo skutecznie zasłaniały dostęp światła. Między pryczami było przejście-korytarz około dwumetrowej szerokości. Dokładnie pośrodku tego przejścia, i dokładnie pośrodku baraku na dość wysokiej podmurówce, stał żeliwny, duży prostokątny piec, zwykle rozgrzany do białości. Obok pieca leżała sterta sosnowych, półmetrowej długości polan. Drugi piec znajdował się w niedużej, nie przekraczającej 15-16 metrów kwadratowych przybudówce.

Powierzchnia baraku wraz z przybudówką, według mojej oceny - równa była powierzchniom dwóch pullmanowskich i dwóch pojedynczych wagonów. A więc zupełnie nieźle, jak na początek. Tym bardziej, że przecież na podobnej powierzchni, w zamkniętych, pozbawionych światła wagonach "zamieszkiwało" całymi tygodniami nie mniej niż 240 osób. A tu, w baraku, było nas "zaledwie" 195 osób. I w dodatku można było wyjść z niego o dowolnej porze, choćby tylko po to,

by zaczerpnąć z przerębli wody. Patrzyłem na to wszystko, co działo się wokół nas, oczami chłopca rozpieszczonego dziecka, które miało zaledwie 9,5 lat. Byłem ciekawy życia, każdą zmianę sytuacji, każde wydarzenie traktowałem, jako wielką niepowtarzalną przygodę. Moją wyobraźnię, chęć przeżycia czegoś niepowtarzalnego rozbudziła we mnie znajoma moich rodziców Kamila Sobieszczkańska - niegdyś narzeczona mojego ojca - która godzinami opowiadała o swoich fantastycznych ośmioletnich przeżyciach w Brazylii.

Zachowywałem się i reagowałem na otoczenie zapewne tak jak czyni to obecnie moja prawie dziesięcioletnia wnuczka Agnieszka Orzechowska. Ciekawa wszystkiego, a niekiedy nawet wścibska. A wnuk Andrzejek, wypisz wymaluj - myśli, zachowuje się, bawi się, jak wówczas moja siostra Danusia.

Do baraku - każdego baraku - dobudowane było małe pomieszczenie do którego wchodziło się z baraku. Również tam pośrodku stał rozgrzany do białości średniej wielkości piec żeliwny. A po przeciwległej ścianie od drzwi było okno wielkości "okienka w naszym" wagonie towarowym. Przy jednej ścianie ustawione były dwupiętrowe prycze, przy drugiej od podłogi aż do samego sufitu - półki. Do niedawna, o czym dowiedziałem się wiele miesięcy później, suszono tu walonki. Barak wraz z przybudówką przypominał mi wagon towarowy z budką strażniczą. Dobrze byłoby, myślałem wówczas zamieszkać w takiej budce.

Tatusz zajął dolną pryczę, tuż naprzeciw otwartych drzwi, w tym tajemnym dla mnie pomieszczeniu. Nad nami "zamieszkała" czterosobowa rodzina krawca spod Czortkowa, Bronisława Hofmana. Prycza podobnie jak zresztą wszystkie pozostałe, miała około dwóch i pół metra długości i prawie 1,70 szerokości. Z trzech stron obita była dartymi deskami szerokości około 30 centymetrów, tworząc swego ro-

dzaju piaskownicy bez jednego boku. Była to standardowa, uregulowana zapewne jakimiś odgórnymi zarządzeniami władz, powierzchnia domu-legowiska przeznaczona dla czterech osób. Do rodzin, które składały się z trzech osób "dokwaterowywano" jeszcze jedną osobę samotną lub kogoś z rodziny pięcioosobowej. Ale te ostatnie, z zasady, nie korzystały z tego dodatkowego przydziału. Siedmioosobowa rodzina państwa Izbińskich zajęła dolną i górną pryczę tuż za nami. Ich sublokatozem przez pewien czas, o ile dobrze pamiętam, był pan kapitan Józef Iskrzak. Mnie jednak nęciło to ponure zabudowane częściowo półkami, a częściowo dwoma dość wąskimi piętrowymi pryczami pomieszczenie. Nęciło także dlatego, że było w nim bardzo ciepło. Mamcia nie mogąc się dopchać z czajnikiem do pieca w baraku, postawiła go po prostu na piecyku, który znajdował się w pomieszczeniu tuż obok nas. Do mamci dołączyła wkrótce ze swoimi garnkami najstarsza córka Izbińskiej, Jadzia. Trochę później jeszcze ktoś. W pewnym momencie do baraku wszedł naczelnik lespromchozu, zajrzał również do niegdysiejszej suszarni walonek.

- Prawilno sdieżali - powiedział.

Do dnia dzisiejszego nie udało mi się ustalić, nie tylko kiedy, ale i kto polecił nam i państwu Izbińskim wprowadzić się do tego pokoiku. Pamiętam, a ściślej biorąc widzę, jak przez mgłę tatusia, Staszka Izbińskiego oraz jakiegoś Rosjanina, którzy mierzolnie budują prycze. W ciągu następnych paru dni przywieziono do Tulenia kolejnych pieriesieleńców z naszego transportu. Zajęli oni dwa kolejne baraki.

W dniu przyjazdu do Tulenia nasza rodzina otrzymała dwa bochenki chlega foremkowego, dwa litry zupy pęczakowej, osiem solonych śledzi, a następnego zaliczkę pieniężną w wysokości 50 rubli.

Następny dzień przeznaczony był na tzw. zagospodarowanie, załatwianie różnych formalności, sporządzeniu spisu dzieci w wieku szkolnym. A jakże. Naczelnik lespromchozu, Głuszenkow Witalij Pietrowicz podał adres obecnego naszego miejsca zamieszkania. Brzmiał on: "posiołek Tuleń, rajon Aban, Krasnojarskij Kraj. Rzeka, dodał, nazywa się Birusa, ale miejscowi nazywają ją zwykle Ona. Najbliższa stacja kolejowa <sup>Kańsk</sup> to <sup>to</sup>odległy od Tulenia 350 kilometrów z hakiem!"

Od siebie dodam, że terytorium Krasnojarskiego Kraju wynosi ponad 2400 tysięcy kilometrów kwadratowych ( dla porównania przypomnę, że terytorium Polski w obecnych granicach wynosi 312,7 km<sup>2</sup>). W jego skład wchodzi dwa okręgi autonomiczne: Tajmyrski, czyli Dołgano-Nieniecki i Ewenkijski oraz obwód Chakaski. Na terytorium Krasnojarskiego Kraju zamieszkiwało wówczas nieco ponad 3 miliony ludzi w tym co najmniej jedna trzecia to więźniowie gułagów, pieriesieleńcy oraz ludzie bez prawa opuszczania wskazanego przez władze miejsca pobytu. Tuleń leży prawie dokładnie na przecięciu się 96° wschodniej długości geograficznej i 58° północnej szerokości geograficznej.

Jeszcze tego samego dnia mamcia napisała dwa czy też może trzy listy i oddała je - otwarte zgodnie z poleceniem - do siedziby NKWD. 14 marca prawie wszyscy otrzymali przydziały pracy. Polegało to na tym, że tworzono specjalistyczne brygady, zadaniem których było wykonywanie ściśle określonych robót. Brygadami kierował brygadzista, zaś wykonane prace oceniał i odbierał tzw. dziesiątnik. Tatuś został przydzielony do brygady, której zadaniem było wyrąbywanie uwięzionych w lodzie kłoców tratw. Trzeba było przeto najpierw odnaleźć i ustalić miejsce prawdopodobnego uwiezienia tratw. A warstwa śniegu pokrywająca lód przekraczała półtora metra. Przeto miejsce to wskazywał Rosjanin-brygadzista. Później trzeba było we

wskazanim miejscu odgarniać śnieg. A śnieg pod zesznieną warstwą był sypki jak cukier. Zsypywał się z drewnianych łopat. Następnie siekierami-kołunami należało wyrąbywać z lodu pojedyncze kloce. Uwolnione z lodu bale były z kolei przy pomocy specjalnego kołowrota wyciągane liną na stromy brzeg. Była to praca wyjątkowo trudna i niezwykle ciężka, a przede wszystkim nieskuteczna. Ale to już specjalnie nikogo nie interesowało. Tak to na początek w ciągu tygodnia brygada składająca się z trzydziestu mężczyzn wydobyła z lodu i wyciągnęła na brzeg zaledwie - a raczej aż - dwadzieścia kłoców. Ja wraz z kilkoma rówieśnikami - dopóki nie zostały uruchomione zajęcia szkolne - otrzymaliśmy zadanie zrzucenia z dachów baraków śniegu. Dachy kryte były dość krótkimi, nie przekraczającymi półtora metra długości tzw. dartymi czy też łupanymi deskami. Deski ułożone były na zakładkę i mocowane do gontów poprzecznymi stosunkowo grubymi belkami. Belki te dość skutecznie utrudniały zsuwanie śniegu ze stromego dachu, ale równocześnie dostatecznie dobrze zabezpieczały przed upadkiem. Ze śniegiem uporaliśmy się w ciągu czterech dni. W ciągu następnych paru dni zrzucaliśmy śnieg z kantory, sklepu, szkoły, kuchni-słóżki, łaźni, siedziby NKWD. A tak naprawdę zajęcie to było dla nas wszystkich chłopaków doskonałą zabawą. Mamcia i trzy inne kobiety opiekowały się pozostawionymi w baraku dziećmi. Siedemdziesięcioletni pan Józef Iskrzak wraz z dwoma starszymi kobietami mieli za zadanie podtrzymywanie ognia w piecu w ciągu całej doby. Moja siostra wraz z Marysią Izbińską beztrudnie bawiły się w baraku w chowanego. A chować się było przecież gdzie. •

Utworzono także kilkanaście trzyosobowych brygad, które skierowano na lesopowiąź-ścinanie drzew. Inne, również trzyosobowe brygady



cięły zwalone drzewa na półmetrowej długości klocki, które następnie rąbano i układano z polan, tzw. metry. Praca ta, podobnie jak i każda inna, była ściśle normowana i, powiedzmy opłacana. Za przygotowanie jednego metra kubicznego drewna do pałenia płacono rubla, tj. równowartość kilograma chleba. A kilogram chleba na wolnym rynku kosztował wówczas 100 rubli! Norma dla dorosłych, a pracę tę wykonywały przeważnie kobiety, wynosiła trzy metry kubiczne na osobę na dniówkę, zaś dla nieletnich - jeden metr. Ułożone w metry polana odbierał codziennie dziesiętnik, który według instrukcji musiał "skasować" czerwonym ołówkiem każde polano. Ale zadanie to praktycznie było niewykonalne; tak samo zresztą, jak nacięcie, narąbanie i ułożenie jednego czy też trzech metrów sześciennych polan. A od wykonania normy na każdym stanowisku roboczym ściśle uzależniony był przydział chleba, innych produktów żywnościowych oraz odzieży roboczej. Kto więc chciał przeżyć - a któż nie chciał? - starał się różnymi sposobami wykonać normę, a nawet ją przekroczyć. Za przekroczenie normy można było otrzymać specjalną sprawkę-zaświadczenie, które upoważniało do zakupienia w miejscowej ławoczce-sklepiku walonek bądź czapki-uszanki, czy też waciaka.

Podczas codziennych odpraw produkcyjno-ideologicznych Achańkow wraz z naczelnikiem lespromchozu, Witalijem Fiotrowiczem Głuszenkowym podsumowywali pracę każdej brygady, każdego oddzielnego robotnika. Jedni byli chwaleni, inni ganieni. Ale sporo <sup>było</sup> nagan z wpisaniem do akt. Jako pierwsza tego zaszczytu dostąpiła brygada wydobywająca kłocę z lodu. Achańkow mówił, że ludzie pracują niewydajnie, obijają się, zbyt często palą papierosy, odpoczywają. "A przecież, kłocę te - mówił najpierw podnosząc głos, a następnie krzycząc przeznaczone są nie byle na co, lecz na budowę szkoły.

Nowej szkoły dla waszych dzieci". Dodając, że jak dobrze wszystko pójdzie, to zbudujemy również nową łaźnię. Zwykle po pochwałach i pogrózkach - już spokojnym tonem - wyznaczał brygadam, a nawet niekiedy pojedynczym ludziom nowe zadania produkcyjne. Kończył zwykle odprawę tak:

- Posłuchajcie teraz, jak znakomicie pracują ludzie radzieccy, jakie mają osiągnięcia produkcyjne. Po tym wstępie streszczał zwykle dwa-trzy artykuły - sprzed trzech-czterech tygodni - z dziennika "Krasnojarskij Rabocziej" oraz odczytywał jakiś artykuł z "Prawdy". Podczas prasówkowej części odprawy następowało wśród Polaków całkowite odprężenie. Tym większe, że po prostu ludzie w przeważającej większości nie znali języka rosyjskiego, nie wiedzieli o czym mówi, co czyta. Jedynie ci, którzy znali dostatecznie dobrze język ukraiński byli w stanie uchwycić ogólnie treść wydawanych poleceń, udzielanych pochwał i nagan, treść streszczanych, czy też odczytywanych artykułów. Dlatego ludzie stali z opuszczonymi głowami, jak na przysłowiowym tureckim kazaniu. Ponadto ludzie byli potwornie zmęczeni całodzienną pracą, głodni, przemarznięci. A Achańkow mówił wyjątkowo szybko. Jedynie, gdy padało jakieś nazwisko, jak smagnięty batem koń - unosili głowę. Milczeli, dopytywali się stojących obok - o co chodzi. Najlepiej mieliśmy my - nieletni robotnicy. Podczas odpraw staliśmy bowiem "ukryci" za plecami naszych ojców, matek, starszych sióstr i braci. Wciąż jeszcze mając ochotę i siłę na baraszkowanie, po prostu - na wygłupianie się. Ciągle jeszcze nie rozumieliśmy tragizmu sytuacji.

Na którejś z odpraw poprosił o głos Józef Z., wysoki, atletycznej budowy ciała, góral z pochodzenia, kolonista z wyboru. Za udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku, jak wielu jemu podob-

nych, kupił na dogodnych warunkach parę morgów ziemi pod Czortkowem. Wciąż jeszcze mówił czystą góralską gwarą, trudną do zrozumienia nawet dla rdzennych Polaków. Wówczas, w marcu 1940 roku, mógł mieć jakieś 50-55 lat. Do dzisiaj pamiętam doskonale jego nazwisko, jego rysy twarzy, czarne krótkie wąsy, niedźwiedziowaty sposób poruszania się. Pamiętam jego żonę panią Magdalenę oraz dwójkę dzieci, starszą ode mnie o dwa lata Marysię oraz Dziunia, który wówczas był w wieku mojej siostry. A nazwiska nie podaję ze względu na tzw. dobro dzieci pana Józefa. Z rodziną Z. związani byliśmy na dobre i na złe na Syberii i później na Ukrainie w ziarnosowchozie "Idustrija". Z panią Magdaleną i jej dziećmi wracaliśmy do Polski. Mieszkaliśmy jeszcze parę tygodni w sąsiednich pokojach w miasteczku Chociwól koło Stargardu. Bo kto z nas Sybiraków miał odwagę, a ściślej potrzebę zasiedlać stojące puste wille i mieszkania. I tu, w Polsce mieszkaliśmy razem, aż do kwietnia 1946 roku, kiedy to tatuś zabrał nas do Milicza.

Pan Józef Z. zlustrowawszy wzrokiem zebranych zwrócił się do Achańkowa i Głuszenkowa, mówiąc o braku odpowiedniej odzieży, obuwia, o wyjątkowo kiepskim wyżywieniu, ciasnocie, o pluskwach, o masowych przeziębieniach.

Achańkow stał zmieszany - a Głuszenkow, tak naprawdę tu się nie liczył - patrzył i chyba, tak myślę, nic z tej wyliczanki nie rozumiał. Czy znał język polski - nie wiem. Jeżeli jednak znał, to nigdy się z tym nie zdradził. Enkawudzista rozkładał jedynie ręce, co znaczyć miało, że nie wie, o co idzie. Pan Józef podszedł do Achańkowa, wszedł na podwyższenie, pokazując na swoje obuwie, odzież, czapkę. Odwrócił się pokazując oburącz na stojących pieriesieleńców. Przez stojących przeszedł szmer. To mogło oznaczać bunt, Achańkow długo, bardzo długo milczał lustrując - zdawało się -

każdą pojedynczą twarz. Ludzie milczeli. Patrzyli na swoje obuwie, odzież.

Wreszcie, rzekł:

- Nado było skazať. Obratit' wnimanije.

Widocznie dotąd nie widział, jak ubrani są ludzie, nie wiedział w jakich warunkach pracują, mieszkają, nie wiedział czym są karmieni, nie wiedział i nie widział ilu ludzi choruje.

Tak czy inaczej w ciągu kilku następnych dni kilkanaście osób pracujących na lesopowałce otrzymało walonki, czapki, a nawet rękawice. Nieco poprawiła się garkuchnia.

Wszyscy, dosłownie wszyscy - z wyjątkiem niemowlaków - czekaliśmy na wiosnę, czekaliśmy na zbawienie. I chociaż kończyła się trzecia dekada marca mrozy w nocy dochodziły wciąż do 25°C. W dzień temperatura wahała się od minus 10 do 5°C. Wciąż jeszcze łudziliśmy się - dosłownie wszyscy - że każda rodzina, każdy pojedynczy człowiek trafił tu do Tulenia - przypadkowo, przez pomyłkę.

Jakaś specjalistka od robienia obuwia z łyka, tu w Tuleniu rozpoczęła wytwarzanie łąpci z pojedynczych zwojów lin cumowniczych. Liny te były solidnie nasyczone jakimś poźwornie cuchnącym środkiem konserwującym. Tej pani rodzina paradowała już w dość zgrabnym, a co ważniejsze w stosunkowo ciepłym sznurkowym obuwie. Ale, jak się okazało wkrótce, nie był to wyrób najlepszej jakości, bowiem spody tego sznurkowego obuwia ulegały zbyt szybko przetarciu. I trzeba było starać się o załatwienie nowych. Wkrótce naczelnik lespromchozu wydał zakaz wytwarzania łąpci z lin. Bowiem teraz już prawie każdy Polak na własną rękę starał się zdobyć kilkanaście metrów liny cumowniczej. W ten sposób "niszczono" drogie i dobre jeszcze liny. Rok później kupiłem sobie łąpcie w miejscowym sklepiku. Były

one produkowane przez miejscowe specjalistki ze skasowanych lin. Co to było za obuwie. Trzycentymetrowej grubości podeszwa wzmocniona dodatkowo - nie wiem skąd się wzięta w Tuleniu! - warstwą opony samochodowej. Jak się w tych ciężkich łapciach chodziło, trzeba było włóczyć nogami. Choć, nie ukrywam stanowiły one, te moje łapcie, pożądanie rówieśników.

W pierwszych dniach kwietnia, podczas wyciągania kłoca na brzeg pękła sfatygowana stalowa lina, która smagnęła tatusia po łydkach. Siłę uderzenia, na szczęście, złagodziły nieco cholewy butów oficerskich. Tatusia przyniesiono do "naszego" mieszkania-suszarni. Oficerka nie można było w żaden sposób ściągnąć. Tatus bardzo cierpiał. Ktoś uczynny rozciął cholewy. łydki były opuchnięte i potwornie posiniaczone. Mamcia zaczęła robić jakieś kompresy. Lekarza ani felczera oczywiście w posiołku nie było. Sprawą zainteresował się Achańkow. Najpierw obejrzał, a później obmacał łydki:

- Skoro projdiot - orzekł.

Diagnoza postawiona przez enkawudzistę nie była zbyt trafna. Bowiem dopiero w drugim tygodniu tatus trzymając się nar zaczął powoli z wielkim trudem kuśtykać. Był to pierwszy poważniejszy wypadek przy pracy odnotowany w Tuleniu. Pierwszy, ale, niestety, nie ostatni.

Powoli, lecz nieubłaganie kończyły się nasze zapasy żywnościowe. A u olbrzymiej większości rodaków skończyły się one już dawno. Od wielkiego dzwonu otrzymywaliśmy z miejscowej kuchni-stołówki zupełną z pojedynczymi pasemkami makaronu, a tak na co dzień królowała cuchnąca zupa z czeremszy oraz szczawiu i oczywiście chleb. Aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej ciężko pracujący ludzie otrzymywali 600 gramów chleba, lżej po - 500 gramów, zaś dzieci i

niezdolni do pracy po - 400 gramów. Oprócz tego pracujący otrzymywali miesięcznie 500 gramów kaszy (na ogół jaglanej) oraz 250 gramów oleju i tyleż - o ile sobie przypominam cukru lub landrynek. Dzieci oraz niezdolni do pracy otrzymywali połowę racji ludzi ciężko pracujących. To określenie otrzymywali, nie jest ścisłe, w praktyce oznaczało bowiem mogli kupić. Początkowo nie była normowana sprzedaż machorki, soli, solonych śledzi, zapalek i kiepsciutkiego perkalu. Ludzie zaczęli głodować i coraz częściej chorować.

Na drugi, czy też na trzeci dzień, po wypadku tatusia, postanowiłem rozpocząć regularną pracę zarobkową. Wraz z moim rówieśnikiem Józkiem Izbińskim i dwunastoletnim Czeskim Hofmanem utworzyliśmy brygadę, która ciąła drewno na opał. Norma dzienna dla nieletnich, jak już wspominałem, wynosiła jeden metr kubiczny drewna. W pierwszym dniu zdołaliśmy - uczciwie - pociąć, porąbać i ułożyć jeden metr. A więc we trójkę zarobiliśmy na kilogram przydziałowego chleba. To samo powtórzyło się w drugim i trzecim dniu. Za zarabiane pieniądze nie mogliśmy nawet wykupić przysługujących nam przydziałów żywności. I chociaż byliśmy kompletnie załamani, wciąż nie rezygnowaliśmy. Któregoś dnia, gdzieś koło południa przyjechał saniami po drewno do palenia jakiś Rosjanin-wozak. Skręcił skręta, zapalił. Po chwili zastanowienia, a może wahania wyciągnął kapciuch i złożoną w harmonijkę gazetę i zaproponował zrobić przerwę na pieriekur. Odmówiliśmy. Oparł się więc o charakterystycznie wygięte ku górze płozy sań. Długo przyglądał się naszej pracy. Milczał, to zaciągając się głęboko dymem machorki, to wycierając nos rękawem. Odrzucił daleko od siebie peta. Podszedł do nas, coś doradzał, pokazywał, ale doskonale musiał zdawać sobie sprawę z tego, że praca jaką wykonujemy po prostu przekracza nasze możliwości. My

zaś wciąż jeszcze byliśmy głęboko przekonani, że wykonanie normy leży w zasięgu naszych możliwości.

- Pomogicie mnie, a ja pomogu wam - zaproponował.

Nie bardzo wiedzieliśmy o co chodzi staruszkowi. Ale on postępując ustawił sanie wzdłuż poukładanego metra. Następnie kazał nam załadować na sanie drewno.

- Weź coś - odezwał się najstarszy z nas, Czesiek Hofman.

- Pomóżmy staruszkowi - poradziłem.

Ociągając się przystąpiliśmy do pracy. Wozak stał parę minut w bezruchu, uśmiechał się i kiwał przecząco głową.

- Nie eti - rzekł.

Więc przyspieszyliśmy nieco.

- Nie eti - powtórzył.

Zbaranieliśmy. Coś takiego - odezwał się jak zwykle buntowniczy Józek Izbiński - nie dosyć, że pomagamy, to jeszcze nie podoba mu się nasza praca.

- Ładujcie na sanie tylko <sup>te</sup> polana, które są zakreślone czerwoną kredką, a czyste zostawcie sobie. Wreszcie zrozumieliśmy. Formalnie na sanie załadowaliśmy trzy metry. W rzeczywistości było ich nie więcej niż półtora. Tak więc w ciągu niecałej godziny "wypracowaliśmy" pół dziennej normy przypadającej na naszą trójkową brygadę. To samo powtórzyło się w ciągu kolejnych kilku dni. W drugim tygodniu regularnie wykonywaliśmy 130-140% normy. Byliśmy zadowoleni, zresztą nie tylko my. Był zadowolony również Piort Wasiljewicz, on także wykonywał bez żadnego praktycznie wysiłku swoją normę. I oszczędzał siły konia na gorsze czasy. Dziesiątnika, który codziennie odbierał wykonywaną przez nas pracę zagadywaliśmy, jak tylko mogliśmy, aby ten jak najmniej "skasował" polan. Na szczę-

ście dla staruszka, Piotra Wasiljewicza - ani w malutkiej jednoizbowej szkółce, ani w sklepie, czy też w kuchni-stołówce, bądź w łaźni, ani nawet w siedzibie NKWD nikt nie dokonywał pomiarów przywożonego opału. Któregoś dnia podczas odprawy nasza brygada została przedstawiona, jako wzór godny naśladowania. Cała nasza trójka dostała sprawy na zakup walonek, ale niestety w sklepie obuwia oczywiście nie było. Za to nasze nazwiska wraz z procentami wykonywanej przez nas normy umieszczono na "doskie poczota".

Pochwała pochwałą, wyróżnienia wyróżnieniami, ale moje ubranie i mój ulubiony kożuszek były w opłakanym stanie. Mamcia całymi godzinami po pracy przy świetle palących się polan w piecyku - czeremowała, łatała moją odzież, zszywała dratwą cholewy oficerka tatusia. Tak naprawdę nie wiem, czy bardziej męczyło mnie piłowanie i rąbanie klocków, czy też poruszanie się po głębokim śniegu. Tak czy inaczej wracałem z pracy potwornie zmęczony. Jeść zupy szczawiowej, a zwłaszcza z czeremszy nie mogłem. I tu przy okazji wyjaśnię co to jest ta czeremsza. Otóż jest to roślina dość masowo występująca we Wschodniej i Środkowej Syberii. Rośnie przeważnie w nizinnych wilgotnych miejscach. Liście jej podobne są do liści konwalii. W smaku przypomina czosnek. Tubylcy kiszą ją podobnie, jak my kisimy kapustę.

Niestety Polacy nie doceniali znaczenia czeremszy przede wszystkim ze względu na jej wyjątkowo nieprzyjemny smak. A przecież czeremsza była jednym z nielicznych powszechnie dostępnych źródeł, dostarczających organizmowi witaminy C. Czeremsza ratowała przed cyngą-szkorbutem. Ale o tym wówczas nie wiedzieliśmy.

Powtórzę, kończyły się nieubłaganie przywiezione z Bertnik zapasy. Po stołórkowych racjach, które otrzymywaliśmy - oczywiście odpłatnie - można było co najwyżej spać, a nie ciężko pracować.



Pieniądze, które zarabiała mamcia i ja wystarczały zaledwie na wykupienie przydziałów chleba, zaś o wykupieniu kaszy, makaronu, mąki - nie mówiąc już o oleju - można było tylko marzyć. Rozpoczął się więc handel wymienny - bardzo surowo ścigany przez władze NKWD. Odzież, obuwie, a nawet pościel, jeżeli się je tylko miało - wymieniano na mąkę, solone ryby słodkowodne, a czasami nawet na bezcenne produkty, jakimi były mleko i jaja. Do najbardziej poszukiwanych przez tubylców rzeczy należały damskie szpilki! i zegarki. Za te ostatnie można było otrzymać połówkę świeżego łosia a na dokładkę kilkanaście kilogramów solonych tajmieni.

W zasadzie, co roku, w drugiej połowie kwietnia, miejscowi myśliwi - w tym również kobiety - wyruszali w tajgę polować na łosie. Używam tu po raz pierwszy określenia "tajga", gdyż dotąd tajga dla mnie była po prostu dużym lasem. Sygnałem do ruszenia na łosia było powstanie na powierzchni śniegu nastu-lodoszreni. Lodoszreń powstawała zwykle po paru słonecznych dniach i dodatniej temperaturze otoczenia oraz ujemnych temperaturach w nocy. Na śniegu nierzadko przekraczającym dwa metry grubości tworzyła się skorupa lodowa, która utrzymywała na swojej powierzchni ciężar człowieka, a przede wszystkim psa. Myśliwi posługiwali się specjalnymi krótkimi nartami, nie przekraczającymi na ogół 1,2 metra długości i 35 centymetrów szerokości. Spody tych nart obciążone były skórą z nóg łosi. Skóra ta umożliwiała - bez użycia kijków - podchodzenie na dość strome wzniesienia oraz pokonywanie zwałowisk drzew ciągnących się niekiedy setkami metrów. Niektórzy myśliwi ciągnęli za sobą specjalne długie, o szerokich płozach, dość wysokie sanki, na które ładowano broń, siekiery, żywność. Psy "łajki" po wywęszeniu zwierza atakowały go. Łoś wówczas nie miał żadnych szans.

Zapadał się bowiem w głębokim śniegu, gruba skorupa lodowa raniła jego boki, szyję. Atakowany przez psy łoś szybko tracił siły, czekał na swoją śmierć. Zwierzę ginęło na ogół od broni palnej, bądź od uderzeń siekierą.

Wraz z nastaniem lodoszreni kończył się sezon wycinania drzew.. Ponieważ ogrzane promieniami słońca grube warstwy śniegu na gałęziach drzew po nocnych mrozach zamieniały się w w kilkunastokilogramowe bryły lodu, które - zwłaszcza podczas podcinania drzew siekierami - zagrażały życiu lesorubow. Kasków ochronnych higdy na Syberii nie widziałem.

Tatusz powoli powracał do zdrowia. Najpierw kuśtykał wokół pryczy, później zaczął wychodzić z baraku. Mieliśmy nadzieję, że wkrótce podejmie pracę, że zacznie zarabiać. Naszą skromną kasę rublową mamcia uzupełniała sprzedażą swoich różnych rzeczy osobistych. Trochę rzeczy mamcia wymieniała również na razową mąkę, jaja a niekiedy nawet na mleko. Tak, że głodni póki co, nie chodziliśmy. Ale prawdziwym koszmarem były pluskwy, które dziesiątkami tysięcy gnieździły się w pryczach, w pęknięciach ścian, we mchu uszczelniającym kloce. W każdej ~~chwili~~ wolnej chwili mamcia z Izbińską lały więc wrzątek do szpar w ścianach oraz wokół słupków pryczy. W nocy zaś prawie wszyscy polowali na pluskwy. Jedni z pomocą płonącego łożczywa, inni po prostu rozgniatali wszedobylskie insekty na ścianach, pryczach, pościeli. W malutkim pomieszczeniu zasiedlonym przez jedenaście osób panował niesamowity zaduch, który w połączeniu z zapachem rozgniatanych pluskiew utrudniał oddychanie. Koszmar, zwłaszcza dla tych, którzy mieli "szczęście" spać na górnych pryczach. Pluskwy bowiem bezbłędnie lądowały z sufitu na śpiących, wpijały się w ciało; wysysały krew. Pewnego razu mamcia uszyła dla

mnie z prześcieradła worek, w którym, po zawiązaniu jego sznurkiem jako tako przesyphiałem noce.

W pierwszej dekadzie maja tatuś wydobrzał na tyle, że mógł rozpocząć pracę. Bardzo lekką pracę, jak powiedział zawchoz. Skierowano tatusia wraz z kilkoma kobietami do korowania kloców. Ocieplilo się na tyle, że zapotrzebowanie na drewno opałowe znacznie zmalało. Dlatego wiele brygad drwali rozwiązano, w tym również brygadę, w której pracowałem. Zgłosiłem się na ochotnika do korowania. Najpierw korowaliśmy z tatusiem i paroma kobietami kloce wydobyte z tafli lodowej, miała być z nich - według Achańkowa - zbudowana szkoła i na dodatek bania. Ale ani szkoła, ani bani nie zdudowano. Zawchoz bowiem zarządził, któregoś dnia, ażeby okorowane kloce pociąć na drewno opałowe. Toteż po zakończeniu korowania kloców na brzegu Ony, skierowano nas wszystkich do takich samych prac, ale w tajgę, w odległości 5-6ciu kilometrów od posiołka. Trzeba więc było zabierać ze sobą suchoj pajok. Było to zwykle parę kromek chleba, leciuteńko posmarowanych smalcem bertnickim, butelka przegotowanej wody. Raz w zawiniątku - oprócz chleba - było kilka ugotowanych ziemniaków wielkości włoskiego orzecha. Innym razem dwa-trzy ugotowane na twardo jaja. Mamcia i tatuś w przeciwieństwie do wielu innych rodziców sami odejmowali sobie od ust, ażeby tylko chociaż częściowo zaspokoić mój i siostry apetyt. Pamiętam do dnia dzisiejszego imiona i nazwiska takich ojców i matek, którzy po zakupieniu chleba w sklepiku - chleb po drodze zjadali - wracali do baraku z pustymi rękami. Dzieci tych rodziców zostały w Tuleniu na zawsze.

W przeciwieństwie do tatusia i siostry byliśmy z mamcią wyjątkowo wybredni. Nie znajduję tu bowiem lepszego, precyzyjniejszego

określenia. Do dnia dzisiejszego nie jestem w stanie przełknąć najmniejszego kożuszka na mleku - chociaż mleko bardzo lubię. Natomiast zapach grzybów przyprawia mnie o mdłości. Ugotowane na miękko jajo powoduje wymioty.

I chociaż minęły ponad 53 lata, pamiętam, jak tatuś rozwinął pewnego dnia zawiniątko z naszym obiadem. Był w zawiniątku chleb, kilkanaście ziemniaków w mundurkach i dwa gotowane jaja. A więc mieliśmy przygotowany przez mamcię królewski obiad. Tatuś zawsze przynaglał do spożycia naszego syberyjskiego obiadu. Sam zaś, gdy pracował ze mną w tajdze (po latach dopiero uświadamiam sobie ten fakt), zawsze wynajdywał jakiej przyczyny, które przeszkadzały mu w spożyciu posiłku. Raz mówił, że nie jest głodny. Innym razem, że ma właśnie dolegliwości żołądkowe. Czasem akurat w czasie spożywania przeze mnie posiłku, odchodził aby przynieść gałęzi do ogniska.

Rozbiłem skorupkę jajka. Było ugotowane na miękko. Ugryzłem, zrobiło mi się niedobrze. I zamiast powiedzieć uczciwie o tym tatusiowi, oddać mu po prostu jajko - wstałem i odszedłem pod pretekstem, że muszę się wysikać. Odszedłem na bok. I rzuciłem jajko w pobliskie krzaki. I jeszcze dzisiaj, każdego dnia, gdy zobaczę tylko jajko przypomina się mi to wydarzenie. Do obłędu chodzi za mną ta moja, prześladowuje mnie ówczesna bojaźń, a może raczej nieuczciwość, wyrzuty sumienia! A przecież wtedy ojciec musiał być bardzo głodny. Przy wzroście 166 centymetrów ważył wtedy nie więcej niż 50 kilogramów. Obydwaj z trudem wykonywaliśmy zaledwie 50% normy przypadającej na nas. I tak było aż do końca maja.

15 maja - pociemniała aż do czerni - ruszyła Ona. Rozlegały się najpierw trzaski, grzmoty. Woda błyskawicznie przybierała. Olbrzymie kry, grubości przekraczającej półtora metra wpełzały na siebie, wypychane były na stromy brzeg; podpełzały pod same baraki

i jednoizbowe domki miejscowych ludzi. Groźne były dla wszystkich i wszystkiego. Od czasu do czasu na rzece dojrzeć można było przeskakujące po krach zające, czasem walczył - bez skutku - o życie niedźwiedź lub łoś. Ona (Biriusa) przy średnim stanie wody ma szerokość około ośmiuset metrów - wpada do rzeki Tasiejewa, a ta z kolei do Angary. Spływ lodu trwał zwykle od pięciu do siedmiu dni. I tak było w ciągu pięciu lat. I w ciągu tych pięciu lat tylko raz rzeka ruszyła przed 15 maja.

Po spłynięciu lodów wielu Polaków rozpoczęło wędkowanie prymitywnym sprzętem. Haczyki robiono z agrawek oraz rozhartowanych igieł. Funkcję żyłek spełniały sploty nici, kordonek, dratwa, a znacznie później splecione włosie z końskich ogonów. Według miejscowych specjalistów - ale o tym dowiedziałem znacznie później - aby wędkowanie było skuteczne żyłkę z końskiego włosia należało skręcać w odpowiednim czasie i rytuale. A robić to należało tak: Włosie z końskich ogonów należało skręcać podczas wieczorowego dojenia krów. W tym celu należało zdjąć spodnie i na kolanie przystąpić do skręcania. Podczas tej czynności należało na okrągło powtarzać -

Kluj rybka, kluj na sobacziej ch...

A nie budiesz klewat',

Budiem na ch... nadiewat'.

Splot syberyjskiej żyłki składał się z 18-30 pojedynczych włosów o długości nie przekraczającej na ogół 40-50 centymetrów. Te odcinki wiązało się w parometrową linkę. Funkcję ciężarka spełniała dowolnej wielkości muterka (mutra) wiązana na parocentymetrowej długości przyponie, zaś rolę wędziska spełniała okorowana sosenka. A przecież taaakie ryby można było wyłowić na tak prymitywny

sprzęt! I ja zrobiłem sobie wędkę. Przesiadywałem nad Oną całymi godzinami. Wykonany z agrafki haczyk ciągle rozginały zahaczone ryby, tak że przynosiłem do domu jedynie 10-15 centymetrowe jazgarrze, niekiedy okonki, rzadziej płocie. Najlepszy mój połów początkowo nie przekraczał jednego kilograma. W dodatku po wypatroszeniu i odrzuceniu główek było tego co kot napłakał. Po usmażeniu na patelni pozostawało kilkanaście mizernych tuszek, które trudno było podzielić pomiędzy cztery osoby. Pozostawał jednak w ustach bardzo przyjemny smak, który jedynie zaostrzał apetyt, potęgował głód. Wtedy mamcia rozpoczęła gotować moje wędkarskie trofea wraz z główkami. Powstawała z tego co prawda bardzo cieniutka ucha, ale po zaprawieniu dwoma-trzema łyżkami mąki było już co podzielić. Zupa była do tego owszem, owszem. A co najważniejsze dość pożywna.

Przy końcu maja pojawiły się chmary komarów, które w godzinach porannych i wieczornych uniemożliwiały nam przebywanie na otwartym powietrzu. Miejcowi zaczęli paradować w tzw. nakomarnikach lub smarowali dziegciem twarz i dłonie. Poszliśmy w ich ślady.

Na przełomie maja i czerwca wokół baraków, a także koło śmietników pojawiły się pędy młodej pokrzywy i lebiody. Te młode roślinki stały się wkrótce jednym z najbardziej poszukiwanych uzupełniających artykułów spożywczych. Toteż skoro świt wylegali z baraków staruszkowie, dzieci i tzw. nietrudospobnyje, którzy bardzo skutecznie oczyszczali z chwastów najbliższe otoczenie. W tym samym czasie na kamienistych brzegach Ony wyrosły kilkunastocentymetrowe łodyżki dziko rosnącego, bardzo ostrego, szczypioru, cebuli. Na łąkach zaś pojawił się rosnący również dziko szczypior cebuli łąkowej. Osiągał on 50-60 centymetrów wysokości, zaś jego łodygi przy samej ziemi miały w obwodzie grubość paru centymetrów. Na ni-

zinnych podmokłych terenach można było masowo pozyskiwać liście czeremszy. Władze lespromchozu ogłosiły nawet skup łąkowej cebuli oraz rosnącej w tajdze czeremszy. Można było zbierać ich 10-20 kilogramów w ciągu dnia. Można było zarobić nawet nieco więcej niż przy ścinaniu drzew, czy też cięciu drewna opałowego. Ale zbiorem tych roślin mogły zajmować się jedynie dzieci oraz ludzie niezdolni do ciężkiej pracy fizycznej. Skupioną łąkową cebulę i czeremszę, specjalne brygady kobiece, pod nadzorem miejscowych specjalistek, kisiły w beczkach po śledziach. Wkrótce rozpoczął się również zbiór szczawiu, także przeznaczonego do kiszenia. Na początku, tuż po przyjeździe, moja mamcia pracowała blisko miesiąc jako opiekunka polskich dzieci; później skierowano ją do sprzątania jednoizbowej szkoły, pomieszczeń biurowych, łaźni, sklepu, siedziby NKWD. W czerwcu skierowano ją do pomocy przy kiszeniu darów przyrody. Natomiast ośmioletnia siostra, Danusia pomagała mi przy zbiorze cebuli łąkowej, szczawiu i czeremszy. Tatuś, tatuś w dalszym ciągu korował kloce.

W tajdze pojawiły się pierwsze grzyby smardze-olbrzymy, a nieco później prawdziwki, w jesieni zatrząsienie rydzów; dojrzewały czarne jagody. Na przełomie lipca i sierpnia, na brzegach rzeki można było znaleźć krzewy dziko rosnących czerwonych i czarnych porzeczek. Również maliny. Tak więc nastroje pieriesieleńców, ze względu na obfitość darów przyrody, poprawiły się znacznie. Nie bez znaczenia było także to, że sporo chłopaków wyspecjalizowało się w wybieraniu jaj z gniazd różnych występujących tu bardzo licznie ptaków.

Na początku czerwca, na zakończenie wieczornej odprawy, Achańkow uniósł rękę z dwoma niebieskimi kopertami.

Czytał: Fedus Waleria Stiepanowna. Drugi list adresowany był rów-

niez do mamci.

- Wam powieźło. Woźmitie waszi piśma - powiedział.

Wśród zebranych zapanowała - zdać by się mogło - niekończąca się cisza, która po chwili przerodziła się w niesamotity harmider. Rozlegały się okrzyki, część z zesłańców płakała, co odporniej- si psychicznie dopytywali się od kogo są te listy. Inni domagali się natychmiastowego ich odczytania. A mamcia podczas tej wrzawy i okrzyków tuliła do twarzy dwie koperty. Płakała. Jeden list był od mamci siostry - mojej cioci Genowefy Jedlińskiej z Przemyśla, drugi od pami Heleny Słoneckiej z Bertnik. Achańkow z wielkim trudem uciszył zebranych. Wskazał mamci miejsce obok siebie i kazał czytać! Tak kazał odczytać publicznie, przecież, prywatną korespondencję!? Listy były krótkie. I ciocia i pani Słonecka pisały, że są zdrowe i pracują, że powodzi się im dobrze. Treść listów była bliźniaczo podobna do siebie. Nawet w tym, że obydwie zamierzają wysłać do nas paczki. I jeszcze jeden znamieny sygnał z listu cioci. Pisała mianowicie, że teraz ma bardzo interesującą i dobrze płatną pracę przy wyrobie... farbek akwarelowych! Dziwne to, pamiętając, że do wybuchu wojny ciocia była naczelnikiem jednej z przemyskich poczt. Tego dnia Achańkow nie zdołał przeprowadzić odbywającej się dotąd codziennie prasówki.

W ciągu kolejnych dni przychodziły do naszej kwatery kobiety, które prosiły, ażeby dać im do obejrzenia koperty, a niektóre nawet prosiły o ponowne odczytanie listów. Wśród wszystkich bez wyjątku Polaków w sposób widoczny poprawiły się nastroje. Parę kobiet i paru mężczyzn, którzy mieli kłopoty z pisaniem prosiło mamcię, by ta skreśliła im krótkie listy do swoich bliskich bądź znajomych. To prawdopodobnie zaniepokoiło Achańkowa, wezwał więc któregoś dnia mamcię i kagorycznie zabronił pisania listów innym. Trzy tygodnie po listach nadeszły paczki. A w paczkach prawdziwe skarby: smalec, słonina, dużo kolorowych nici do haftowania, igły,



marę metrów materiału sukienkowego, dwie pary damskiego obuwia. Pamiętam również, że obydwie paczki były niesamowicie wymiętoszone i, że było na nich mnóstwo naklejek i pieczęci lakowych.

Wraz z ociepleniem - jak już wspomniałem wcześniej - pojawiły się najpierw chmary komarów, które szczególnie dawały się we znaki kobietom. Cięły po obnażonych nogach, twarzy i rękach. Sadowiły się również na odzieży przekłuwając swoimi ryjkami tkaninę; wysysały bezlitośnie krew. Po prostu uniemożliwiały pracę na otwartym powietrzu. Ale gdy temperatura powietrza podniosła się do 20°C, pojawiła się jeszcze większa plaga tych terenów - były nią muszki, które wszystkie żywe i poruszające się istoty, atakowały setkami tysięcy. Wlatywały do nosa, do ust, wciskały się za cholewy butów. Załatwienie potrzeby fizjologicznej, w tajdze, na łące, nad brzegiem rzeki stawało się w tej sytuacji praktycznie niemożliwe. Równocześnie z muszkami pojawiły się chmary gzów i bąków, ukąszenia których można porównać do użądlenia pszczoły. Ale te bolesne ukąszenia komarów, muszek, a zwłaszcza bąków i gzów były po prostu pieszczotą w porównaniu ze swędzeniem ciała, które występowało później. Na ukąszenia komarów i muszek narażone były szczególnie kobiety, choćby z tego powodu, że nie miały one na ogół, osłoniętych nóg. Toteż po kilkunastu dniach, na skutek drapania się można było zobaczyć wiele polskich kobiet z ropiejącymi nogami, twarzami, nadgarstkami.

Miejscowe kobiety w dalszym ciągu chodziły przeważnie w watanych spodniach bądź w specjalnych butach zwanych brodniami. Było to obuwie na miękkiej podeszwie, szyte z wyprawionej skóry łosi, niedźwiedzi, z cholewami sięgającymi powyżej kolan. Cholewy butów ściągano w stawie skokowym oraz powyżej kolan specjalnymi rzemie-

niami. Podobne obuwie nosili nieliczni w Tuleniu mężczyźni. Wszyscy, absolutnie wszyscy miejscowi ludzie nosili na twarzach specjalne siatki ochronne, tzw. nakomarniki. Te nakomarniki wykonywane były z gęstej siatki włosów końskiego oraz materiału osłaniającego owłosioną część głowy i barki. Innym sposobem zabezpieczenia się przed ukąszeniami muszek i komarów było smarowanie nieosłoniętych miejsc ciała dziegciem. Ten dziegieć wytwarzano na miejscu, z kory brzozonej. Do posmarowanej dziegciem twarzy, rąk, nóg przyklepiały się tysiące muszek. Dziegieć wraz z potem spływał powoli, ale nieubłagane do oczu, które potwornie piekły. Czynność smarowania nieosłoniętych części ciała należało powtarzać w ciągu dnia kilkakrotnie. My, Polacy, nie mogliśmy się nadziwić dlaczego syberyjskie konie, a raczej koniki są pozbawione prawie całkowicie włosów na ogonach. Wyjaśniło się wszystko - z włosów końskich ogonów wyrabiano nie tylko linki wędkarskie, ale przede wszystkim siatki ochronne przeciwko komarom i muszkom.

Dwa czy też trzy lata później jechałem wierzchem z Tulenia do odległego o 50 kilometrów najbliższego lesoposiółka, Czegaszetu. Po drodze zaatakowały nas gzy i baki. Nie mogłem w żaden sposób opanować konia. Poniósł mnie w krzaki, które zmiotły mnie z siodła. Koń najpierw pędził na oślep nadbrzeżnymi krzakami, później tarzał się, by wreszcie wskoczyć do wody. Mój błąd polegał na tym, że przed wyjazdem nie posmarowałem dostatecznie dobrze konia dziegciem. Pierwszego syberyjskiego lata nikt z Polaków nie dorobił się nakomarnika, gdyż nie było ich w sklepie, zaś miejscowe "tkaczki" żądały takich cen, że nikt nie mógł sobie pozwolić na taki wydatek. Ale po pewnym czasie prawie wszystkie Polki paradowały w męzowskich spodniach, kalesonach, bądź poszyły sobie spodnie z prześcieradeł, koców.

Po powrocie do kraju setki razy zadawałem sobie pytanie, czy łatwiej było znosić nierzadko sięgający 55° Celsjusza mróz, upalne lato, ukąszenia muszek, komarów, gzów i bąków nie mówiąc już o pladze pluskiew i po prostu wszy, czy też najpierw to systematyczne niedożywienie, a po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej głód. Nie wiem. Wiem tylko, że wyboru, niestety, nie było.

Zwykle, na przełomie czerwca i lipca rozpoczynały się sianokosy. Kto żyw został skierowany do tych prac. Mężczyźni, w tym również mój ojciec, kosami kosili bujną trawę łąkową. Kobiety i dzieci rozstrząsały pokosy, grabiły wyschniętą trawę i układały ją w kupki. Parę dni po rozpoczęciu sianokosów na młych nogach, rękach, pośladkach i na plecach pojawiły się pryszczki. Z wielkim trudem mogłem położyć się na pryczy, a o siedzeniu w ogóle nie mogło być mowy. Przestałem chodzić na sianokosy. Zostałem nazwany przez brygadzystę leńtiazem. No cóż, mogę być leniuchem. Ale maksyma: "kto nie rabotajet, ton nie jest" - obowiązywała, więc pozbawiono mnie przydziału chleba. Obowiązywał wówczas przepis, że wszystkie dzieci w wieku szkolnym musiały w czasie wakacji pracować.

Dostałem więc od brygadzysty "rabotu po błatu". Ta kumoterska praca polegała na tym, że musiałem przy pomocy konia przewozić, a ściślej przeciągać kupki siana w jedno miejsce do sterty. Dostałem konia, chomąto oraz piętnastometrowy sznur. Prace te według wskazań brygadzysty wykonywałem tak. Podjeżdżałem wierzchem do kupki siana, zeskakiwałem z konia i stopami tuż przy samej ziemi opukiwałem ją naokoło. Następnie zakładałem sznur 10-15 centymetrów od ziemi i wolny koniec sznura wiązałem do chomąta. Dalej było już wszystko proste. Należało dosiąść konia i ciągnąć kupkę siana do sterty. Istotnie praca lekka, łatwa i przyjemna, gdyby nie moje czyraki.

Kiedy siedziałem w siodle wyłem z bólu. Prowadzić konia nie było bardzo można, gdyż trwałoby to zbyt długo, a i ból nie byłby wcale mniejszy. Wracalem do baraku zbolaly. Kalesowy tatusia, które ubierałem pod spodnie, by zabezpieczyć się przed muszkami i komarami, nie mówiąc już o gzach i bąkach, które setkami krążyły koło konia - były czerwone od krwi i żółte od ropy.

W szczycie mojej "pryszczowej choroby" mamcia z Danusią naliczyły ponad 20 pryszcz rozsianych po całym ciele. Mała to pociecha, ale kilku moich kolegów miało ich jeszcze więcej. Odzież moja i ja cuchnęły tak okropnie, że nawet muszki i komary - jak mi się wydawało - zbliżały się do mnie niechętnie. Ale za to całymi chmurami siadały na mnie muchy. Gdzieś dopiero w połowie września znikł ostatni pryszcz z mojego pośladka. Na całym ciele pozostały jedynie fioletowo-niebieskie plamy.

Pod koniec sierpnia Achańkow oznajmił, że wszystkie dzieci w wieku szkolnym muszą obowiązkowo uczęszczać do szkoły. No cóż, jak trzeba iść do szkoły, to trzeba. Więc poszedłem. Stary budynek szkoły - nowego tak i niewybudowano - położony był zaledwie 30 metrów od naszego baraku. Była to szkoła jednoizbowa. Powierzchnia klasy wynosiła nie więcej niż 30 metrów kwadratowych. Zebrało się nas Polaków w tej salce ponad 60 osób. Kierownikiem szkoły i nauczycielem w jednej osobie był Głuszenkow Piotr Witaljewicz, syn naczelnika lespromchozu. Z braku dostatecznej ilości ławek większość z nas siedziała na podłodze. Było niesamowicie ciasno. Wśród nas było sporo takich, którzy do szkoły dotąd w ogóle nie chodzili, ale byli i tacy, którzy ukończyli już piątą, szóstą a nawet siódmą klasę. Tak więc rozpiętość wieku i wiedzy była duża. Piotr Wataljewicz pierwszą lekcję rozpoczął od sprawdzania listy obecności.

Równocześnie pytał nas, kto jaką klasę i gdzie skończył oraz czy uczył się jakiegoś języka obcego. Mniej więcej połowa z nas uczyła się w szkole języka ukraińskiego, niektórzy nawet niemieckiego. Ja na przykład ukończyłem pierwszą klasę z ukraińskim językiem nauczania, zaś język polski w Bertnikach obowiązywał dopiero od klasy drugiej. Teraz, tzn. we wrześniu 1940 roku, powinienem już uczęszczać do czwartej klasy, a siostra - do drugiej. Tak czy owak rok szkolny 1939/40 mieliśmy w zasadzie wszyscy stracony. Ale nie była to wielka strata, jak patrzę na to z perspektywy lat. Nasz nauczyciel sprezentował nam po jednym 16-kartkowym zeszytcie oraz po jednym ołówku kopiaowym. Resztę potrzebnych zeszytów mieliśmy zakupić w miejscowym sklepiku. (Od wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej aż do jej zakończenia pisaliśmy przeważnie na marginesach gazet).

W klasie stało dziesięć czy też dwanaście ławek zbitych z nieheblowanych desek. Na frontowej ścianie wisiał portret jakiegoś pana z długimi wąsami i bujną czupryną, zaś w kącie, na niskim podium, była nieduża kapliczka, starannie obita czerwonym materiałem. W środku kapliczki umieszczone było dość duże popiersie jakiegoś człowieka z bródką dla odmiany całkowicie łysego. W lewym kącie klasy, przy ścianie piął się w górę, bardzo szeroki, dość wąski komin. W kominie tym na wysokości około 1,5 metra zrobione było palenisko - do złudzenia przypominające dzisiejsze kominki. Nad kominkiem ułożona była rura odprowadzająca dym z prostokątnego piecyka żeliwnego. W ścianach, trzy - o wiele większe niż w barakach - okna i oczywiście na ścianie frontowej tablica. Stół nauczyciela przykryty był czerwonym suknem. Po kilkunastu minutach <sup>momentu</sup> rozpoczęcia drugiej lekcji wiedziałem już, że portret na frontowej ścianie przedstawia Józefa Wisarionowicza Stalina - wodza międzynarodowego proletariatu. Skoro międzynarodowego dziwiłem się, dlaczego pani Słonecka nic nam na jego temat nie mówiła. To miejsce, które nazwa-

łem kapliczką nazywało się faktycznie krasnyj ugołek, a popiersie przedstawiało Włodzimierza Iljicza Lenina albo inaczej Uljanowa, który z kolei był wodzem międzynarodowej rewolucji i twórcą państwa sowieckiego. Nie byłem jednak do końca przekonany, że jest to krasnyj ugołek, a jeżeli już tak było to chyba dlatego, że dotąd - w moich rodzinnych stronach nie widziałem czerwonej kapliczki. Zresztą, nie musiałem przecież wszystkiego widzieć. W każdym razie, gdy tak patrzyłem na krasnyj ugołek ręce odruchowo składały mi się do modlitwy...

Już po dwóch tygodniach na lekcji wychowawczej Piot Witaljewicz długo i zawile tłumaczył nam, że Boga nie ma, że jest to wymysł głupich popów. W klasie panował niesamowity harmider, ale nauczyciel jakby nie słyszał tego, nie dostrzegał. Wreszcie zdecydowanie i bardzo stanowczo zdołał uciszyć klasę. Dopiął swego. Zapropomował modlitwę do Boga ( w dotychczasowej pisowni rosyjski Bóg pisze się z małej litery). Siedzieliśmy wsłuchani i wpatrzeni w swojego nauczyciela. Piotr Witaljewicz napisał na tablicy:

Bog, Bog - daj sładkij pirog...

Najpierw zdanie to czytali parokrotnie poszczególni uczniowie, później chórem przeczytaliśmy go trzykrotnie. Rozlegało się lamentującym głosem.

Bog, Bog - dal sładkij pirog...

I nic. Bezskutecznie. Piotr Witaljewicz zaglądał pod ławki, do pieca, kominka, zajrzał również za krasnyj ugołek, uchylił tablicę. Nigdzie, ale to nigdzie nie znalazł słodkiego nadziewanego ciasta. Poleciał więc wstać wszystkim i znowu powtórzyć trzykrotnie słowa: Bog, Bog - daj sładkij pirog. Po tej modlitwie-prośbie zwrócił się do paru uczniów, aby pomogli mu szukać sładkij pirog. I znowu nikt nic nie znalazł. Nie zrażony tym faktem nauczyciel poleciał

dyżurnemu zetrzeć tablicę.

Nauczyciel napisał zdanie:

- Sielsowiet - daj konfiet.

Czytaliśmy to zdanie najpierw pojedynczo, a potem chórem.

I znowu Piotr Witaljewicz zaczął szukać. O dziwo - tym razem ze skutkiem. Wyciągnął bowiem zza krasnego ugołka torbę z prawdziwymi cukierkami, którymi zostaliśmy poczęstowani. Co ciekawsze w miejscowym sklepiku tego gatunku cukierków nie widziałem. Jak to się stało, że nikt z szukających piroga nie dostrzegł ukrytej torby z cukierkami za "kapliczką" po prostu nie wiem do dnia dzisiejszego. Tym bardziej zadziwiające, że na drugi dzień z paroma chłopakami przeszukałem dość dokładnie krasnyj ugołek i żadnej tajemnej skrytki tam nie znaleźliśmy. Nie znaleźliśmy również cukierków. Najprawdopodobniej nauczyciel był w zмовie z którymś z chłopaków, a może użył jakiegoś triku.

Ale wróćmy do pierwszego dnia, do pierwszych lekcji w szkole. Rozpoczęto je od podzielenia nas na nieco ponad dwudziestoosobowe grupy. Na tych, którzy uczyli się języka ukraińskiego i na tych, którzy nie uczyli się go wcale. Zaś kilkanaście osób, które ukończyły już piątą-siódma klasę zwolniono z obowiązku szkolnego i skierowano do pracy. W ten sposób utworzone grupy stanowiły konglomerat dzieci w różnym wieku i różnym poziomie wiedzy. Większość czasu lekcyjnego przeznaczona była na naukę języka rosyjskiego oraz na historię ZSRR. Było kilka lekcji z arytmetyki, ale ze względu na zbyt duże zróżnicowanie w poziomie zaawansowania z tego przedmiotu - był to czas praktycznie zmarnowany. Na lekcjach wychowawczych Piotr Witaljewicz mówił przeważnie o Konstytucji ZSRR.

Największą moją i nas wszystkich zmorą były codzienne dyktanda.

Nie przypominam sobie, aby ktoś z nas otrzymał lepszy stopień niż minus dostateczny; przeważnie otrzymywaliśmy jedynki i dwójki. Prawdę mówiąc nie bardzo chciało mi się chodzić do tej szkoły głównie dlatego, że w dalszym ciągu na moim ciele "wyskakiwały" pryszczki. Na lekcjach ciągle kręciłem się, nie uważałem, zadawałem Piotrowi Witaljewiczowi różne głupie, a niekiedy kłopotliwe pytania. Na drugi, a może na trzeci dzień po tej szopce z cukierkami zostałem wyrzucony z klasy, z poleceniem stawienia do szkoły z rodzicami.

Byłem przerażony. Bałem się wracać do domu. Zresztą w tym czasie ani mamci, ani tatusia w naszej suszarni nie było. Dlatego też pobiegłem do pobliskiej ubikacji. Ale nie po to, by załatwić swoje potrzeby fizjologiczne, lecz przeczekać, ukryć się, zastanowić co dalej robić. Chodziłem boso, gdyż po prostu wyrosłem już ze swoich "starych" trzewików, a zamówione łapcie wciąż jeszcze nie były zrobione. W moich trzewikach "paradowała" siostra. W tym czasie, tj. w drugiej połowie września, termometry wskazywały w nocy temperatury minusowe, prószył od czasu do czasu drobny śnieg. No, ale do rzeczy. Jak długo przesiedziałem wówczas w latrynie, tego nie jestem w stanie określić. Pamiętam jedynie, że najpierw było mi potwornie zimno, więc chciałem wrócić, tyle że nie mogłem zdecydować "gdzie"; do domu, czy też do szkoły. Odryglowałem drzwi i zrobiło mi się nagle ciepło, a nawet dość przyjemnie. Więc zostałem. Wiele miesięcy później dowiedziałem się, że do baraku przyniósł mnie pan Bronisław Hofman. Byłem, podobno, kompletnie skostniały i siny na całym ciele.

Prawie pół roku przeleżałem w malignie. Najpierw przeszedłem zapalenie płuc, później, a może równocześnie zachorowałem na tyfus brzuszny. Z opowiadań rodziców wiem jedynie, że nie dopuszcza-



łem do siebie mamci i w ogóle żadnej kobiety. W każdej kobiecie widziałem czarownicę!, które odruchowo odpychałem od siebie. Momentami zrywałem się z pryczy, ale natychmiast opadałem bezwładnie. Jedynym "lekarstwem", które miało uratować mi życie był termometr. Jak opowiadał wielokrotnie tatuś, gdy tylko temperatura ciała nad ranem zaczęła gwałtownie spadać, okładał mnie butelkami z gorącą wodą. W tym czasie ponad połowa Polaków spośród 560 osób przechodziła tu tufus brzuszny.

Od października do końca marca 1941 roku ponad 160 osób zmarło. Nawet miejscowe władze uznały stan ten za wysoce niepokojący. Wymierały całe rodziny. Z sześciuosobowej rodziny państwa Głąbów w ciągu pół roku ocalał jedynie mój rówieśnik, Andrzej.

Przy końcu lutego, jak opowiadał mi Staszek Izbiński, wylądował w Tuleniu na spadochronach desant lekarzy. Nie bardzo wiem, czy przeprowadzili jakieś szczepienia, czy też stosowali jakieś leki. Wiem natomiast, że przeprowadzili szeroko zakrojoną akcję informacyjną na temat postępowania z chorymi w okresie rekonwalescencji. Na polecenie lekarzy władze lespromchozu utworzyły brygadę sanitarną, zadaniem której było m.in. wyszukiwanie w barakach zmarłych i przenoszenie zwłok do piwnicy, a następnie chowanie ich. Najpierw zmarłych chowano w pojedynczych mogiłach, ale później kiedy dziennie umierało parę osób władze zdecydowały gromadzić zwłoki w piwnicy, a później chować je w zbiorowych mogiłach. Wspomnę jeszcze, że pan Hofman przywiózł na Syberię pół ćwiartki święconej wody. Wodę tę musiał, prawdopodobnie, ciągle rozcieńczać bowiem każdego zmarłego starał się pokropić w baraku lub w piwnicy. O tym religijnym obrzędzie dowiedział się Achańkow. Obiecał panu Hofmanowi, że wyśle go na prawdziwe białe niedźwiedzie. Nie wiem czy pan Hofman zdawał sobie sprawę z wagi tej groźby.

Pewnego marcowego wieczora ocknąłem się. Na otworze drzwiowym ujrzałem jakąś białą płachtę, po której biegały, podskakiwały dziwne ludzkie postacie, później wolno przepływał statek i wciąż głośno, przeraźliwie głośno grała muzyka. Poczulem potworny głód. Zerwałem się z pryczy i jak długi zwałem się na podłogę. Straciłem ponownie przytomność. Tego dnia do Tulenia przyjechało z Abanu kino objazdowe. Film wyświetlano w baraku, zaś biała płachta była po prostu ekranem. Energię elektryczną potrzebną do napędu projektora filmowego czerpano z ręcznie napędzanej prądnicy. Nasi ciemężyciele wybrali znakomity moment na rozweselenie pieriesieleńców. Ale może po prostu ten seans filmowy zaplanowany był znacznie wcześniej. A plany i normy w tym systemie trzeba było zawsze wykonywać bez względu na koszty. Ktoś kiedyś powiedział, że traktowanie człowieka jako środka, a nie celu znaczy odmówienie mu prawa do życia. Święte słowa. Epidemia duru brzuszego wciąż jeszcze zbierała obfite żniwo.

W pomieszczeniu, w którym mieszkało 11 osób, na tyfus brzuszny oprócz mnie chorował tylko mój rówieśnik, Józek Izbiński - mieszkający obecnie w Starej Bystrzyckiej.

Może tego samego dnia, a może dopiero następnego zobaczyłem nachylone nade mną dwie postacie. W półmroku z ogromnym wysiłkiem rozpoznałem zarysy twarzy mamci i tatusia. Słyszałem czyjeś głosy, jakieś rozmowy, treści których w żaden sposób nie mogłem zrozumieć. Może dlatego, że potwornie chciało mi się jeść. Karmiono mnie jakąś zupą. I znowu popadłem w odrętwienie. Następnego dnia, kiedy w izbie było dość widno lustrowałem oczami poszczególne prycze. Na jednej z nich leżał Józek, na drugiej Marysia z Januszkiem. Kłócili się. Siostra leżała na kufrze, była zwinięta w kłębek. Leszek piekł na

na płycie plasterki ziemniaków. Usiadłem na pryczy. Próbowałem zejść na podłogę. Moje nogi były jak z waty, albo gumy. Zsunąłem się na podłogę. Próbowałem przy pomocy rąk - chwytając się za pryczę - podciągnąć się do pozycji stojącej. Daremnie. Upadłem. Pociemniało mi w oczach. Obudziła się siostra i z pomocą Leszka pomogła mi wdrapać się na swoje legowisko. Nogi moje były cieniuteńkie, jak dwa patyczki. Ale za to kolana miałem duże, jakby ktoś <sup>wsadził</sup> mi pod skórę po jednym sporej wielkości jabłku. Kciukiem i palcem wskazującym zmierzylem obwód nogi wyżej kostek. Palce zachodziły na siebie. Poprosiłem o lusterko - policzki prawie dotykały do siebie. Włosy króciutkie trzy-czterocentymetrowe, pokręcone, jak u małego baranka. Dotąd byłem jasnym blondynem, stałem się szatynem. Jedynie oczy miałem nadal niebieskie, jak dawniej, ale chyba o wiele większe. Ważyłem nie więcej niż waży dwa średniej wielkości indyki, a może jeszcze mniej. Po raz któryś z kolei penetrowałem oczami przedmioty znajdujące się w pomieszczeniu, zatrzymywałem się na dłużej na każdej twarzy. Próbowałem całym wysiłkiem woli przypomniać sobie, skąd się tu wzięłem, dlaczego leżę w tym obcym mi pomieszczeniu, dlaczego taka chuda jest moja siostra? Dlaczego są tu dzieci pani Izbińskiej? Gdzie są moi rodzice? Gdzie się podziała Marynka? Z pryczy zszedł Józek i natychmiast rozpoczął awanturę z Leszkiem o plasterki ziemniaczane!. Danusia postawiła na piecyku garnek. Potem karmiła mnie z garnka. Nigdy chyba dotąd nie jadłem tak smacznego krupniku! Ale zupy było mało. Poprosiłem więc o kromkę chleba z masłem.

- Z masłem? - zdziwiła się. Dodając, że chleba, też "nie ma"
- Nieprawda - wtrąciła się Marysia.
- Macie chleb, macie! - krzychała.

- O, tam, w kufrze!

- Ale ja nie mam klucza - usprawiedliwiała się Danka.

Tę słowną przepychankę przerwało wejście mamci. Tak naprawdę, poznałem ją dopiero, jak zdjęła fufajkę, szeroką, długą, sięgającą prawie kolan. Policzki zapadnięte, rozbiegane niebieskie oczy. Podobna była raczej do dużego skwarka, a nie do kobiety w sile wieku. A może raczej do mojej córki, Grażyny. Była zabiegana, zatroskana o swoje dzieci. Mamcia nachyliła się nade mną, ucałowała. Odeszła od pryczy, odszukała ręcznik. Namoczyła go i wytarła moją twarz i ręce. Dojrzałem dopiero teraz, że ramię i przedramię są tak samo cieniutkie, jak moje nogi, że z trudem utrzymują dość szeroką dłoń. Zapytała czy zjadłem zupę. Kiwnąłem twierdząco głową i powiedziałem, że wciąż jestem głodny i, że Danka nie chciała dać mi chleba. Mamcia powiedziała, że istotnie chleba już nie ma. A w ogóle, jeżeli chcę szybko wyzdrowieć, to nie wolno mi najadać się do syta. A jedzenie tego przydziałowego chleba nie wchodzi na razie w rachubę. Za godzinę-dwie Danusia nakarmi cię znowu zupką.

- A teraz muszę już iść. Została mi do sprzątnia jeszcze ta okropna łaźnia - powiedziała.

Tatusz wrócił z pracy bardzo późno. Ale ja nie mogłem go dokładnie obejrzeć, bowiem pomieszczenie nasze "oświetlane" było jedynie polanami, palącymi się w piecu. Tatusz od razu po wejściu do naszego pomieszczenia nabrał prawie litrowym czerpakiem wody ze stojącego przy drzwiach wiadra. Pił długo, pewnie do ostatniej kropli. Zdjął czapkę uszankę, fufajkę, walonki, watowane spodnie i zbliżył się do mojej pryczy. Przyłgął do mnie wciąż jeszcze oszronionym zarostem. Płakał.

Władze lespromchozu zaniepokojone zawaleniem się planu z powodu epidemii duru brzuszego zmniejszyły, pracujące na lesopowalce

brygady z trzech do dwóch osób. Oznaczało to, że ścinanie drzew i przecinanie ich na kloce różnej długości, odbywało się teraz nie piłami dwuręcznymi - jak dotąd - lecz łuczkami. Łuczok jest to piła mająca mniej więcej trzycentymetrowej szerokości brzeszczot, osadzony w bardzo ciężkiej i dużej ramie drewnianej. Podcinanie, a następnie ścinanie sosen i modrzwi na klęczkach i to w dodatku na wysokości nie przekraczającej 20 centymetrów od ziemi było pracą niezwykle ciężką, by nie powiedzieć morderczą. Zdarzało się,, zwłaszcza podczas dużych mrozów, że zaklinowany ciężarem drzewa brzeszczot pękał, i to pękał zazwyczaj w dwóch miejscach. Trzeba było wówczas innym, zapasowym łuczkiem rozpocząć ścinanie drzewa od nowa. Narzędzia, co prawda, codziennie oddawane były do ostrzenia, ale brak pilników, a przede wszystkim obowiązujące w ostrzalni normy uniemożliwiały ich właściwe naostrzenie. Do wyrębu od posiołka trzeba było zwykle pokonać wąską tropą 6-7 kilometrów w jedną stronę, dźwigając przewieszony przez ramię łuczok oraz zatkniętą za pas siekierę kołun. Przy czym drogę do pracy i z pracy lesoruby pokonywali najczęściej w świetle księżyca. A w domu - czytaj w baraku po spożyciu małokalorycznej bałandy, najczęściej jednak zupy szczawiowej lub z czeremszy z kawałkiem gliniastego chleba - pozostawała na odpoczynek noc. Czasami jeszcze cięższa niż na lesopowałce. W baraku bowiem wrzeszczały i płakały dzieci, jęczeli chorzy, umierali ludzie, kłóciły się do późna w nocy kobiety o dostęp do kuchni, pluskwy i wszy wpijały się w umęczone ciało. Zdarzały się - aczkolwiek rzadko - także porody. Zaś susząca się odzież robocza i walonki, niewietrzone pomieszczenie, nieprana całymi tygodniami pościel i bielizna, wóń moczu i kału przypominały nam o naszej beznadziei. Ci, którzy zajmowali prycze w pobliżu sgojącego w baraku pieca - doma-

gali się otwarcia drzwi, ci zaś, którzy koczowali przy drzwiach, nie godzili się na to, gdyż po prostu marzli. Na tym tle dochodziło do regularnych awantur. Czy to już Piekło, czy dopiero Czyściec - zadawali sobie ludzie pytania. I tak mijały dni, tygodnie, miesiące... W których <sup>sporo</sup> ludzi odchodziło na wieczną wartę.

W barakach robiło się coraz luźniej.

Od baraku do baraku począwszy od kwietnia 1941 roku zaczęła krążyć kilkustronicowa, napisana koślawym pismem przypowieść o tym, że wkrótce wybuchnie wojna bolszewicko-niemiecka i, że cięmiężone narody uzyskają wolność, a wygnańcy powrócą do swoich miejsc zamieszkania. Była to wyraźna aluzja do nas, pieresieleńców. Przypowieść dodawała otuchy, rodziła iskierkę nadziei, że nie umrzemy tu wszyscy, tu w Tuleniu na obczyźnie. W tym samym mniej więcej czasie zaczęto powszechnie wywoływać duchy. Przy pomocy małego porcelanowego talerzyka. A robiło się to tak:

Na kartce papieru rysowało się koło wielkości talerza. Na obwodzie koła w równych od siebie odstępach pisano litery alfabetu. Na talerzyku rysowano kopiowym ołówkiem strzałkę. Przed seansem, późną nocą talerzyk podgrzewano nad piecykiem i kładziono go na środku koła denkiem do góry. Kilka osób dwoma palcami obu rąk dotykało denka talerzyka. Po paru minutach talerzyk poruszał się. Wówczas wywoływano ducha. Najczęściej Józefa Piłsudskiego. Zadawano mu pytania. Oto niektóre z nich. Czy wrócimy do Polski? Czy ktoś konkretny z rodziny wyzdrowieje? Czy wybuchnie wojna bolszewicko-niemiecka. Zwykle po zadaniu pytania talerzyk zaczynał krążyć, szukać odpowiednich liter. Po odnalezieniu właściwej, zatrzymywał się. Z liter tych odczytywało się odpowiedzi. Były to przeważnie odpowiedzi, których oczekiwali uczestnicy seansu. Ale dość często zda-

rzały się i takie odpowiedzi, jak np.: "Pocałujcie mnie w dupę".  
"Nie wiem". "Wiem, ale nie powiem". "Dajcie mi wreszcie spokój".

Niekiedy podczas paru kolejnych nocy talerzyk leżał nieruchomo. Odpowiedzi duchów, podobnie jak i przypowieści były szeroko komentowane; dodawały otuchy. Mobilizowały do przetrwania.

Od dłuższego czasu mamcia zaczęła codziennie późnymi wieczorami wychodzić z naszych "apartamentów". Wracała zwykle po dwóch-trzech godzinach przynosząc to parę jaj, to bliny czy też lepioszki. Parę razy przyniosła mleko, mąkę. Innym jeszcze razem - solone ryby, mięso łosia. Wkrótce wydało się, że te cenne produkty żywnościowe otrzymuje mamcia wzamian za wrózenie z kart miejscowym choziajkom. Trwało to dobrych parę tygodni, aż do momentu, kiedy ciekawe swego losu choziajki same zaczęły przychodzić do nas do baraku. A przecież, o czym choziajki doskonale wiedziały, istniał zakaz kontaktowania się prywatnie z pieriesieleńcami poza pracą. Większość przychodzących kobiet i tych, do których mamcia chodziła pragnęły dowiedzieć się od worożychi coś pocieszającego o swoich mężach. Wszak większość tych kobiet prowadziła samotny tryb życia, bo ich mężowie zostali aresztowani w 1932 lub 1937 roku i wywiezieni w nieznanym kierunku. Od momentu aresztowania mężów, choziajki nie miały od nich żadnych wiadomości. Po prostu wszelki ślad po "wragach naroda" zaginał. Szukały więc te biedne kobiety słów pocieszenia u "wróżki", która miała okazać się ich ostatnią nadzieją.

Pod koniec kwietnia do Tulenia przyjechało trzech enkawudzistów, którzy aresztowali i zabrali ze sobą sześciu Polaków. Wśród aresztowanych był pan Bronisław Hofman oraz pan Józef Z. Ten sam, który martwił się od razu po przyjeździe, że nie ma odpowiedniej

do pracy w lesie odzieży, a także odpowiedniego obuwia. Po dwóch miesiącach wrócili do Tulenia pan Hofman i pan Z.! Pozostała czwórka Polaków do Tulenia nie wróciła nigdy.

Parę dni po aresztowaniu Polaków, Achańkow na jednej z odpraw zażądał, by dostarczono mu krążące wśród Polaków przypowieści oraz` kategorycznie zabronił dalszego wywoływania duchów - wróżenia z kart. Zwracając się do mamci, powiedział:

- Walerija Stiepanowna, proniesitie waszi karty.

Dwa tygodnie po ruszeniu lodów na Onie, większość ludzi skierowano do prac związanych z przygotowaniem do spławu drewna. Jedni pracowali przy zrzucaniu kłoców ze sztapli, inni skręcali "powrósła" z gałęzi łoży, którymi wiązano kloce, formowano tratwy. Taki "tratwowy pociąg" był zwykle 100-120 metrów długi, zaś szeroki około 15 metrów. Po umocowaniu na przodzie i tyle tratwy wiosł wykonane z grubych bali "transport" gotowy był do spławu. Załoga tratwy składała się z czterech osób. Stanowili ją zwykle trzech Polacy oraz Rosjanin, który pełnił funkcję locmana. Pilot czy też sternik takiej tratwy musiał doskonale znać koryta rzek Ony, Tasiejewej, Angary oraz Jeniseju. Na tych rzekach z wyjątkiem Jeniseju, występują dość liczne katarakty-porohy. Rzeki przecinając okolice górzyste zwężają się, prąd staje się wartki do tego stopnia, że od momentu zapalenia skręta do chwili jego wypalenia zdąży przepłynąć nawet 15 kilometrów. W 1935 roku Boris Borisowicz Abramow, mieszkaniec Czegaszetu, wraz ze swoimi trzema synami spływał tratwą do Igarki. Na Angarze tratwa uderzyła w głaz wielkości piętrowego domu i rozleciała się na pojedyncze kloce. Zginęło trzech synów - ojciec wrócił do Czegaszetu sam. Dla upamiętnienia tego tragicznego wydarzenia miejsce to zaczęto nazywać: Porogi trzech bratjów. Od Tulenia aż do ujścia Angary miejsc niebezpiecznych jest wiele. W tych nie-



bezpiecznych miejscach nawet najmniejsza niedokładność w sterowaniu tratwą, a nie jest to czynność łatwa, kończy się jej rozbiciem oraz dość często śmiercią ludzi.

Jedną taką tratwą popłynął mój tatuś. Wrócił po sześciu tygodniach, I nadal nie wiedział, że już od prawie dwóch tygodni toczy się wojna sowiecko-niemiecka.

Podczas sześciotygodniowej nieobecności tatusia powróciłem prawie całkowicie do zdrowia, a przede wszystkim nauczyłem się znowu chodzić. Tatuś przywiózł z "tratwowej Wyprawy" - skarb - sporą ilość różnej wielkości haczyków. Cały swój <sup>wolny</sup> czas poświęcałem teraz na wędkowanie oraz na przypatrywanie się, jak łowią ryby miejscowe dzieciaki. Wędkowałem przeważnie w niedużej odległości od baraków z tratw. Znakomicie brały olbrzymie kiełbie, jazgarze; czasem wyciągałem sporej wielkości okonie. Złowione ryby w znacznym stopniu wzbogacały nasze skromne codzienne racje żywnościowe.

Miejscowe pięcio-sześciolateczne dzieci (starsze w tym czasie pracowały przy sianokosach bądź zbierały czeremszę, cebulę łąkową, czarne jagody, grzyby do tuleńskiego punktu skupu) - przy pomocy płacht łowiły tuż przy samym brzegu na głębokości nie przekraczającej 50 centymetrów małe rybki. Największe okazy tych rybek nie przekraczały 5 centymetrów długości. Miały kształt wrzecionowaty, grzbiet koloru ciemnobrązowego, brzuszek biały. Miejscowi rybki te nazywali malga. Rybki te spożywano żywe, bezpośrednio po ich wyłowieniu. A były ich na przybrzeżnych płyciznach miliony. Któregoś dnia tatuś zrobił mi wędkę solidniejszą, z dość grubego, mocnego sznurka. Przywiązał duży haczyk i wybrał się na ryby ze mną. Założył na haczyk złowionego przeze mnie kiełbia. Zarzucił wędkę. Po paru minutach gwałtowne branie. Wyholował prawie kilogramowego okonia.

Odtąd zacząłem łowić na żywca. Wyławianych ryb wystarczało dla naszej rodziny, a nawet można było nimi niekiedy uczcić rodzinę Z.

30 lipca 1941 roku w Londynie został podpisany Układ polsko-sowiecki o współpracy i wzajemnej pomocy w wojnie przeciwko Niemcom. Nie oznaczało to wcale, że sytuacja pieresieleńców uległa poprawie. Wręcz przeciwnie! Zmniejszono nam przydziały chleba: pracującym do 500 gramów - dzieciom i niezdolnym do pracy do 300 gramów. Achańkow w dalszym ciągu prowadził codzienne odprawy produkcyjno-ideologiczne. Odczytywał drżącym głosem komunikaty - spóźnione o co najmniej dwa tygodnie - agencji TASS o cofających się wojskach Armii Czerwonej, a ściślej RKKA (Rabocze-Kriestjanskoj Krasnoj Armii). Wzywał ludzi do wydajniejszej pracy, zaś pogarszające się warunki bytowe - nie tylko zresztą Polaków - tłumaczył znanym sloganem: "Wsio dla fronta, wsio dla pobiedy". Dla nas - wszystkich bez wyjątku Polaków - wieść o wybuchu wojny stanowiła psychiczne wytchnienie. Jednocześnie była obawą, że może jutro, za tydzień, czy też za miesiąc - my, Polacy, będziemy musieli ginąć w obronie naszych dotychczasowych oprawców. O naszych obawach świadczyła choćby podpisana 14 sierpnia 1941 roku polsko-sowiecka umowa wojskowa, w myśl której rozpoczęto organizację jednostek Wojska Polskiego. Dowódcą tych jednostek mianowano generała Władysława Andersa. Ale wiadomości te docierały do nas z ogromnym opóźnieniem i w wyjątkowo zniekształconej formie.

Na początku września Achańkow ogłosił nabór Polaków do RKKA. Ochotników oczywiście nie było. Gwoli ścisłości była to ostatnia informacja, jaką usłyszeliśmy od Achańkova. Następnego dnia Achańkow znikł. Żona jego Nadia - kierowniczka tulleńskiego sklepu - dumnie oświadczyła, że "muż połączył powiestku w armiju". W grudniu Nadia otrzymała pochoronkę - zawiadomienie o śmierci męża.

W miesiącach lipiec-wrzesień<sup>f</sup> co najmniej połowa - nielicznych zresztą w Tuleniu mężczyzn - otrzymała wezwania do stawienia się rajwojenkomatach, wśród nich wezwanie otrzymał również mój nauczyciel Piot Witaljewicz Głuszenkow. Po przeprowadzonych przez komisję wojskową badaniach do nas powrócili tylko nieliczni. Powodem był zły stan zdrowia lub pełniona funkcja. Wśród tych ostatnich był również Głuszenkow.

W połowie sierpnia tatuś został wezwany do naczelnika lespromchozu Głuszenkowa Witalija Pietrowicza, którego podobnie jak syna chwilowo, urlopowano ze służby wojskowej. zaproponował on tatusiowi, by zajął się ze staruszkim Rosjaninem werbowaniem kołchoźników z końmi do wywózki drewna z lasu. Taki werbunek przeprowadzano co roku w sąsiednich kołchozach. Sąsiedni lespromchoz, czy też kołchoz, w warunkach Krasnojarskiego Kraju oddalony był od nas nie mniej niż o 50 kilometrów. A tych "sąsiednich" kołchozów należało objechać kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt.

Mieszkańcy lespromchozów, łagiernicy, więźniowie polityczni pieriesieleńcy w zimie zajmowali się pozyskiwaniem drewna, wydobywaniem cennych kopalin; w lecie zaś - wolni ludzie spławiali drewno do Igarki - miasta tartaków. Pozostali kosili trawę i zbierali siano, zbierali i konserwowali czeremszę, szczaw, grzyby, brusznicę, łowili i solili ryby. Kołchoźnicy natomiast w okresie zimowym obowiązani byli wywozić swoim sprzętem i końmi drewno z lasu nad brzegi rzek. W lecie oczywiście zajmowali się produkcją rolną i zwierzęcą. I jeszcze jedno lespromchozy gwarantowały paszę objętościową i stosunkowo wysokie zarobki. Paszę treściwą dla koni kołchoźnicy przywozili ze sobą.

Propozycja naczelnika lespromchozu teraz w okresie wojny, była

niczym innym, jak rozkazem. Toteż tatuś werbownik wraz ze starszakiem-Rosjaninem zostali zaopatrzeni w odpowiednie dokumenty i wyruszyli konno w drogę. Wyruszyli po czarnej tropie, a wrócili po białej, po prawie sześciu tygodniach. Z tej niebezpiecznej komandirowki tatuś przywiózł pud mąki, którą wymienił z jakimś kołchozowym dygnitarzem za pelikana. A zakontraktowali do wywózki drewna tyłu kołchoźników, ilu dotąd nigdy nikomu się nie udało. Nie, nie dlatego, że tak dobrze agitowali, lecz dlatego, iż praca w lespromchozie dla każdego prawie kołchoźnika oznaczała przesunięcie o kilka miesięcy terminu powołania do wojska.

Poczas tej komandirowni tatuś zdobył jeszcze jedno bardzo ważne doświadczenie życiowe. Przekonanie, że ewentualnej pracy w kołchozie należy unikać jak ognia. Oglądał bowiem kołchozowe "łany" zbóż i kartofliska. Widział wiele nieskoszonych pól pokrytych dość grubą warstwą śniegu. Zboża rzadkie, że niekiedy na jednym metrze kwadratowym można było policzyć kłosa na palcach dwóch rąk. Plony - i to maksymalne - nie przekraczały tam na ogół siedmiu kwintali zboża z hektara. Nic przeto dziwnego, że dostawy zboża dla państwa po prostu nie były wykonywane. A kołchoźnicy otrzymywali wynagrodzenie w naturze raz w roku w zależności od wypracowanych trudodni i oczywiście wysokości uzyskiwanych plonów. Były więc i takie kołchozy, w których za jedną dniówkę obrachunkową ludzie otrzymywali 150 gramów zboża oraz dwa-trzy kwintale ziemniaków za cały rok pracy. Oczywiście pieniędzy nie otrzymywali żadnych. Toteż ludzie utrzymywali się tam przeważnie dzięki działkom przydomowym, myślistwu i rybołówstwu, a przede wszystkim z kradzieży ziarna przeznaczonego (pozostawionego) na siew, pracy sezonowej w lespromchozach. Kołchoźnicy nie mieli również prawa - aż do czasów chruszczowowskich -

opuszczania swoich miejsc zamieszkania.

Przy końcu września kilkunastu Polaków postanowiło wstąpić do Wojska Polskiego. Wśród nich byli m.in. pan kapitan Józef Iskrzak oraz Staszek Król. W abańskim rajwojenkomacie wszystkich z wyjątkiem Iskrzaka uznano za zdolnych do liniowej służby wojskowej. Stąd kandydatów na wyzwolicieli Polski, pod konwojem rosyjskiego żołnierza służby wartowniczej wraz kilkudziesięcioma Rosjaninami, przewieziono ciężarówkami z Abanu do Kańska, a później pociągiem do Tomsku. W Tomsku Polacy zostali przekazani za pokwitowaniem miejscowym sowieckim władzom. Tu w Tomsku, zostali nakarmieni: dostali jakąś wodnistą zupę oraz po 300 gramów chleba. Jeszcze tego samego dnia szóstkę Polaków wyprowadzono z koszar i pod konwojem żołnierza rosyjskiego doprowadzono do miejscowości Czeriewiczki. Tu w Czeriewiczkach formowała się 198 Ochotnicza Syberyjska Dywizja Piechoty. Ochotnicy ubrani zostali w rosyjskie mundury i rosyjskie znaki rozpoznawcze. Zaprotestowali, więc zagrożono im sądem polowym. Podobnie jak w Tuleniu ochotnikom także doswierał głód. Racje żywnościowe były skąpe i nie przekraczały 2000 kalorii dziennie. Ale nie to było najważniejsze dla tuleńskich ochotników i wielu innych polskich ochotników z okolic Kańska, Abakanu...

Mimo ciągle składanych raportów z prośbą o przeniesienie ich do Wojska Polskiego. Mimo, iż raporty te pozostawały bez odpowiedzi, bądź były załatwiane negatywnie, ochotnicy wszak zyskali jedno - rozdzielono ich i przeniesiono do różnych kompanii...

O tym wszystkim wiem po części z opowiadań siostry pana Staszka, a po części od tatusia, który opowiadał nam o tym już w wolnej od Niemców Polsce. Staszka Króla spotkał przypadkowo podczas walk o Wał Pomorski. Tak się złożyło, że tatuś doszedł do Berlina, a Staszek został na zawsze pod Kołobrzegiem. Zginął tam. Zginął w polskim mundurze.

Losy pana Iskrzaka potoczyły się inaczej. On również nie wrócił do Tulenia. W jakiś sobie tylko wiadomy sposób, bez żadnych dokumentów, dojechał on do Uzbekistanu, do formującej się tam Armii generała Andersa. Niestety nie powrócił, jak wielu innych do Polski. Zmarł w Iranie w 1942 roku.

Gdzieś w połowie września 1941 roku, pod naciskiem rodziców, zdecydowałem się ponownie przekroczyć próg tulleńskiej szkoły. Tak więc znowu trafiłem do Piotra Witaljewicza Głuszenkowa. Zmienił się bardzo. Starał się, jak mi się wówczas wydawało, przypodobać polskim dzieciom. Wielu naszych drwin i psikusów nie dostrzegał, a przede wszystkim nie podejmował tematów religijnych. Tak więc razem z o dwa lata młodszą od siebie siostrą stałem się uczniem czwartej klasy. Ostatniej klasy w mojej - i nie tylko mojej - syberyjskiej edukacji. Spośród czterdziestu pięciu polskich dzieci, które rozpoczynały naukę w Tuleniu we wrześniu 1940 roku pozostało nas w klasie 21 uczniów, w tym trójka rosyjskich pionierów. W klasie byłem jednym z dwóch - obok Józka Izbińskiego - polskich chłopców, którzy przeżyli tyfus. Pozostali spoczywali wśród sosen, w odległości pięciuset metrów od baraków w syberyjskim piasku. Spoczywali na założonym tu polskim cmentarzu.

Ale tak naprawdę to wołałem łowić ryby, pomagać tatusiowi przy ścinie sosen, a ściślej palić gałęzie niż ciągle poprawiać swoje błędy ortograficzne w dyktandach. Pod względem robionych błędów byłem w klasie absolutnym przodownikiem, pewnie dlatego, że nie ukończyłem przeklętego przeze mnie i moich rodziców - kursu wstępnego.

W tydzień, czy też dwa, po uroczystościach z okazji rewolucji październikowej tematem jednej z lekcji historii był: Razgrom pols-

kich panów pod Kijewem. Z opowiadań tatusia wiedziałem, że z tą klęską pod Kijowem nie zupełnie tak było. Ale nie było to najważniejsze. Bolało mnie bardzo, że w podręczniku nie wyczytałem ani jednego zdania o klęsce bolszewików pod Warszawą w sierpniu 1920 roku. O cudzie nad Wisłą tatuś do znudzenia opowiadał mi wiele razy. Ktoś musiał kłamać, ale wciąż nie wiedziałem, kto. Skłonny byłem wierzyć raczej słowu pisanemu...

Przypadek sprawił, że któregoś dnia naczelnik lespromchozu Głuszenkow Witalij Pietrowicz - ojciec mojego nauczyciela - poszukiwał chłopców do zrzucania z dachów śniegu oraz banszczika. Zgłosiłem się na ochotnika, tym bardziej, że w pracy tej miałem sporo już przecież doświadczenia, a i nie bez znaczenia był tu fakt, iż za robotę tę otrzymywało się pracownicze kartki żywnościowe. Od poniedziałku do czwartku zrzucałem śnieg z dachów, a od piątku do niedzieli obsługiwałem łaźnię. Byłem banszczikiem.

Pracę w łaźni rozpoczynałem w późnych godzinach popołudniowych. Do moich obowiązków należała sprzedaż biletów oraz odbieranie od kąpielowiczów odzieży do odwszenia. Odzież tę wkładałem do specjalnej komory zwaną dezynfektorem. A wyjmowałem ją stamtąd mniej więcej po godzinie, oddając ją właścicielom. Czynności te były najtrudniejszym zajęciem, gdyż rzeczy prawie wszystkich kąpiących się były bliźniaczo do siebie podobne. Jeżeli czymś się różniły, to tylko wielkością.

Łaźnia - jak już wspomniałem - czynna była od piątku do niedzieli. I w Tuleniu, i w Czegaszecie budynki łaźni zbudowano w niewielkiej odległości od rzeki. Każdy budynek łaźni składał się z czterech pomieszczeń: rozbieralni-ubieralni; dużego pomieszczenia, w którym stały dwie olbrzymie kadzie drewniane (jedna z zimną, druga z gorącą wodą. W tym samym pomieszczeniu były drewniane wiaderka z dość długim uchwytem, a pod ścianami stały ławki); odwszalni-dezynfektora oraz parówki.

W parówce był bardzo duży, zbudowany z cegieł piec. W palenisku pieca znajdowała się dość gruba rura w kształcie litery U. Nad paleniskiem, w specjalnej komorze, leżało kilkanaście dużych kamieni, które podczas kąpieli polewano wodą. Jedna ze ścian parówki zabudowana była prawie do samego sufitu dość szerokimi schodami. W piątek kąpały się tylko kobiety z dziećmi obojga płci, a w sobotę - mężczyźni przy czym niektórzy również z dziećmi. W niedzielę łaźnia czynna była prawie cały dzień. W tym dniu kąpali się wspólnie kobiety i mężczyźni, niekiedy również z dziećmi. Wędrowni ludzie do łaźni przypominały mi procesję. Niby na dźwięk dzwonu prawie równocześnie ludzie wychodzili ze swoich siedzib, niosąc pod pachą wysuszone miotełki wykonane z gałązek brzozy. Tymi wieniczkami smagali się po całym ciele. Jednak przeważał system: ja ciebie, ty mnie. Z parówki niemal wszyscy, jak na komendę wyskakiwali z łaźni - nawet podczas największych mrozów - i tarzali się w śniegu. W lecie natomiast biegli do rzeki popływać. Oczywiście wszyscy byli w stroju Adama i Ewy.

Nie kryję, że funkcja banszczika bardzo długo krępowała mnie. Ale w końcu przywykłem, ciesząc się, iż trzy dni w tygodniu mogłem pracować w komfortowych wręcz warunkach; w cieple. Toteż parę miesięcy później kiedy przenieśliśmy się wraz z rodziną Z. do Czegaszetu "zarezerwowałem" sobie u tatusia właśnie pracę banszczika. Ale praca w łaźni pozostawiła w mojej psychice, jakiś ślad - powiedziałbym nienormalności, a nie zwyczajnej ludzkiej ciekawości - bowiem kiedy piszę te słowa, po upływie przecież aż ponad pięćdziesięciu lat, ciągle widzę przesuające się przede mną nagie postacie. Zapamiętałem wiele twarzy, kolor owłosienia, blizny na ciele. I wtedy pod fufajkami, pod siatkami przeciwko komarom i muszkom wciąż wi-



działem w myślach gołe przepocone ludzkie ciała. I taki nagi, trochę zawstydzony pozostał w mej pamięci Piotr Witajlewicz, mój nauczyciel. Myślę, że jak się chce upodlić człowieka, to wystarczy kazać mu rozebrać się publicznie. Ale tam, na Syberii, ludzie rozbierali się publicznie i dobrowolnie przede wszystkim po to, by uwolnić się od insektów.

I chociaż od dnia 30 lipca 1941 roku, czyli dnia podpisania londyńskiego układu polsko-sowieckiego o współpracy i wzajemnej pomocy w wojnie przeciwko Niemcom upłynęło sporo czasu, mimo ogłoszonej przez rząd ZSRR 12 sierpnia tegoż roku amnestii wobec deportowanych Polaków; chociaż teoretycznie przestały obowiązywać ograniczenia swobód i praw, jakim podlegali pieriesieleńcy - sytuacja nas Polaków niewiele się poprawiła. Mimo, że wycofano bezpośredni nadzór policji politycznej nad nami.

Dopiero po informacji nadanej przez agencję TASS, która ukazała się w gazecie "Krasnojarskij Rabocziej" (gazeta dotarła do Tulenia w pierwszych dniach stycznia 1942 roku) ludzie zaczęli domagać się przysługujących im praw.

Przytaczam w dosłownym przekładzie treść tej notatki:

Rozmowa gen.Sikorskiego z Przedstawicielami prasy.

Teheran. 19 grudnia (TASS). Przebywający w Teheranie gen.Sikorski w rozmowie z zagranicznymi dziennikarzami oświadczył, że jest całkowicie zadowolony z wyjazdu do ZSRR, gdzie przebywał on 3 tygodnie i spotkał się ze Stalinem. Podczas tego spotkania został rozstrzygnięty problem udziału w wojnie Armii Polskiej. Sformowana Armia Polska, składająca się z kilku dywizji będzie walczyć, jako samodzielne wojskowe ugrupowanie. Wspólnie z Wyszyńskim, oświadczył Sikorski, wizytowałem trzy polskie dywizje, stan moralny tych dywizji jest znakomity. Na rozkaz Stalina wszyscy polscy obywatele

są teraz wolni i z odległych miejsc Polacy będą przesiedleni w południowe rejony ZSRR, gdzie stworzone im zostaną odpowiednie warunki. Władze radzieckie zapewniły mnie, powiedział Sikorski, że polskim żołnierzom - zgodnie z Konstytucją ZSRR, będzie stworzona pełna swoboda uprawiania kultu religijnego. Stalin wywarł na mnie wrażenie wielkiego realisty i wielkiego działacza państwowego. Stosunek narodu radzieckiego do obywateli polskich jest przyjacielski, polsko-radziecki układ wywarł na narodzie radzieckim ogromne wrażenie.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy, jak on ocenia sukcesy Armii Czerwonej Sikorski oświadczył: "Wszystko co zostało opublikowane w prasie na ten temat zgodne jest z rzeczywistością. Wojska radzieckie nie tylko zatrzymały ofensywę Niemców, ale także zmusiły nieprzyjaciela do odwrotu. Za najważniejszy z kierunków uważam Rostów, gdzie rozbita została armia Klejsta oraz moskiewski odcinek frontu, gdzie osiągnięto zwycięstwo o dużym strategicznym znaczeniu. Lenigrad, Moskwa i Kaukaz są obecnie w całkowitym bezpieczeństwie. Stalin powiedział mi, że niemieccy żołnierze podobni są teraz do żołnierzy Napoleona przy odwrocie z Rosji. Sytuacja Niemców jest tym bardziej beznadziejna, że nie mają oni w pobliżu żadnych rezerw. Jednak nie należy sądzić, że wojna zakończy się tej zimy. Trzeba być przygotowanym na nowe ataki Niemców na początku przyszłego roku. Przypuszczam, że Armia Polska weźmie aktywny udział w tej ofensywie Armii Czerwonej".

W tej relacji agencji TASS przewijają się nadto wyraziście motywy propagandowe szyte grubymi nićmi, skądinąd bezlitośnie wykorzystywane przez zesłańców. Wiele osób podjęło ryzyko oporu, a nawet swego rodzaju buntu. A jedynym "dokumentem", który skłaniał ludzi do podjęcia desperackich kroków działania - o paradoksie - był

wycinek z gazety "Krasnojarskij Rabocziej". Ryzyko zaś było tym większe, że obowiązywały przecież rygory stanu wojennego. Każde nieusprawiedliwione opuszczenie pracy groziło dochodzeniem dyscyplinarnym, a ściślej bezwarunkowym więzieniem, nie mówiąc już o pozabawieniu kartek na chleb. Nie mieliśmy jakichkolwiek dokumentów, a pojawienie się każdego nieznanego osobnika w miejscu poza terenem zamieszkania powodowało natychmiastowe powiadomienie o tym władz. Praktycznie żaden człowiek, nawet uzbrojony w broń myśliwską, nie miał szans dłuższego przeżycia w warunkach tajgi, ani w okresie lata, ani tym bardziej w okresie zimy. Do najbliższej stacji kolejowej w linii prostej mieliśmy ponad 300 kilometrów. Ale nawet jeżeli komuś udało się dotrzeć do stacji kolejowej, to legalnie dostać się do pociągu nie mógł. Były więc nasze losy niezwykle złożone, ryzykowne, tak jak skomplikowany i niewiadomy jest los każdego człowieka, zwłaszcza ludzi uwikłanych w tryby totalitarnego systemu. Największym stresom, jako odpowiedzialni za losy całej rodziny - podlegali ojcowie i matki, starający się jak przysłowio- we pszczołki zdobyć - choćby nawet nieuczciwie - pożywienie dla rodziny. Coraz więcej ludzi powłóczyło opuchniętymi z głodu nogami. Prawie wszyscy nabawili się "kurzej ślepoty". Ludzie po zapadnięciu zmroku wpadali na siebie nawzajem, przemieszczając się w półmrocznym baraku potykali się o leżące obuwie; przewracali wiadra z wodą. Wszystkie te dolegliwości dnia codziennego rodziły dialektykę oporu - procentowały różną skalą zachowań. W tym nawet donosicielstwa. Tak więc za próbę przystosowania się do zaistniałych realnych warunków płacono wysoką cenę. Niekiedy ta dialektyka oporu przeradzała się jakże szybko przemijającą nadzieję. Niekiedy tą nadzieją był list - rzadziej paczka z [redacted] kraju, także

zdobycie dodatkowego kawałka chleba, czy złowienie paru jazgarzy, uzbieranie kilku garści lebiody oraz pokrzywę. Cieszyła pomyślnie ułożona kabała, korzystna odpowiedź "talerzykowego ducha". Radowało zdobycie (czytaj kradzież) kawałka liny cumowniczej na parę łapci, obejrzenie przelewających się różnokolorowych barw zorzy polarnej na północnym nieboskłonie, to ostatnie zjawisko przyrodnicze odczytywaliśmy jako niechybny znak klęski naszych ciemężycieli. Korzystna wymiana jakichś pozostałości odzieży, zdobycie nakomarnika, nawet kupienie po kumotersku jednego-dwóch opakowań machorki, zdobycie kawałka gazety na zrobienie skręta czy też koziej nóżki - wszystkie te drobiazgi, na pierwszy rzut oka mało ważne, śmieszne, rodziły krótką przemijającą iskierkę nadziei, mobilizowały wyczerpany, umęczony, niekiedy schorowany organizm do przetrwania dodatkowego dnia, a może tygodnia, aby tylko odsunąć od siebie na później kapitulancję i rozpacz. Niebezpieczną zwłaszcza wśród ludzi dorosłych - matek, ojców, dorosłego rodzeństwa. Te losy i te codzienne przeżycia, i ta chęć przetrwania uczyły rozumieć i poznawać doświadczenia innych ludzi, porównywać je z doświadczeniami i przeżyciami własnymi. Niekiedy łatwiej bowiem zrozumieć skuteczność własnych działań, obserwując doświadczenia innych ludzi. Ale te pozytywne sposoby na przeżycie i na ewentualną możliwość zmiany miejsca zamieszkania z myślą o lepszych, bardziej ludzkich warunkach były pilnie "strzeżone".

Władze lespromchozu, co prawda uznawały nasze racje, ale wyjątkowo opornie i niechętnie wydawały odpowiednie zaświadczenia, które umożliwiały opuszczenia miejsca pracy i zezwalały na poruszanie się w jakimś określonym promieniu od miejsca zamieszkania. Przyczyną takiego stanu rzeczy był przede wszystkim brak rąk do pracy. Na początku 1942 roku prawie wszystkich mężczyzn zdolnych

do noszenia broni wcielono do armii, w tym również Piorta Witaljewicza Głuszenkowa-juniowa. W ten oto sposób nasza szkoła pozbawiona została jedyne go nauczyciela:

W tym czasie również młodzi Polacy, zwłaszcza bezdzietni, spieszyli do rajwojenkomatów, a za nimi 18-20-letnie ochotniczki. Panujące wówczas wyjątkowe niskie temperatury nie sprzyjały poszukiwaniu pracy. Samotna czy też nawet licząca kilka osób wędrówka po syberyjskich bezdrożach przy 45-50 -cio stopnowym mrozie i śniegu nierzadko przekraczającym dwa metry głębokości, skazana była na niepowodzenie. Groziła po prostu zamrożeniem. W tym okresie - już po raz drugi od chwili rozpoczęcia wojny zmniejszono nam przydziały chleba dla ciężko pracujących o 100 gramów. Zaś dzieci i niezdolni do pracy otrzymywali odtąd po 250 gramów czarnego, niewypieczonogo chleba. Natomiast kartki na inne produkty żywnościowe stały się po prostu praktycznie świstkami papieru bez żadnego pokrycia. Z kuchni-stołówki prawie zupełnie zniknęła zupa makaronowa, a nawet jaglana. - królowała za to zupa szczawiowa oraz z czeremszy. Ta ostatnia maszczona kawałkami śledzi. Nic dziwnego, że co zaradniejsi Polacy zaczęli wówczas stawiać wnyki oraz bardzo popularne na Syberii potrzaski. Ale ze względu na padający wciąż śnieg nie dawało to większych rezultatów. Paru Polaków odkupiło więc od choziajek jednorurki myśliwskie. Tatuś również nabył 24 milimetrową pojedynkę, używaną na Syberii przeważnie do polowań na wiewiórki oraz na riabcziki. Ale głęboki i sypki śnieg nawet jeśli się miało narty myśliwskie uniemożliwiał wędrowanie na polowanie w tajdze. Były również spore trudności z kupnem prochu, śrutu, spłoniek.

Tylko lesoruby niemal codziennie swoimi śniegowymi tropami po-

dażali do wyrębów. Niemal codziennie, bo gdy temperatura spadała poniżej 45° - pracę w lesie wstrzymywano. Pewnie dlatego, że narzędzia tnące przy takich temperaturach ulegały uszkodzeniu. Zajęcia w szkole zawieszano przy temperaturze minus 40°.

Od momentu kupienia strzelby tatuś zabierał ją ze sobą. Tak na wszelki wypadek. Bowiem w drodze na lesopoważkę mijał w paru miejscach kępy świerków oraz brzozowe zagajniki. Na świerkach i brzozach dość często żerowały riabcziki. Do połowy kwietnia, do momentu utworzenia się lodoszreni, tatuś kilka razy przyniósł z "pracy" po jednym riabcziku, a raz nawet przyniósł nam zająca-bielika. Co to była za uczta w rodzinie.

W tym czasie już tylko Polacy pracowali przy ścinie drzew. Kołchoźnicy-wozacy zaś swoimi niedużymi niezwykle odpornymi na mrozy i trudy konikami wywozili kłocę z lasu, które to kłocę kobiety miejscowe wraz z Polkami układały w obszerne i wysokie sztaple na wysokim brzegu Ony. Praca przy układaniu sztapli była wyjątkowo niebezpieczna i ciężka. Natomiast jedyną jej zaletą była bliskość od miejsca zamieszkania. Ale kiedy okazało się, że do ogólnego planu lespromchozu brakuje kilkaset metrów kubicznych drewna do ścięcia, wówczas do prac na wyrębach skierowano również kobiety. Wśród nich była również Jadzia Izbińska, która dotychczas pracowała przy układaniu sztapli. Co prawda prace przy lesopoważce zostały w sposób wyraźnie przyspieszone, ale równocześnie z każdym dniem coraz więcej przygotowanych do wywózki kłoców pozostawało na wyrębie, gdyż kołchoźnicy nie nadążali z ich wywozem. W dodatku konie, pracujące przecież od paru miesięcy w ekstremalnych trudnych warunkach, coraz częściej odmawiały posłuszeństwa. Podobnie jak większość Polaków, także i konie straszyły widocznymi kośćmi. Ogony końskie, jak już

wcześniej wspomniałem pozbawione były prawie całkowicie włosów, które zostało powyrywane na linki wędkarskie, a przede wszystkim na siatki przeciwko muszkom. W tym czasie jedynym pożywieniem koni było siano ponieważ paszę treściwą, którą stanowił przywieziony z kołchozów owies, dość skutecznie rozkradziono, a częściowo sprzedano. Po prostu Polacy, a także kołchoźnicy oraz mieszkańcy Tulenia owies gotowali i jedli. Jedzenie owsa nie było łatwe. Toteż zaczęto samodzielnie wykonywać młynki do jego przemiału. Konstrukcja takiego młynka była bardzo prosta, a jego budowa pracochłonna. Młynków do przemiału ziarna <sup>i</sup>zrobiłem ~~z~~ <sup>przedałem</sup> kilkadziesiąt na Ukrainie i kilka na Syberii. Te młynki syberyjskie wynonalem z jednej puszki po cukierkach firmy "Danold" oraz z puszek po konserwach. W blasze przy pomocy gwoźdźcia wybijalem otworki co parę milimetrów od siebie. Tak przygotowaną blachę-tarkę obciągałem drewniany okrągły klocek i mocowałem go do jednego końca deski o długości 60-70 centymetrów. Na tę okrągłą tarkę nakładałem drugą, nieco szerszą i wyższą, zaopatrzoną w rączkę z płaskownika. Oczywiście było to urządzenie bardzo prymitywne, mało wydajne, ale jeżeli owies był dobrze wysuszony można na nim było zemiać około kilograma ziarna w ciągu godziny. Jeżeli elementy tnące były dobrze dopasowane, to otrzymywało się dość miłąką mąkę. Że było w niej sporo opiłków metalowych, to już inna sprawa, nie odgrywało to żadnej roli.

Do połowy stycznia 1942 roku kontakty osobiste między Polakami a mieszkańcami Tulenia miały charakter wybitnie formalny; związane były na ogół z rodzajem wykonywanej wspólnie pracy, bądź były nielegalne i dotyczyły handlu wymiennego. Stosunek dzieci miejscowych do swoich polskich rówieśników, zwłaszcza w szkole, był wyjątkowo wrogi. Najłagodniej nazywano nas "polskij pan", "lach", "burżuj", ale przeważały określenia wyjątkowo wulgarne oraz najmodniejsze bodajże - "wrag naroda". Prawdziwą plagą stanowiły jednak celowe przeina-

czanie nazwisk, a przede wszystkim imion. Ja ich, imion oczywiście, miałem kilkanaście, aż wreszcie już prawie na stałe zostałem przechrzony na "Wowę". Tatuś, Władysław s. Jana przekształcony został na Władimir Iwanowicz, a ostatnia litera nazwiska została zmiękczo-  
na znakiem miękkim. Siostra Danuta została Didią. Najpierw na te przeinaczenia naszych imion reagowaliśmy bardzo zdecydowanie, ale niewiele to pomagało. Przeinaczenia imion i nazwisk wprowadzono również do dokumentów oficjalnych. "Dbano", zwłaszcza o te przeinaczenia w odniesieniu do nieletnich.

Posiołek Tuleń miał około 35 domków drewnianych, 5 baraków ( trzy zajmowali Polacy, dwa kołchoźnicy-wozacy). Posiadał małą jednoizbową czteroklasową szkołę, a także sklep, czy właściwej sklepik, kuchnię-stołówkę, budynek administracyjny, budynek NKWD. W skład jej wchodziła ruska bania, dość duża piwnica oraz piekarnia. Domy były przeważnie jednoizbowe niekiedy z przybudówkami, w tych ostatnich trzymano krowy, kury (podczas dużych mrozów i kury i krowy przenoszono do pomieszczenia mieszkalnego), przechowywano sieci rybackie, żaki i specjalne wiklinowe kosze do połowu ryb. Najważniejszym elementem syberyjskiego mieszkania jest ruskaja piecz, rodzaj naszego pieca chlebowego, z tym że o wiele obszerniejszego, spełniającego dwojaką funkcję. Z jednej strony służył on do gotowania w tzw. czugunach, do pieczenia, suszenia grzybów, jagód, drobnej ryby, płatów mięsa z łosia lub niedźwiedzia, z drugiej - do spania dla dzieci oraz osób w podeszłym wieku. Na jednej z krawędzi takiego pieca zbudowane było - na wysokości 1,5 metra - specjalne palenisko, rodzaj syberyjskiego kominka. Na tym kominku w długie zimowe wieczory palono suche smoliste drewnianka-łuczywa, które oświetlały wnętrze izby. W każdej izbie znajdował się prostokątny



żeliwny piec. , w którym w okresie zimowym podtrzymywano ogień przez całą noc. Przy drzwiach na wysokim stołku stało wiadro z rzezną wodą, wisiał czerpak wykonany na ogół z kory brzożowej. Obok wiadra, na ścianie znajdował się zbiorniczek z wodą do mycia. Zbiorniczek taki zaopatrzony był w specjalny podnoszony zawór. Pod zbiorniczkiem stała mała miedniczka, a najczęściej było tam zrobione wiadro z kory brzożowej. Każda izba miała jedno-dwa łóżka wykonane z desek, niekiedy piętrowe. Niektóre, przeważnie pojedyncze łóżka małżeńskie, osłonięte były kotarami. Charakterystycznym elementem tych kotar były powycinane przez dzieci otworki oraz duża ilość różnorodnych łąt. Wyposażenie izby uzupełniały stół, taborety, kilka czugunów (w bogatszych domach), patelnia, gliniane naczynia na mleko zwane krynkami, parę naczyń wykonanych z kory brzożowej. W każdym bez wyjątku domu na ścianie wisiał oprawiony w ramki portret Stalina. W niektórych umieszczono pojedyncze zdjęcia fotograficzne - były zegary tzw "kukółki". Wisiała broń myśliwska. Każda izba była podpiwniczona. W piwnicach tych przechowywano łatwo psującą się żywność, ziemniaki.

Mieszkańcami Tulenia, Czegaszetu, Szywiery byli w przeważającej większości potomkowie zesłańców różnych narodowości. Jak zdecydowana większość Sybiraków byli ludźmi uczciwymi; umiającymi radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach życiowych. Żyli dniem dzisiejszym - nie dbali i nie myśleli o jutrze. Ci z nich, którzy uniknęli aresztowań w latach trzydziestych zajmowali się myślistwem, rybołówstwem, pracowali przy wyrębie lasu, spławiali drewno tratwami. Olbrzymia większość Sybiraków kończyła swoją edukację na czwartej klasie szkoły podstawowej. Rzadko który Sybirak widział choćby raz w życiu pociąg, samochód, motocykl, a nawet rower. Były to dla nich poję-

cia całkowicie abstrakcyjne, podobnie jak telefon, radio, elektryczność. Jedyną techniką, z którą stykali się wszyscy był samolot i kuter. Wielką tragedią, zwłaszcza dla rodzin wielodzietnych <sup>podatki,</sup> były <sup>były</sup> od posiadanych krow. I tak, każdy właściciel krowy zobowiązany był "uiścić" od posiadanego zwierzęcia 25 kilogramów mięsa i 5 kilogramów masła rocznie. W wypadku braku przychówku po prostu trzeba było oddać krowę na rzeź.

W tych trudnych dla nas czasach mamcia zaprzyjaźniła się z miejscową księgową Fiokłą Iwonową Kułakową oraz kasjerką lespromchozu, Nadzieżdą Borisową Karpową. Zamówiły one haftowane obrusy, które wykonane zostały przez mamcię z materiału i nici otrzymanych w paczkach. Za wykonaną pracę otrzymywaliśmy przez parę tygodni po jednym litrze mleka dziennie, tatuś zaś dostał pół kilograma dymnego prochu myśliwskiego oraz ponad trzy kilogramy śrutu i pudełko spłonek. W tamtych czasach był to majątek.

W końcu marca 1942 roku zawchoz wezwał tatusia do swojej kantory i zapytał czy potrafi on obliczać kubaturę ściętych drzew. Tatuś przytaknął, odpowiadając „oczywiście tak! Przecież, ~~parakxskęxym~~ w ciągu wielu lat, jako leśniczy w Bertnikach, parał się na co dzień tego rodzaju obliczeniami. Tak więc niespodziewanie tatuś z lesoruba stał się prijomszczikom lesa. "Awans" ów zawdzięczając toczącej się wojnie, temu, iż ostatni rdzenni prijomszcziki lesa wraz kilkoma kolejnymi polskimi ochotnikami odjechali właśnie rozstawnymi saniami do abańskiego rajwojenkomatu. Ta garstka polskich tuleńskich ochotników miała sporo szczęścia, wszak najpierw trafiła do Buzułuk, następnie ściągnęła tam swoje rodziny, a wkrótce przekroczyła granice Iraku...

W kwietniu spora grupa Polaków otrzymała "komandirowki"; roz-

począła poszukiwanie lepszego losu w okolicznych kołchozach. Ale byli i tacy - przeważnie samotni już - którzy dotarli do Abakanu i do Minusińska. Wszyscy, absolutnie wszyscy znajdowali bardzo łatwo zatrudnienie w kołchozach, sowchozach, także w przedsiębiorstwach pracujących na rzecz frontu z czym wiązały się wyższe przydziały żywności. Również w tartakach, zakładach przemysłowych Kańska, a nawet w spichlerzach zbożowych. Każdy z zatrudnionych otrzymywał zazwyczaj do swej dyspozycji jakiś mały samodzielny pokój. Często był on tak samo zapluskwiony, jak tuleńskie baraki. W Tuleniu panował wówczas wielki ruch. Jedni przyjeżdżali po swoje rodziny, inni po znajomych, Tylko samotni nie przyjeżdżali ponownie, wszak cały swój majątek mieli na sobie i ze sobą w węzélku.

Dwie bezdzietne już rodziny: Wacława Buraka i Jerzego Cieślaka, mamione złotonośnymi piaskami, wyjechali na północ do uderejskiego rejonu. Ten rejon leży na północ od rzeki Tasiejewa i rozciąga się aż po dorzecze rzeki Wielmo. Te dwie rodziny dotarły aż do Krasnogo Priiska uderyjskiego rejonu, Krasnojarskiego Kraju. Priisk - znaczy tyle, co miejsce, w którym wydobywa się, i w którym występują drogocenne kruszce. Trudno mi zgadnąć, czy rodziny te dorobiły się tam majątku, czy wróciły w ogóle do kraju. Wiem natomiast, że dość długo, bo do lutego 1944 roku rodzice moi korespondowali z nimi. Ludzie ci namawiali nas na osiedlenie się właśnie tam, gdzie oni znaleźli się. Pisali, że wszystko jest przygotowane na nasz przyjazd. Donosili nam, iż warunki życia i pracy są u nich o wiele <sup>niż u nas</sup> lepsze, ale mamcia za żadne skarby nie chciała wędrować na północ.

Z Tulenia wyjechała również rodzina Izbińskich do miejscowości Nalimowka kołchozu "Biełorus". I życie toczyło się nadal. Życie przeplatane śmiercią. Pan Hofman pokropił święconą wodą ostatniego

syna pani Głąbowej. Pani Głąbowej tak jak i czwórki jej dzieci, nie było już wśród nas - zmarli parę miesięcy wcześniej. W barakach pozostało niewielu Polaków. Naczelnik lepromchozu chodził ponury "wyciągał" z baraków i domów siedmio-ośmioletnie dzieci, staruszków i starowinki, kierował ludzi do różnych prac pomocniczych.

W pierwszej połowie kwietnia 1942 roku do Tulenia - wszak w systemie tym nie mogło być próżni! - zaczęły napływać nowe grupy przesiedleńców, czyli wedle tamtejszej propagandy "wragów naroda". Tym razem przyjechali do nas ludzie samotni, wywiezieni z oblężonego Leningradu. A także mężczyźni z rodzinami. Tymi ostatnimi byli przesiedleńcy z nadwołżańskich rejonów - obywatele sowieccy pochodzenia niemieckiego. Wśród Leningradczyków przewagę stanowiła inteligencja: profesorowie wyższych uczelni, nauczyciele, kilku lekarzy. Im w barakach przypadły prycze opuszczone przez Polaków.

Tego kwietnia 1942 roku wiosna nadeszła nadszpiewanie wczesnie. Kołchozowi wozacy w popłochu odjeżdżali do swych domów. Bali się rzeki. Bali się Ony. A ta z godziny na godzinę coraz bardziej czerniała. Co zapowiadało rychłe ruszenie lodu. Kra ruszyła 1 maja, jak nigdy dotąd, jak nigdy później. Kiedy spłynęły wody powodziowe, zwykle przystępowano do prac związanych z wiązaniem tratw i ich spławianiem do Igarki. Ale tym razem prac tych nie rozpoczęto przede wszystkim z braku odpowiednich fachowców.

W połowie kwietnia dobiegła końca moja praca. Praca związana z zrzucaniem śniegu z dachów. Co miałem robić - zostałem pomocnikiem Piotra Wasiljewicza, tego samego - jak wcześniej już opisałem - który pomagał Hofmanowi, Izbińskiemu i mnie wykonywać "normy". Tym razem przez cztery dni, niezależnie od ciągle jeszcze pełnionej przeze mnie funkcji banszczika, woziliśmy wodę i drwa do łaźni,

kuchni-stołówki, budynku administracyjnego. W stołówce-kuchni, myślę, że z litości, nas trochę dokarmiano. Zajęcie woziwody, podobnie jak wozaka drewna opałoweg<sup>o</sup>nie były ściśle regulowane terminem, godzinami pracy. Zdarzały się tedy dni, podczas których mieliśmy sporo wolnego czasu. Bywało i tak, że Piort Wasiljewicz mrugając porozumiewawczo zwalniał mnie na dwie-trzy godzinki. Wówczas na łeb na szyję biegłem do naszego baraku, chwyciłem wędkę i pudełko z robakami i błyskawicznie "lądowałem" na swoim ulubionym miejscu nad rzeką.

Bezpośrednio, po spłynięciu lodów, kiedy woda jest wciąż jeszcze mętna i zimna złowienie na wędkę większej ryby nie jest tu zajęciem łatwym. Pamiętam, że w ciągu całego dnia żerowały tam jedynie jak opętane jazgarze. I to jakie jazgarze! Każda wyłowiona wówczas rybka - nawet teraz w 1993 roku - mogłaby trafić do tablic rekordu Polski. Wczesnym rankiem oraz szczególnie po zapadnięciu zmroku, przy świetle palącego się ogniska, wczesną wiosną i późną jesienią spod pierwszego lodu najlepiej brały nalimy-miętusy. Wystarczało ich i dla nas i dla rodziny Z. , jeżeli oczywiście miałem czas na wędkowanie i, jeżeli ryby żerowały. Wśród nas, Polaków, nie było wielu amatorów wędkarstwa. Głównie ze względu na brak haczyków. Ale nie tylko. Również miejscowi chłopcy i staruszkowie bardzo rzadko sięgali po wędkę. Po prostu stosowali bardziej skuteczne metody pozyskiwania rybiego mięsa. Ale do tego potrzebna była im własna, przeważnie wykonana z desek lódź, tzw. wiosłowa. Łodzie te były, co prawda bardzo bezpieczne, stosunkowo duże, ale i kiepsko sterowne i na tyle ciężkie, że wypłynięcie nimi chłopcu w moim wieku i z moim "doświadczeniem" niczym dobrym nie mogło się skończyć. Co innego lódź dłubanka. Ta była lekka, znakomicie sterowna, lecz o takiej

Łodzi można było jedynie marzyć. Toteż marzyłem o niej i to aż do sierpnia 1944 roku, do momentu wyjazdu z Czegaszetu. Mając Łódź do połowów potrzebny był rzecz jasna także odpowiedni sprzęt rybacki. Do połowu dużych ryb (a przede wszystkim tajmieni-łososi syberyjskich nalimów, szczupaków okoni) służyły żywotniki czyli sznury uzbrajane przeważnie kiełbikami. Z tymi ostatnimi zwłaszcza wiosną i późną jesienią, było sporo kłopotu. Dlatego też miejscowi rybacy używali sznurów z nieuzbrojonymi w żywca hakami. Do grubego sznura wiązali na 50-centymetrowych linkach duże, przekraczające 15 centymetrów długości kute haki. Pośrodku tej pięćdziesięciocentymetrowej linki wiązano dość duży, wielkości kurzego jaja korek, wykonany z kory sosnowej. Tak przygotowany sznur - z co najmniej pięćdziesięcioma hakami zastawiano w miejscach o bardzo wartkim prądzie. Haczyki pod naporem wody na korki wykonywały nieprawdopodobne ewolucje zahaczając za różne części ciała przepływające ryby. Jeżeli taki bezżywczy sznur zastawiony był we właściwym miejscu - zwłaszcza wiosną - można się było spodziewać, że zahaczy się nań co najmniej 4-5 tajmieni nierzadko metrowej długości, a także kilka dużych nalimów. W maju 1942 roku niemal codziennie rano widziałem, jak miejscowi rybacy wyjmowali ze swoich łodzi olbrzymie tajmienię, mietusy, niekiedy szczupaki. Nie, nie takie mietusy, jak ja łowiłem na swoje dwie wyjątkowo prymitywne wędki. W ciągu dnia kolektwy rybackie łowiły ryby przy pomocy niewodów, wykonywali specjalne zagrody z gałęzi wikliny w pobliżu brzegu. W wykonanych zagrodach zastawiali dość szerokie przejścia, w których zastawiano żaki. W lecie natomiast (a lato na Syberii jest bardzo długie, a zima w tych stronach trwa bowiem zaledwie dziesięć miesięcy) zastawiono na ryby specjalne, wykonane z wikliny kosze. Wlot takiego kosza oblepiano ciastem lub chlebem.

A po paru godzinach wyciągano z koszy kilka kilogramów ryb. Do nie-wodów, żaków, wiklinowych koszy, zastawianych sieci oraz na żywotni-ki łowiono różne gatunki ryb: płocie, krasnopióry, okonie, szczu-paki, jazgarze, nalimy, łososie syberyjskie. Do sieci dość często dostawały się nurkujące kaczki, rzadziej dzikie gęsi. Ale wszystkie te dobra, nie tylko my, Polacy, ale także wrogowie narodu - sowieccy obywatele pochodzenia niemieckiego - mogliśmy co najwyżej oglądać, albo wymienić na jakąś odzież, pościel i "miastowe" obuwie. Jednak część wyławianej ryby trafiała również do miejscowej kuchni-stołów-ki, część była solona w beczkach i przechowywana w piwnicy na zimę. Ale coraz więcej wyławianej ryby po prostu marnowała się ze wzglę-du na coraz bardziej pogłębiający się brak soli. Ale według moich obserwacji nie mniej niż połowa tubylców nie spożywała wyławianych ryb w postaci świeżej. Królowało upodobanie, że ryba z duszkiem, czyli ryba nadpsuta to jest dopiero ryba, to jest dopiero smak.

Dwa czy też trzy razy pokazałem Piotrowi Wasiljewiczowi całe moje połowy. A on, jak ongiś w lesie, uśmiechał się, to znów kiwał dezaprobująco głową. Obejrzał z wielką uwagą moje wędkarskie akce-soria. Powiedział: - Nie tak. I nie tam gdzie siejczas łowisz.

Któregoś popołudnia zaprosił mnie do siebie, przez chwilę krzątał się po mieszkaniu, coś szukał w skrzynce. Następnie usiadł i rozpoczął skręcanie linek w siwego końskiego włosia. Podczas tej czynności coś mrucał pod nosem, coś powtarzał, ale nie mogłem w żaden sposób rozróżnić wymawianych wyrazów. Uśmiechnął się. Związy-wał metodycznie ze sobą pojedyncze odcinki w jedną, ponad cztero-metrowej długości linkę. Wypalił, któregoś już z rzędu skręta. Często-wał również i mnie. Machorka była potwornie mocna, kaszlałem, dusiłem się od tego smrodliwego dymu. Z oczu ciekły mi łzy, ale starałem się jak tylko mogłem, aby choć przypadkowo nie zdradzić

się przed Piotrem Wasiljewiczem z tą moją słabością. Do izby wróciła żona, Anastazja Borisowa z udojem. Poczęstowała ciepłym jeszcze z pianką mlekiem. To mleko wróciło mi pełną świadomość po tej piekielnej machorce zawiniętej w kawałek gazety.

Piotr Wasiljewicz przywiązał haczyk oraz małą muterkę, którą długo wyszukiwał w swoich manelach. Poszedł na czerdak-strych i przyniósł stamtąd, co najmniej czterometrowej długości sosnowe wędzisko. Przywiązał linkę do szczytówki:

- Wot, eto nastojaszczaja sibirskaja udoczka - powiedział

- Ułowistaja udoczka - dodał.

Później jeszcze dość długo przyglądał się swojemu dziełu i paroma zdecydowanymi ruchami odwiązał muterkę. Widocznie było mu jej żal. Ale nie, gdyż muterkę położył najpierw na stole, a po chwili wahania dał mi ją.

- Tiepier', eto nastojaszczaja udoczka na chariusa - zakomunikował

Szukałem w swojej pamięci nazwy tej ryby, ale nigdy dotąd ani w Tuleniu, ani w Bertnikach nie zetknąłem się z nią. Dlaczego i gdzie mam łowić te chariusy? I dlaczego bez ciężarka?

Po chwili zastanowienia, cedząc słowa, Piotr Wasiljewicz oznajmił:

- Tiepier' budiem żdat' slepniej.

Zupełnie zbaraniałem. Czekać na baki?

- A co to ma wspólnego z chariusami - zapytałem.

- Pożiwom, uwidisz.

No cóż, skoro trzeba żyć to trzeba. Ale tak naprawdę, jak można żyć, oddychać, normalnie patrzeć w tej zadymionej machorkowym dymem chacie? Chciałem, najszybciej jak tylko to jest możliwe wyjść z tego gościnnego i uczynnego domu, nawet już nie z powodu



tego okropnego dymu, a chciałem przede wszystkim dlatego, by pochwalić się przed rodzicami swoją nową wędką; dowiedzieć się od tatusia czegoś bardziej konkretnego o tych chariusach.

No cóż, wędka spodobała się bardzo mamci i tatusiowi, a nawet Dance. Choć prawdopodobnie ta najdroższa mi moja trójka najbliższych osób wolała zamiast oglądania wędki - widzieć złowione ryby. Tatus o chariusie powiedział mi niewiele. Tylko tyle, że lipień jest pięknie ubarwioną rybą i zalicza się do rodziny ryb łososiowatych, że żywi się bardzo chętnie m.in. owadami, że lubi czyste wody o wartkim nurcie, że atakuje upatrzoną zdobycz zza różnego rodzaju przeszkód podwodnych. Próbowałem więc w pamięci penetrować najlepiej mi znany kilkukilometrowy, położony wyżej i niżej Tulenia prawy brzeg Ony. Ale nie znajdowałem takich miejsc, w których mogłyby być stanowiska lipieni. A i bąków na razie nie było, nie było również jeszcze muszek - tylko komarów - skolko ugodno.

A na wysokim brzegu Ony wciąż leżało kilkadziesiąt nie naruszonych, obszernych i wysokich sztapli, równo według długości - poukładanych sosnowych i modrzewiowych kłoców. Kilkadziesiąt tysięcy metrów kubicznych drewna. I Polacy, i sowieccy obywatele niemieckiego pochodzenia bez ładu i składu kręcili się całymi dniami nie mając praktycznie żadnej roboty, a tym samym nie otrzymywali wynagrodzenia. W najgorszej sytuacji materialnej byli pieriesieleńcy z Leningradu. Przywiezieni zostali bowiem do Tulenia w tym w czym stali. Trawa wciąż jeszcze była zbyt mała do koszenia. Znikała wokół baraków każda zaledwie kiełkująca roślinka lebiody i pokrzywy. Każda, no prawie każda, w najbliższej odległości baraków rosnąca brzoza była podcięta. Z brzoź spływał do naczyń sok, którym nie tylko zaspakajano pragnienie, ale również - chociaż na chwilę - głód.

Paranoja, całkowita paranoja. Tam, kilkadziesiąt metrów od baraków "pływały" setki, a może tysiące ton ryb. Ale ludzie nie potrafili, lub nie mieli czym je wyłowić! Może pięćset, a może tysiąc metrów od baraków buszowały w tajdze niedźwiedzie. Na mokradłach, a niekiedy w przybrzeżnych zaroślach rzeki żerowały łosie. W głębi tajgi - w miejscach znanych tylko miejscowym myśliwym - tokowały głuszcze. Na rzece widziało się stada kilkunastu gatunków kaczek, stada gęsi. Ale z powodu braku odpowiednich umiejętności, braku sprzętu wędkarsko-rybackiego, braku broni, a niekiedy po prostu śrutu, prochu, czy też najzwyklejszych spłonek - to chodzące, latające, czy też pływające "jedzenie" było wciąż poza zasięgiem głodujących.

W połowie czerwca, w godzinach południowych, nad Tuleniem na niedużej wysokości pojawił się hydrosamolot. Parę razy zniżył lot, krążył tuż nad nami: przelatywał kilkakrotnie nad samą wodą. Ale, prawdopodobnie ze względu na dużą falę, pilot nie mógł zdecydować się na lądowanie. Maszyna ponownie wzbiła się w górę. Przeleciała znowu nad posiołkiem raz i drugi. Od samolotu oddzielił się jakiś nieduży przedmiot. Był to wympieł-meldunek ciężarkowy. Nie był to zresztą pierwszy tego rodzaju wypadek informowania władz o jakimś pilnym zadaniu do wykonania. W ten sam sposób zrzucano, szczególnie w zimie, pieniądze przeznaczone na wypłaty. Tym razem samolotem dotarło do nas polecenie rozpoczęcia prac związanych z samospławem drewna. Desperackie polecenie. Dotąd przecież drewno spławiano tratwami. Ale skoro nie ma kto tratwę wiązać, a przede wszystkim sterować nimi - trzeba więc w ten prymitywny sposób "pozbyć się" zalegającego setkami tysięcy metrów kubicznych drewna z dziesiątków lespromchozów położonych wzdłuż Ony, setek lespromchozów na innych, licz-

nych rzekach Syberii.

Następnego dnia utworzono kilkanaście sześciuosobowych mieszanych męsko-kobięcych brygad, złożonych z obywateli sowieckich pochodzenia niemieckiego, Polaków i Rosjan. Te brygady, którymi kierował tatuś przystąpiły do staczania zgromadzonych na sztaplach kłoców. Część kłoców staczała się do wody - odpływała, część zaś zatrzymywała się na brzegu, tworząc coraz to chaotyczną, bezwładną plątaninę - podobną do gry towarzyskiej w bierki - kłód różnej długości i grubości. Później trzeba było metodycznie, powoli "rozsupływać" te kloce i niezwykle ostrożnie wybierać pojedyncze, aby nie naruszyć pozostałych, tworzących przedziwną piramidę. Wszelki pośpiech, każde poruszenie niewłaściwego kłoca mogło się skończyć zawaleniem piramidy, a w konsekwencji przygnieceniem ludzi, połamaniem - zwłaszcza - nóg. Część ludzi brodziła po wodzie, odpychając bosa-kami od brzegu pojedyncze kloce na głęboką wodę. I tak codziennie w okresie prawie czterech tygodni.

Trzy czy też cztery dni później na Onie pojawiły się najpierw pojedyncze, później dziesiątki, setki, tysiące kłoców zrzuconych do wody w posiołkach Poczot, Płachino ( w tej ostaniej miejscowości - położonej ponad czterdzieści kilometrów od Tulenia - był nasz Sielsowiet), dziesiątkach innych lespromchozów i lesopunktów położonych w górnym biegu rzeki, w jej dopływach. Były takie sytuacje, że można było z jednego na drugi brzeg prawie ośmioletmetrowej szerokości rzeki przejść po płynących kłocach. Ale takich odważnych nie widziałem . Owszem, dziesięć, piętnaście metrów od brzegu - to tak. Podczas spadku poziomowi wody tysiące kłoców osiadało na przybrzeżnych mieliznach i brzegach licznych wysp. Pozostały wci-  
wciąż płynęły rzeką Oną, Tasiejewą, Angarą, Jenisejem, aż do Igar-

ki, gdzie miano je wyławić! Ale czy to w ogóle było możliwe do wykonania? Nie wiem. Myślę jednak, że większość tych kłoców dopłynęła do Zatoki Jenisejskiej, a później do Morza Karskiego...

Prawdziwą jednak Piotra Wasiljewicza i moją udręką było to, że płynące kłocce uniemożliwiały wjechanie beczkowozem do rzeki i normalne, jak dotąd, nabieranie wody do beczki. Uderzenie płynącego kłoca o szprychy kół groziło zniszczeniem naszego "narzędzia" pracy, nie mówiąc już o bezpieczeństwie końskich kończyn. Najpierw stosowaliśmy metodę ubezpieczenia. Polegała ona na tym; że ja wchodziłem do wody z bosakiem w rękach kilkanaście metrów powyżej beczkowozu i odpychałem kłocce na środek rzeki. Jednak nie zawsze udawało mi się na czas zażegnać niebezpieczeństwo. Gdyby nie daj Boże coś stało się koniowi, to niewątpliwie Piotr Wasiljewicz byłby sądzony z paragrafu za sabotaż, a być może i mnie przy okazji mogłoby się coś niecoś dostać. A Piotr Wasiljewicz Iwańkow, czy też Iwaniuk - dokładnie nie pamiętam, które z tych dwóch nazwisk nosił - miał swoje uzasadnione powody do obaw. Do 1932 roku mieszkał i pracował pod Winnicą. W okresie kolektywizacji i słynnego głodu na Ukrainie zaliczony został do tzw. kułaków. Dwaj jego synowie i córka zmarli z głodu. On wraz z żoną jakiś czas ukrywali się w Kijowie u brata żony. Szwagier został przyłapany na jednym z kijowskich bazarów na "spekulacji" żywnością. W domu przeprowadzono rewizję i przy okazji NKWD wyluskała Piotra Wasiljewicza. Był sądzony przez słynną "trójkę", która skazała go na karę śmierci, zamienioną później na dożywotne zesłanie do Krasnojarskiego Kraju.

Byłem wstrząśnięty opowiadaniem Piotra Wasiljewicza, tym bardziej, że nigdy dotąd nawet przez chwilę nie pomyślałem, iż może on mieć tyle przykrych przeżyć. Zdecydował więc Piotr Wasiljewicz

- i słusznie, obowiązywał wszak stan wojenny! - że nie możemy narażać mienia państwowego na ewentualne zniszczenie. Zszedł więc tak jak stał z wozu, wszedł do wody w butach i spodniach. Wziął bosak w swoje żylaste ręce i zaczął ubezpieczać wóz i konia. Ale było to zajęcie beznadziejnie nieskuteczne. W dodatku Piotr Wasiljewicz poślizgnął się o jakiś kamień okrągłak i runął jak długi do wody. Po chwili podniósł się i ociekając wodą wyszedł na brzeg. Zaklął siarczyście. Machnął ręką w moim kierunku, że mam podjechać bliżej brzegu, na płytszą wodę. Siedząc okrakiem na beczce z wielkim trudem odbierałem od Piotra Wasiljewicza podawane mi napełnione wodą wiadra. Jedno..., piąte..., dwudzieste..., i tak zdawało mi się bez końca, aż do utraty tchu. Pomyślałem, kogo zabiłem, komu zrobiłem krzywdę, dlaczego mam się tak męczyć? A kloce wciąż spokojnie, majestatycznie płynęły setkami, tysiącami. Myślałem nerwowo, jak będę teraz wędkować, czym i jak będziemy uzupełniać nasze wyjątkowo skromne wyżywienie. I rybacy przestali zastawiać swoje sieci, żaki, żywotniki, przestali ciągnąć niewody. Nadeszła już, czy też może dopiero nadchodziła kolejna niespodziewana, ~~niespodziewana~~ ~~wana~~ nieprzewidziana klęska. A może to już koniec, z nami ludźmi, a może świat zaleją do końca, po sam kres płynące wciąż kloce, rosące drzewa, buszująca w tajdze dzika zwierzyna, a może my, ludzie pozbawieni wszelkiej własności po prostu nie mamy duszy, że nie jesteśmy warci, aby żyć.

Od 1 lipca ponownie zmniejszono, tym razem "tylko" o 50 gramów racje chleba dla pracujących oraz dla dzieci i niezdolnych do pracy, odpowiednio do 450 i 250 gramów.

Ze sklepu zniknęły wszelkie artykuły żywnościowe oraz przemysłowe. Szczególnie ostro odczuwało się brak soli. Nie było więc moż-

liwości robienia zapasów kiszonek na zimę ze szczawiu i czeremszy. Po odtajaniu ziemi wraz z mamcią i tatusiem skopaliśmy spory kawałek nadbrzeżnej łąki, aby posadzić ziemniaki. Ale mamcia za swoje haftowane robótki otrzymała zamiast ustalonych <sup>wcześniej</sup> dwóch <sup>wiader</sup> sadzeniaków - załedwie jedno i na otarcie łez kilkanaście sadzonek pomidorów (które zresztą nie dojrzewały), rozsadę kapusty i brukwi. Część sadzeniaków, prawdopodobnie, "dobrzy ludzie" powybiali z ziemi, a może nie wszystkie weszły. Odłogował więc spory kawałek ziemi z takim trudem i mokołem skopany. Na dobę nasza czteroosobowa rodzina otrzymywała wówczas 1600 gramów chleba i dwa litry nieosolonej zupy z młodej czeremszy lub szczawiu. Sytuację żywnościową ratowała teraz Danka. Wraz ze swoimi rówieśnicami i rówieśnikami przynosiła codziennie z tajgi kilka litrów czarnych jagód, które pałaszowaliśmy z kawałkiem chleba. Z każdym dniem traciłem - podobnie jak pozostali członkowie rodziny, pieriesieleńcy-zesłańcy w ogóle, a także miejscowi ludzie - coraz bardziej siły. Powróciła, jak na zawołanie "kurza ślepotą", dokuczała niesamowicie, szczególnie po nocach czesotka-świerzb, który niczym zając przeskakiwał z jednej osoby na drugą, a ściślej z rąk na ręce. Dostawaliśmy do smarowania, jakąś szarą potwornie cuchnącą zgniłymi jajami maść i na dodatek 100 gramów szarego mydła. Mydła, którego nie widzieliśmy na oczy od paru miesięcy.

Głuszenkow-senior kłopoty aprowizacyjne tłumaczył podobnie, jak niegdyś Achańkow: "Wsio dla fronta, wsio dla pobiedy" oraz przede wszystkim kłopotami transportowymi. Mało tego powiedział - nie bez pewnego wahania - że kończy się również nieubłagane mąka do wypieku chleba. A więc może być jeszcze gorzej. Istotnie, w dwóch ostatnich latach naszego przymusowego pobytu na Syberii, po spły-

nięciu lodów: mąkę, śledzie, olej jadalny, kasze, makarony - wszystkie te produkty przywożono dużymi transportowymi łodziami, holowanymi przez kutry. Choc̄ podczas spławu kłoców użycie kutrów do przewozu żywności było niemożliwe.

Tatus̄ codziennie, po zapadnięciu zmroku wychodził z baraku, zawsze z przywieszoną przez ramię flintą. Szedł, jak mawiał, zobaczyć co dzieje się na naszym ogródku. Ale faktycznie wychodził po to, aby coś upolować, wszak prawie zawsze po powrocie z naszej "działki" starannie czyścił broń. Strzelał na przelotach do kaczek, ale ze względu na osłabienie wzroku były to strzały przeważnie niecelne. Raz czy też dwa razy ustrzelił kaczkę, ale jednak żadnej nie zdołał odnaleźć. Wracał więc z tych nieudanych "polowań" bardzo zrezygnowany, przygnębiony, roztrzęsiony. Kiedyś powiedział, że po prostu szkoda psuć prochu, że lepiej palnąć sobie w łeb.

Co miały znaczyć te słowa? Kapitulanc̄two, poddanie się, rezygnację, czy może rzeczywiście chęć i potrzebę rozstania się z tym codziennym, trudnym do zniesienia życiem. Z czasem te czarne myśli przerodzą się w chęć skuteczniejszego działania; natchną ojca do poszukiwania innych, bardziej racjonalnych rozwiązań.

W ciągu ostatnich dwóch lat kilkanaście osób poszło w tajgę, w tym matka z dwojgiem dzieci - nie wrócili nigdy. Na nic również nie zdały się każdorazowe - zarządzane najpierw przez Achańkova, a później przez Głuszenkova - poszukiwania. Czy może ludzie ci po prostu zabłądzili, czy może popełnili samobójstwo, czy też zostali rozszarpani przez niedźwiedzie, a może - w co osobiście bardzo wątpię - udało się im uciec i zamieszkać w jakimś bardziej ludzkim miejscu, w jakichś bardziej ludzkich warunkach? Ale gdzie i u kogo? Nikt i nigdy, zapewne, nie znajdzie na to odpowiedzi.

Większość ludzi, którzy dotąd pracowali przy zrzucaniu kłoców do wody skierowano na sianokosy, w tym również mamcią. Rozrzucała pokosy, grabiła wyschniętą trawę, układała ją w kupki.

Kiedy ludzie wreszcie uporali się ze zrzucaniem kłoców do Ony - rozpoczęto przygotowywać robotników do oczyszczania brzegów z zalegających na płyciznach kłoców. Była to tzw. zaczystka. Ale zanim ludzie przystąpili do tych robót, trzeba było jeszcze czekać kilka dni nim zaczystcziki z górnego biegu rzek nie dotrą do Tulenia. Wyniki tych prac są ściśle uzależnione nie od ludzi, a od poziomu wody w rzekach. Błogosławieństwem dla nich były więc deszcze, a tych na szczęście w roku 1942 nie brakowało. Licząca ponad 150 osób brygada dotarła do Tulenia. Górny bieg Ony z jej dopływami wreszcie był wolny od kłoców. Ruszyły kutry z łodziami transportowymi. Uzupełniono kończące się zapasy mąki. Przywieziono również do Tulenia kilka beczek oleju jadalnego, śledzie, parę gatunków kasz, machorkę, kiszone ubiegłoroczne zielone pomidory, a nawet mydło i sól. Dużo soli!.

Ludzie podzieleni byli na cztery podbrygady, oczyszczające z kłoców: prawy brzeg, lewy brzeg, wyspy oraz na tzw. podbrygadę socjalną. Ta ostatnia zajmowała się przygotowywaniem posiłków (posiłki przygotowywano na trzyczłonowej tratwie), zapewnieniem noclegów, rozrywki kulturalnej, pomocą medyczną. W skład brygady wchodził mężczyźni i kobiety narodowości niemieckiej, polskiej i rosyjskiej. Przeważali jednak Polacy i Rosjanie, ci ostatni pochodzenia niemieckiego.

Całością kierował Stiepan Iwanowicz (a może powinno być Stefan Janowicz?) Biełasz. Z nim, tzn. z Biełaszem nasza rodzina bardzo dobrze zapoznała się rok później, kiedy to mieszkaliśmy w Czegasze-



cie, lesopunkcie położonym około 50 kilometrów na północ od Tulenia. Mówił o sobie, że jest Rosjaninem polskiego pochodzenia, że podczas rewolucji 1905 roku został porzucony w koszyku wiklinowym przed domem jednego (nie pamiętam nazwiska) bogatego kupca moskiewskiego. W koszyku tym, ponoć, miała być kartka z informacją o danych osobowych niemowlęcia, wiadomość o tym, że matka dziecka jest Polką. Tak czy inaczej podczas rewolucji 1917 roku jego przybrani rodzice zostali rozstrzelani. A on sam w ciągu kilku lat stał się włóczęgą moskiewskich ulic i paru jeszcze innych miast rosyjskich. W 1920 roku został przyłapany na kradzieży w Połtawie i osadzony w Kolonii im. Gorkiego dla nieletnich przestępców. Trzy, a może cztery lata później skierowany został wraz z grupą makarenkowskich kolonistów do słynnej moskiewskiej szkoły kadetów. Po ukończeniu szkoły trafił do wojsk NKWD. Ukończył specjalne kursy dla oficerów i w 1934 roku po zamordowaniu Kirowa powierzono mu funkcję jednego z kilku zastępców komendanta NKWD w Leningradzie. W 1937 roku został aresztowany, twierdził, że za "pochodzenie polskie" i osadzony na dziesięć lat ciężkich przymusowych robót na Kołymie.

Biełasza zwolniono z tych robót pod koniec 1941 roku. Opowiadał rodzicom o wielu swoich i współwięźniów przeżyciach na Kołymie. Do dnia dzisiejszego nie wiem, czy te jego opowieści, które, nawiasem mówiąc, spodobały mi się bardzo, były zwykłym przekazaniem określonych informacji, czy też prymitywną prowokacją, a może swego rodzaju "receptą" na przeżycie. Po prostu nie wiem. Najbardziej utkwiły mi w pamięci relacje Biełasza o pożytecznym wykorzystaniu wszy, o chowaniu kart oraz o sposobie przekraczania norm. W tym ostatnim "temacie" miałem [ ] coś niecoś doświadczenia. My w Tuleniu i oni na Kołymie, i w wielu, wielu innych miejscach nie żyliśmy w

świecie ludzkim, cywilizowanym, dlatego - jak ktoś kiedyś powiedział - polityczna nienawiść jest jedyną nienawiścią, która w świecie cywilizowanym może być śmiertelna - dodam od siebie - ale nie w odniesieniu do naszych prześladowców. Otóż ktoś kiedyś na Kołymie - i myślę, że nie tylko na Kołymie - wymyślił dość skuteczny sposób na zminimalizowanie, a nawet na całkowite zniechęcenie nadziratielej do przeprowadzania przeszukiwań i rewizji. W tym celu łagiernicy zbierali, a ściślej wymiatali ze swojej odzieży wszy i umieszczali je w specjalnych pojemniczkach z siateczką. Pojemniczki te, na zmianę, przywiązywano sznurkiem do łydki lub uda. Podczas rewizji insektami tymi obsypywano przeszukujących. Szkoda - myślałem sobie - że nie wiedziałem o tym wcześniej. Byłoby czym ~~wypruć~~ posypywać - oj było czym - Achańkowa.

Władzy sowieckiej bardzo się nie podobała i była zwalczana wszelkimi sposobami - podobnie zresztą, jak tenis - gra w karty. Zawsze - mówił Biełasz - kiedy siadano do kart stawiano na czatach jednego z mieszkańców baraku, który miał ostrzegać grających. Ale gwoli ścisłości jeden miał ostrzegać, lecz równocześnie w każdym baraku było co najmniej kilku donosicieli, którzy utrzymywali stały kontakt z władzami obozu. Przeprowadzano dziesiątki szczegółowych rewizji, ale nigdy nie znaleziono ani jednej karty. Gdzie więc łagiernicy chowali karty, jak się ich pozbywali. To pytania, które każdorazowo zadawał kierujący przeszukaniem enkawudzista. Siedziałem - słuchałem z otwartymi ustami. Otóż karty, ciągnął Biełasz, ukrywał dobry kieszonkowiec, od razu przy drzwiach - w kieszeni kierującego rewizją enkawudzisty. Przy okazji bezlitośnie wykorzystywano hodowane wszy. A później, po zakończeniu rewizji znowu przy drzwiach złodziej wyciągał karty z szyneli przedstawiciela władzy. Naiwne, ale prawdopodobne.

Do 150 osobowej brygady zaczistki w Tuleniu dołączyło jeszcze 50 mężczyzn i kobiet, przeważnie pochodzenia niemieckiego. I tak od świtu, aż do zapadnięcia zmroku ludzie z drągami w rękach katowali kłocę do wody. Inni, brodząc często po pas w wodzie odpychali je bosakami na środek rzeki. Najbardziej spodobały mi się rytualne, bardzo zresztą skromne posiłki. Polegały one na tym, że przodowników pracy - doprawdy nie wiem, jak można było ich wyłonić w tego rodzaju robocie - sadzano nieco z boku, oddzielnie od pozostałych posilających się. Dostawali oni, a ściślej podawano im! posiłek w podwójnej ilości. Za przodownikami stawała dwuosobowa orkiestra, składająca się z bojanisty i bałajaszczika, którzy przygrywali "tylko przodownikom" różne skoczne melodie. Ceremoniał ten odbywał się podczas każdego posiłku. Wieczorem zaś po spożyciu kolacji, zwykle przy ognisku, ta dwuosobowa orkiestra grała już dla wszystkich. Grano przeważnie czastuszki. Tańczono i śpiewano - do przysłowiowego białego świtu. Nie wiem, nie potrafię sobie wytłumaczyć, jak ludzie ci po całodziennej, morderczej pracy, po skromnym, mało kalorycznym posiłku, w dodatku przemoczeni - znajdowali chęć, a przede wszystkim siłę na wyczerpujące pląsy i śpiewy! A może wynikały one stąd - jak to ktoś kiedyś ładnie napisał - że zdrowy naród jest tak nieświadomy swojej narodowości jak czerstwy człowiek swojego zdrowia. Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Wiem natomiast, że mieli przed sobą do przebycia zarośniętymi brzegami, rzeczными mieliznami i głębinami - kilkaset kilometrów, że podczas tej drogi musieli uwalniać uwięzione setki tysięcy kłoców, że musieli pracować aż do momentu kiedy lód skuje wodę. A może jednak człowiek twardszy i odporniejszy jest od kamienia!

Co drugi dzień w rejonie przebywania zaczistki lądował - jeżeli

pozwalają na to warunki - hydrosamolot, pilotowany przez młodzieńką, Marusią Buk, serdeczną koleżankę Kułakowej i Karpowej. Marusia przywoziła dla naczalstwa różne delikatesy, wódkę, jakieś papiery, uzupełniała lekarstwa - zabierała czasem ciężko chorych lub rannych.

Kułakowa zapoznała mamcię z Marusią, od której otrzymała dość dużo zamówień na robótki haftowane oraz na parę kołnierzyków szydełkowanych. Za prace te otrzymaliśmy kilka kilogramów mąki i soli. Marusia mieszkała wraz matką i swoją siostrą, również pilotką, w Abanie przy ulicy Sowieckiej 5. To dzięki Marusi dowiedzieliśmy się, że możemy wracać "na rodzinu". To Ona w drugiej połowie sierpnia 1944 roku zrzuciła z samolotu wypieki nad Czegaszetem adresowane do mamci. Z Marusią utrzymywałem kontakt listowy do połowy lat sześćdziesiątych. Miałem nawet się spotkać z nią w Moskwie, ale do tego spotkania nie doszło z niewiadomych mi powodów. Marusia wywarła na mnie dość duży wpływ, polegający na tym, że nie chciałem już zostać maszynistą kolejowym, lecz pilotem. Samolot zaczął mi się kojarzyć z wolnością i niezależnością. A żeby być wolnym i niezależnym trzeba było skończyć przynajmniej to co jest możliwe w warunkach syberyjskich - cztery klasy szkoły podstawowej czegaszetskiej akademii.

W drugiej dekadzie sierpnia wykopaliśmy ziemniaki. Zebraliśmy tego syberyjskiego specjału prawie dwa worki. Ziemniaki były bardzo drobne - i o ile sobie dobrze przypominam - żaden ziemniak nie przekraczał wielkością orzecha włoskiego. Niezależnie od ziemniaków wykopaliśmy trochę brukwi, pomidory ścięliśmy wraz z gałęziami i zabraliśmy do naszego pomieszczenia, wieszając je na sznurach, ażeby dojrzewały. Tydzień później tatuś wyciął kilkanaście główek małej, miękkiej kapusty. Poprawiły się nieco stołówkowe zupki.

W wolnych od pracy chwilach wyskakiwałem powędkować. Na żywca brały duże, niekiedy prawie kilogramowe okonie. Tatuś wziął u Głuszenkova komandirowkę do Czegaszetu. Dowiedział się bowiem od kogoś, że w Czegaszecie można otrzymać dość dobre mieszkanie i równorzędną pracę. Po tygodniu wrócił. Zapadła decyzja. Przenosimy się do Czegaszetu!

Tatuś wraz z panem Józefem Z. buduje tratwę, wspólnie załatwiają formalności związane z naszą przeprowadzką. Dwa, a może trzy dni później, wczesnym rankiem ładujemy nasz i Józefa Z. "dobytek" na tratwę. Jest tego niewiele. Nasz, średniej wielkości kufer obity blachą, pakunek pościeli zawiniętej w prześcieradło, sanki, dwa worki z ziemniakami, kapustą i brukwią, trzy wędki. Bagaże państwa Z. są jeszcze skromniejsze. Jest zimno, piekielnie zimno.

Późną nocą dopływamy do Czegaszetu. Cumujemy naprzeciw naszego domu, ostatniego domu w posiołku, zbudowanego na bardzo niskim w tym miejscu brzegu Ony. Wyładujemy się. Noc spędzamy wspólnie z czteroosobową rodziną Z., która następnego dnia przeprowadza się do małej izdebki w budynku administracyjnym lesopunktu. Już na pierwszy rzut oka, i państwo Z., i my mamy teraz królewskie warunki mieszkaniowe.

Dom, w którym zamieszkaliśmy miał dość szeroką werandę do składowania opału. Składał się z dwóch pomieszczeń. Jedno pomieszczenie, z osobnym wejściem, o powierzchni około 8 metrów kwadratowych przeznaczone było na pokój gościnny (w pierwotnym zamiśle na stajnię), drugie dwa razy większe z ruskim piecem i małą piwniczką - należało do nas. Naprzeciw domu, osiem-dziesięć metrów w głębi stał drugi, niski i bardzo stary domek z przybudówką, pełniącą funkcję obórki dla krowy. Po prawej stronie podwórka była dość

duża wiata ciesielsko-stolarska, po lewej stosunkowo wysoki budynek bez okien oparty na czterech rogach na ceglanej podmurówce, ambar-spichlerz. Niedys cała ta posiadłość - do momentu rozkułaczania - należała do Konstantina Konstantinowicza Cywilowa. Domek, w którym mieszkał Cywilow już od wielu lat nie nadawał się do zamieszkania. Dlatego też w połowie lat trzydziestych zbudował dla swojej rodziny nowy dom z ociosanymi wewnątrz ścianami, zbudował tak, jak budowano na Syberii budynki oficjalne: biura, szkoły, sklepy. Wkrótce po wybudowaniu nowego domu Cywilow został rozkułaczony bowiem nową chatę i ambar władza skonfiskowała. Miał i tak wiele szczęścia w nieszczęściu, gdyż nie wysłano go do łagru, jak wielu innych z Czegaszetu. Prawdopodobnie dlatego, że miał wówczas ponad siedemdziesiąt lat. Jak mówił o sobie - nigdy dotąd nie zhańbił się pracą przy wyrębie lasu. Mimo swych wówczas już ponad osiemdziesięciu lat ciągle był niedoścignionym mistrzem w polowaniu na łosie, niedźwiedzie, sobole, gronostaje, dzikie ptactwo wodne, głuszce, riabcziki. Wiosną zastawiał sznury korkowe na miętusy i syberyjskie łososie; w lecie zastawiał sieci, żaki, kosze wiklinowe, łowił na wędkę w licznych dopływach Ony lipienie na bąka. Jesienią łuczył (łowił ryby w nocy przy pomocy ościeni, przy świetle tzw. "kozy" - czyli swego rodzaju specjalnego paleniska, na którym palono niezwykle smoliste drewno sosnowe, zwane tu smoljom. Drewno to pozyskiwano niekiedy w dość odległych miejscach w tajdze, na pogorzeliiskach. Takiego samego drewna używano do oświetlenia mieszkań. Wczesną zimą i w ogóle w zimie polował na zwierzęta futerkowe, wędkował spod lodu i zastawiał tyczki zaopatrzone w linkę długości około 60 centymetrów i haczyk uzbrojony żywcem; w wolnych chwilach zaś robił wiosła, budował łodzie z desek, wykonywał dżubanki.

Konstantin Konstantinowicz wciąż był niezwykle sprawny, silny, rześki, odporny na trudy, ciągle jeszcze znakomicie strzelał. Jemu, Konstantinowi Konstantinowiczowi zawdzięcza bardzo wiele cała nasza rodzina. To On nauczył mnie "czytać" przyrodę Syberii, to z Nim pływałem i chodziłem łowić ryby, to On pierwszy zabierał mnie ze sobą na polowania w tajgę, na przeloty kaczek i gęsi, na tokowiska głuszców. To Cywilow nauczył mnie zastawiać bardzo zmyślne duszące i wieszające pułapki na zające i zwierzynę futerkową. To z Konstantinem Konstantinowiczem kopaliśmy w lecie - w miejscach wodopojów - jamy na łosie, to z Nim zostawiałem w odległych miejscach od posiołka broń nabitą kulami na grubego zwierza, Jemu przede wszystkim - po zmobilizowaniu tatusia - zawdzięczamy przetrwanie "na nieludzkiej ziemi", a pośrednio Jemu zawdzięcza rodzina Z. - przeżycie.

Konstantin Konstantinowicz Cywilow nauczył mnie wiosłowania wiosłami parzystymi i, wiosłem dwupiórowym, nauczył sterowania łodzią na dużej fali, pływania na pych, holowania łodzi na dużym prądzie na tzw. długę-pałak; nauczyłem się również od Niego pozyskiwania dziegciu z bieriesty-kory brzozonej. Cywilow nauczył mnie wykonywania naczyń z tejże kory brzozonej.

Dzisiaj, w 1993 roku słyszę z ust określonych polityków, że ludziom trzeba dać wędki, a oni już sami poradzą sobie w życiu. Rozumiem sens tej przenośni. Rozumiem tylko po części, bowiem w tym nadużywanym powiedzeniu jest niewiele prawdy. W mojej ocenie może to być co najwyżej jeden procent prawdy. Ta wędka, polskiej biedy i niedostatku sporej części społeczeństwa nie rozwiąże. Do wędki, nawet tej najnowocześniejszej potrzebna jest przede wszystkim wieloletnia, niestety wciąż coraz droższa - rzetelna nauka i ogromne doświadczenie życiowe.

Lesopunkt Czegaszet liczył nie więcej niż 30 drewnianych domków, które w zasadzie niczym nie różniły się od tych w Tuleniu. I tu była bania, kantora, żłobek z przedszkolem, był sklepik, były dość duże dwie koniusznie-stajnie dla koni, znajdowały się piwnica i piekarnia. Za wsią, na wysokim stromym brzegu, był ogromny plac do składowania kłoców. Niżej i wyżej posiołka były duże łąkowe wyspy, a na przeciwległym brzegu rozciągały się rozległe łąki. Za łąkami rozciągała się tajga - ciągnęło się pasmo górskie. W odległości ponad kilometra od naszego domu z biegiem rzeki wpada do Ony bardzo wartka trzydziestometrowej szerokości rzeczka, w której można wyławiać nieprawdopodobną ilość lipieni oraz jeśli dopisało szczęście - ogromne łososie syberyjskie. Niżej rzeczki, w odległości dwóch kilometrów, na ostrym zakolu Ony położona była osada rybacko-myśliwska, Szywiera. W tym miejscu rzeka zbliża się do gór, tworząc swego rodzaju kanion o wysokich skalistych brzegach. Koryto w wielu miejscach przegradzają potężne głazy, rozbijając spieniony nurt. Tu chcąc płynąć łodzią, taką zwykłą rybacką łodzią, człowiek miał niewiele szans. Szans na przyżycie.

Najbliższa nasza sąsiadka, nie licząc oczywiście Cywilowych, była siedemdziesięcioletnia garbuska, Aniuta. Aniuta w okresie letnim całymi dniami przesiadywała w jakiejś łodzi i łowiła swoje ulubione jazgarze-olbrzymy. Był to jedyny gatunek ryb, który akceptowała w swoim menu.

Tatus na drugi dzień po przyjeździe do Czegaszetu objął swoją oficjalną funkcję prijomszczika lesa, obliczał w metrach sześciennych kłocę ścięte na lesopowałce i ciągle pisał, obliczał, "sprawozdawał". Niezależnie od tego odpowiedzialny był za prawidłową pracę łaźni i karmę dla koni, bezpieczeństwo przeciwpożarowe, nieco później za zrzucanie śniegu z dachów.



Mamcia wraz z Magdaleną Z. zaczęły pracować w żłobku i przedszkolu. Pan Józef Z. został stróżem, pilnował położonych o 6 kilometrów od Czegaszetu baraków. Moja siostra na drugi dzień pobiegła do szkoły. Natomiast mnie dzięki protekcji tatusia udało się rozpocząć pracę w łaźni w charakterze łanszczika. W łaźni pracowałem, podobnie jak w Tuleniu, trzy razy w tygodniu (piątek-niedziela) w godzinach popołudniowych. Nic więc nie stało na przeszkodzie, ażeby również rozpocząć, któryś już kolejny raz - naukę w czwartej klasie. Tym razem postanowiłem za wszelką cenę skończyć szkołę. Uczyła nas młoda i dość sympatyczna nauczycielka Marusia Pietrowna Sokołowa. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i zaskoczeniu nie miałem żadnych kłopotów z nauką. Otrzymałem ze wszystkich przedmiotów oceny dobre i bardzo dobre, chociaż tak naprawdę nie miałem w ogóle czasu - w piątek, sobotę i niedzielę praca w łaźni, w pozostałe dni tygodnia, w zimie, zarabiałem na chleb zrzucaniem śniegu z dachów. Tak czy inaczej, 25 maja 1943 roku otrzymałem świadectwo ukończenia czwartej klasy Czegaszetskiej szkoły, Tasiejewskiego rejonu, Krasnojarskiego Kraju, oraz dyplom pochwalny numer 1 za bardzo dobre wyniki w nauce i wzorowe zachowanie. Powtórzę - dyplom pochwalny zarejestrowany pod numerem jeden w kilkudziesięcioletniej historii szkoły - otrzymał Polak. W chwili odbierania patentu na mądrość miałem 12 lat, 9 miesięcy i 10 dni.

Miejscowi nie bez pewnej irytacji, zobaczywszy mnie mówili:

- Polak, a połączył pochwalnuju gramotu s portrietami Lenina i Stalina. A ja spuszczałem głowę. Wstydzilem się tego zaszczytu. Wspomnę jeszcze o kuriozalnej wycieczce, którą urządziła nam, parę dni przed zakończeniem roku szkolnego, Marusia Pietrowna do Szywiery, gdzie cała kindersztuba z niezwyklej zainteresowaniem oglą-

dała i podziwiała przywieziony z frontu przez inwalidę wojennego - rower!

W Wigilię Bożego Narodzenia przyszli do nas niespodziewanie państwo Z. z dziećmi... i bochenkiem razowca pod pachą. Tatuś z kromką chleba na talerzyku łamał się nim najpierw z nami, a później z naszymi gośćmi, życząc wszystkim dużo zdrowia, rychłego powrotu do kraju. Póki co najeść się - choćby raz w życiu - do syta chleba i ziemniaków. Podczas tej odświętnej kolacji jedliśmy chleb i resztki - nie wiem jakim cudem udało się mamci przechować - resztki ziemniaków w mundurkach. Był też kisiel - piliśmy czaj z brusznicami.

Pod koniec grudnia zawchoz powołany został do wojska. Jego obowiązki przejął tatuś. Zyskał na tym wprawdzie trzydzieści rubli miesięcznie, ale miał za to dwa razy więcej obowiązków. Prawie codziennie, nierzadko do późna w nocy musieliśmy ciąć i rąbać drewno na opał. W nocy, jeżeli nie paliło się w piecu, woda w wiadrze zamarzała. Szczególnie Danką i ja byliśmy kiepsko ubrani. Znowu wszyscy żyliśmy jedną myślą: byle do wiosny.

W pierwszych dniach marca 1943 roku Wanda Wasilewska utworzyła Związek Patriotów Polskich (ZPP). Parę tygodni później ukazała się w dzienniku "Krasnojarskij Rabocziej" krótka notatka agencji TASS następującej treści: "Przychylając się do prośby Zarządu Głównego ZPP w ZSRR, rząd radziecki wyraził zgodę na utworzenie na terytorium Związku Radzieckiego polskiej dywizji piechoty. Formowanie dywizji już się rozpoczęło".

Do Czegażetu, tak jak wszędzie indziej przychodziło coraz więcej pochoronek-zawiadomień o śmierci mężów, synów. Wracali też frontowi inwalidzi. Dla nich wojna już się skończyła. Córka Aniuty

- naszej sąsiadki - otrzymała zawiadomienie z rejonu Tasiejewo, mówiące o tym, że ma odebrać swojego męża. Nie wróciła już do Szegazetu, zmarła na atak serca, zobaczywszy swojego ukochanego bez rąk i nóg. Pochowano ją w Tasiejewie, a mąż "czurka"-klocek został umieszczony w jednym z domów inwalidów w Kańsku.

W tym samym mniej więcej czasie parę kobiet, które nocowały w pośredniej izbuszce między posiołkami dopadły szesnastoletniego woźnicę i "zakochały" go na śmierć. O podobnych do tego wypadku słyszało się dość często. Może dlatego, że mężczyzn widziało się tu niewiele. Toteż przed zakończeniem roku szkolnego rosyjskie dzieciaki demonstrowały nam na ławce szkolnej co robiła w lesie moja nauczycielka Sokołowa ze swoimi uczniami, Nahimem i Chajdarem.

Wszystkie, no prawie wszystkie syberyjskie kobiety rozmawiały o seksie i jedzeniu. Tak zupełnie otwarcie, bez żadnego skrupowania, w każdym miejscu i o każdej porze. Liczyły się każde spodnie, nawet chłopięce. W odniesieniu do tych, które nie brały dostatecznie aktywnego udziału w tych rozmowach - przechwałkach, dotyczących rzeczywistych, czy też urojonych sukcesów łóżkowych, najczęściej jednak "klocowych" - te aktywne kobiety śmiały się do rozpuku. Kończyły temat maksymą: - Choczet, choczet, no nuždy boitsa. Te kobiety widziałem wielokrotnie w łaźni tak jak je Bóg stworzył. Musiałem w łaźni wachać ich przepocone ciała, cuchnącą zawszoną odzież. U Sybiraków i Sybiraczek - mimo ubóstwa duchowego, ewidentnej nędzy materialnej - nie sposób było nie dostrzec ich dobroci, nie zauważyć ich uczciwości, rzetelności, sumienności, opiekuńczości. Nie odnotować troski o innego człowieka. Ludzie ci dzielili się, jakże często przysłowiową ostatnią kromką chleba. Podczas całego czteroletniego pobytu na Syberii nie widziałem ani jednego zamkniętego na kłódkę, czy też na inny zamek drzwiowy domu.

Wszystko było otwarte, prawie wszyscy byli otwarci. Pisząc te słowa mam na myśli przede wszystkim mieszkańców posiołków, lesopunktów i kołchozów, gdyż w miastach syberyjskich i wsiach ukraińskich panowało prawo dżungli, prawo silniejszego - po prostu - prawo pięści.

W połowie kwietnia tatuś otrzymał powiestkę z rajwojenkomatu Tasiejewo. Dziwną powiestkę zważywszy, że przed wojną polska komisja lekarska uznała tatusia za niezdolnego do służby liniowej. Mamcia uznała wtedy, że to musi być po prostu jakieś nieporozumienie z tą kartą mobilizacyjną. Stwierdziła, że sprawę należy wyjaśnić. Na wszelki jednak wypadek pożegnaliśmy się z tatusiem. Płakaliśmy. Kiedy tatuś powiedział, że mianuje mnie opiekunem i głową rodziny wpadłem w jakiś szok. Nikt nie mógł mnie w żaden sposób uspokoić. Krzyczałem, że nie pozwolę, ażeby zabierano nam tatusia, że zemszczę się na tych, którzy czynią naszej rodzinie taką krzywdę. Trwało to długo, bardzo długo zanim się jako tako uspokoiłem. Na odjezdne dałem tatusiowi małą karteczkę zapisaną przeze mnie koślawymi rosyjskimi literami. Za te tajemnicze litery zapłaciłem trzy ruble. Nie wiem do dzisiaj co te litery znaczą. Ale miały one strzec każdego człowieka przed wszelkimi wojennymi nieszczęściami pod warunkiem wszakże, że nie wolno się z nimi rozstawać.

Kiedy piszę te słowa jest 30 września 1993 roku. Przede mną leży przedarty na pół - mający ponad 50 lat - mały, pomięty, prostokątny skrawek papieru zapisany fioletowym atramentem literami. Podaję je w transkrypcji polskiej:

W.Z.D.U.S.

U.D.C.O.

Być może ten skrawek papieru sprawił, że tatuś dwukrotnie wracał jeszcze do Czegaszetu, że nie walczył w tej bezmyślnej - moim

zdaniem - propagandowej bitwie pod Lenino w 1943 roku, że szczęśliwie odbył przeszkolenie wojskowe w Sumach, że walczył o Warszawę, że zdobywał Wał Pomorski i Berlin, że doszedł bez żadnego szwanku, bez najmniejszego draśnięcia, cały czas na pierwszej linii - do Łaby. Ze wrócił szczęśliwie z II Armiją Wojska Polskiego do kraju. Czy to nie jest cud, czy to jest naturalne!?

Lekarska kobieca komisja wojskowa uznała tatusia za zdolnego do liniowej służby wojskowej. Ale ze względu na brak kwalifikowanych kadr rejonowe władze wojskowe chwilowo odroczyły mu służbę wojskową na okres bliżej nieokreślony. Od przewodniczącego komisji tatuś usłyszał:

- Pojeżdżajcie domoj, rabotajcie. Pridiot wriemia połączitie powiestku.

Tak więc niespodziewanie i ku naszej nieopisanej radości po dwunastu dniach tatuś wrócił do domu. W drodze powrotnej do Czegaszetu - wspominał - woźnica zgubił "krasnuju kniżeczku". Ale o zgubie zorientował się dopiero kilka kilometrów dalej. Nie miał więc innego wyjścia, jak wrócić i odszukać legitymację partyjną. Po mniej więcej dwóch godzinach woźnica wrócił. Cieszył się jak małe dziecko, był najszczęśliwszym człowiekiem, jakiego tatuś widział podczas tego ponad trzyletniego pobytu na Syberii. Woźnica opowiedział w wielkiej tajemnicy, jakie konsekwencje mogły go spotkać w wypadku utraty dokumentu. Ale treści tych konsekwencji dokładnie nie pamiętam. Ogólnie wspomnę jedynie, że była to zbrodnia wobec partii.

Zmniejszono znowu przydziały chleba do - 200 i - 400 gramów. Całe szczęście, że mamcia jako tako żywiła się w przedszkolu. Konstantin Konstantinowicz sprzedał mi na raty - za trzysta rubli -

swoją zapasową strzelbę 20 mm "krymkę". Była to dziwna broń, bardzo "wystrzelana". Lufa przy wylocie nie przekraczała 1,5 mm. Zamek "drzwiowy", może lepiej określić go klapowy, nieszczelny. Po oddaniu strzału całą twarz miałem upstrzoną czarnymi kropkami gazów prochowych. Ale czy to było dla mnie ważne! Najważniejsze było to, że broń<sup>pochoǳąca</sup> z czasów Wojny Krymskiej wciąż jeszcze strzelała dość celnie, była bardzo poręczna i wyjątkowo lekka. (Żadnego pozwolenia na broń myśliwską nikt od nikogo nie wymagał).

W połowie kwietnia, po utworzeniu się lodoszreni, Konstantin Konstantinowicz zabrał mnie ze sobą na polowanie na riabcziki. On kroczył powoli, majestatycznie na swoich myśliwskich nartach. Ja zanim dreptałem w swoich obszernych łapciach, ojcowskich spodniach z podwiniętymi aż do krocza nogawkami, w matczynej fufajce sięgającej prawie do śniegu. Kolba mojej "krymki" przy kołyszącym nieco kroku co raz to dotykała śniegu. Odeszliśmy od Czegaszetu jakieś trzy-cztery kilometry. Kto zresztą na Syberii liczy do przebycia czy też już przebyte kilometry. Tam po prostu mówiło się do takiej czy innej miejscowości, bądź do takiego czy innego miejsca jest, powiedzmy, 40 kilometrów. Ale zawsze do tych kilometrów dodaje się określenie "s lisznim". Ten "hak" czy też "ponad" oznaczał na ogół podwojenie, a niekiedy nawet potrojenie odległości. A tak naprawdę podawane odległości i , te które dotąd podawałem - nigdy nie były, czy też nie są - odległościami rzeczywistymi, lecz szacunkowymi.

Doszliśmy więc do dużego lasu brzożowego przeciętego dość głębokim wąwozem. Z pod nóg, a ściślej ze swoich śnieżnych dołków zrywały się raz po raz jarzabki. Przeleciawszy kilkadziesiąt metrów sadowiły się na gałęziach brzoż. Konstantin Konstantinowicz strzelał do ptaków w locie. Upolowane ptaki przynosiła do nóg suka-łajka.

I ja oddałem kilkanaście strzałów, ale niestety wszystkie były niecelne. A te siedzące na gałęziach riabcziki w żaden sposób nie dały się podejść na odległość strzału. Wróciłem do domu podenerwowany i piekielnie zmęczony z dwoma riabczikami podarowanymi przez Cywiliowa. Do tego lasku brzoźowego jeszcze wielokrotnie chodziłem na polowanie ze swoimi syberyjskimi przyjaciółmi Saszą i Wołodią Koniusznikowymi.

W połowie maja ruszyła rzeka, wypychając, aż pod sam nasz dom potężne kry. Były takie momenty, że zdawało się, iż nasza chata zostanie porwana przez spienione wody rzeki. Przy końcu maja skopaliśmy spory kawałek ziemi pod ogródek. Już w pierwszych dniach lipca do Czegaszetu dotarła zaczistka. W gościnnym pokoju w ciągu paru dni nocował Biełasz - specjalista od właściwego wykorzystania wszy, wykonywania norm oraz chowania kart w kieszeniach enkawudzistów. Dość regularnie przylatywała z Abanu, Marusia. Robiły z mamcią dobre dla obu stron interesy robótkowo-aprowizacyjne. Danką z koleżankami i Marysią Z. chodziły w tajgę zbierać jagody. W dalszym ciągu pracowałem w łaźni zaś w pozostałych dniach tygodnia po południu bardzo skutecznie wędkowałem, zastawiałem sznury i kosze - tuż naprzeciw domu - podbierałem ryby z zastawianych sieci, polowałem - najczęściej z Konstantinem Konstantinowiczem - na ptactwo wodne. Dwa, a niekiedy trzy razy w tygodniu mieliśmy świeże mięso, a wyławianych ryb nie byliśmy w stanie skonsumować. Toteż prawie codziennie przychodziła pani Z., która zabierała część mojego połowu. Małe rybki - przeważnie kiełbiki - mamcia suszyła w ruskim piecu. Tak zakonserwowane rybki zjadaliśmy przeważnie poza domem. A niekiedy po przekręceniu ich przez młynek własnej roboty mamcia piekła "rybny chleb".

W połowie lipca Konstantin Konstantinowicz zaproponował mi dwudniowy wyjazd na ryby i polowanie na kaczki. Wypłynęliśmy po południu. Pierwszą noc mieliśmy spędzić w odległych o 6 kilometrów od Czegaszetu barakach. W tym czasie baraków pilnował pan Józef Z. Po przepłynięciu na miejsce, objuczeni wędkami, torbami, strzelbami, pasami z nabojami, kociołkiem do gotowania strawy oraz żywnością mieliśmy zamiar spędzić noc w jednym z baraków. Na brzegu przywitał nas Z. Podałem mu nieduże zawiniątko przekazane przez panią Magdalenę. Z. zaprosił nas na nocleg do swojego pokoiku, bardzo podobnego do tego w jakim mieszkaliśmy wraz z Izbińskimi w Tuleniu. Konstantin Konstantinowicz nawet ucieszył się z tych zaprosin, gdyż pan Józef coś akurat pitrasił dla siebie na kolację. Nie trzeba więc będzie starać się o drewno, palić w piecu. Przyjechaliśmy właściwie na gotowe. A i dwie wolne prycze zachęcały do przyjęcia gościny.

Od razu po wejściu do pomieszczenia, Konstantin Konstantinowicz powiedział:

- A poł nie znaju poczemu, wy nie okonczili myt'.

Rzeczywiście, mniej więcej połowa podłogi była dość starannie, do koloru desek wyszorowana, pozostała podobna była do świętej ziemi. Później Cywilow kazał mi oskrobać ziemniaki, sam zaś wygrzebał w swojej torbie spory kawałek mięsa suszonego. Z. w tym czasie pieścił i oglądał ze wszystkich stron dubeltówkę Cywilowa. Była bardzo podobna do tej, jaką miał tatuś w Bertnikach. Zjedliśmy wspólnie, we trójkę, zupę mięsną. Pan Józef był nienasycony. I zachowywał się jakoś bardzo dziwnie i nienaturalnie. Położyłem się. A oni jeszcze długo w noc rozmawiali. O świcie usłyszałem pojedyncze głosy, odczułem lekkie tarposzenie za ramię.

- Wstawaj, nam pora - usłyszałem.



Zerwałem się błyskawicznie z posłania. Byłem gotowy płynąć, wędkować, strzelać i co tam jeszcze oczekiwało nas tego dnia.

- Nie tak bystro, spierwa popjom czajku.

Zamiast pić czajok - pomyślałem - czy nie lepiej wypłynąć jak najszybciej.

Fan Józef wciąż jeszcze leżał, poprawiał dość nerwowo posłanie. Konstantin Konstantinowicz krzątał się koło pieca. Przygotowywał drewno do palenia. Otworzył drzwiczki i rozpoczął rozgarniać popiół. W pewnym momencie wstrzymał ruch ręki. Położył haczyk na podłodze, włożył rękę do pieca i po chwili wyciągnął parę naboí. Zaczął bardzo nerwowo grzebać w popiele. Józef Z. półzamkniętymi oczami obserwował każdy ruch Cywilowa. Obserwował również i mnie. Cywilow wyciągnął z pieca jeszcze parę naboí. Siegnął po swój pas z nabojami. Siarczyście zaklął. Niewiele brakowało - pomyślałem - mielibyśmy fajny czaj. W moim i Cywilowa pasie brakowało naboí.

Zwracając się do Z., Cywilow zapytał:

- Znajetie li szto wy mogli nadiełat'?

Z. milczał, jeszcze bardziej - jak mi się zdawało zwinął się w kłębek. Cywilow odszedł od pryczy i zaczął przeszukiwać swoje rzeczy. Brakowało ziemniaków, mięsa. Gdzieś zapodział się mój chleb. Wciąż jeszcze nie mogłem zrozumieć o co chodzi! Co się stało? Przecież to nie jest możliwe!... Cywilow kazał wstać Józefowi Z. Na posłaniu zobaczyłem parę ziemniaków i zgnieciony kawałek chleba. Zostaliśmy okradzeni. A może mieliśmy być... W pomieszczeniu z każdą minutą atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Cywilow sięgnął po broń, ja po swoją. Zaczęliśmy ponownie, prawie równocześnie przeszukiwać swoje manele. Brakowało dwóch pięćdziesięciometrowych sznurów, pudełka z haczykami i jeszcze paru drobiazgów. Na zadawane

pytania Z., milczał. Zaczęliśmy z Cywilowem przeszukiwać pomieszczenie, a później barak. W jednym barakowym piecu znaleźliśmy jakieś zakrwawione robocze ubranie, w drugim zniszczone sznurowane trzewiki. Żywotników tak i nie znaleźliśmy. Józef Z. był zdziwiony i zaskoczony naszymi znaleziskami. Spakowaliśmy swoje rzeczy. Cywilow postanowił wracać do domu. Schodząc do łodzi ze stromego brzegu Cywilow zwrócił moją uwagę na ścieżkę. Widoczny był na niej wyraźny dość szeroki ślad, jakby ktoś ciągnął do wody - a może z wody - jakiś, zapewny, ciężki przedmiot. Józef Z. patrzył, jak schodzimy z brzegu, jak ładujemy swoje rzeczy do łodzi, jak odbijamy od brzegu. Unoszona prądem dłubanka lekko kołysała się na porannej fali. Cywilow milczał, spoglądając podejrzliwie spode łba na mnie. Krzesił, któryś z kolei raz krzemień, ale huba wciąż nie zapalała się. Pukał nerwowo o burtę łódki swoją fajkę, jakby to coś mogło pomóc. Milczał. Był wściekły. Po chwili znowu zabrał się za krzesanie. Nareszcie, najpierw mała iskierka, a później poczułem charakterystyczny swadek palącej się huby. Grzebał dość długo w kieszeniach. Wyciągnął kapciuch z machorką i w milczeniu podał mi go. Skręciłem "kozią nóżkę". Zapaliłem. Po dłuższej chwili zastanowienia się - powiedziałem, że trzewiki znalezione w piecu należały prawdopodobnie do tego mężczyzny, który przed dwoma dniami nocował w pokoju gościnnym. O tym mężczyźnie wiedziałem tylko tyle, że został on zwolniony - ze względu na stan zdrowia - przed paroma dniami z brygady oczyszczającej brzegi z kłoców i, że pochodził z Leningradu. Zresztą wszystkie dane o tym człowieku są zapisane w zeszycie propiski, zameldowania - zakończyłem z dumą o swoim odkryciu.

- Daaaa - przeciągle powiedział Konstantin Konstantinowicz.

- Nado obo wsiom rassakat' twojemu otcu.

Wieczorem opowiedzieliśmy ojcu o swoich podejrzeniach, o naszej przygodzie z panem Z.

Na drugi dzień rankiem tatuś posłał jakiegoś chłopca konno, ażeby pan Z. zjawił się w Czegaszecie. Tatuś rozmawiał z panem Józefem Z. bardzo długo. Ale z rozmowy tej absolutnie nic nie wynikało. W barakach nikt ostatnio nie nocował. Rzeczywiście, zakrwawioną odzież widział wczoraj rano po raz pierwszy na oczy. Ale skąd tam się wzięła i do kogo należała nie potrafił bliżej określić. Na pytanie co stało się ze sznurami udzielił odpowiedzi wymijającej. Że jest głodny, że źle się czuje, że w ogóle ma wszystkiego dość, że chyba...

Po tej rozmowie Józef Z. wrócił do swej stróżowskiej pracy. Wszystko ucięższyło się.

Po tygodniu wracające łodzią dziewczyny z jagód ujrzały na mieliźnie pobliskiej wyspy nagie ciało topielca. Topielca jeszcze tego samego dnia przyholowano do Czegaszetu i uwiązano naprzeciw naszego domu. Na głowie zwłok widoczny był bardzo wyraźny wklęsły ślad od uderzenia jakimś twardym przedmiotem. Zebrała się rada lesopunktu, która postanowiła nie chować zwłok, lecz zawiadomić władze sielsowietu w Płachino. Drobiazg, zawiadomić położony o około 100 kilometrów w górę rzeki sielsowiet. A Marusia Buk, jak na złość od kilkunastu dni nie pokazywała się nad Czegaszetem. Tatuś wysłał konno do Płachina 15-letniego Wołodię Koniusznikowa, z którym dość często wypływałem na ryby, chodziłem polować. Po brzegu koło zwłok kręciły się, pewnie, wszystkie wygłodniałe czegaszetskie psy. Topielca przykryto gałęziami... Wciąż jeszcze w godzinach południowych było bardzo gorąco.

Na trzeci dzień od wyjazdu Wołodi wodował samolot. Przywiózł jednego milicjanta mundurowego, który polecił wezwać Józefa Z. Po dwóch godzinach wodował ponownie samolot. Tym razem z prokuratorem. Po przesłuchaniu pana Józefa Z., rozmawiano z Cywilowem i ze mną. Józefowi Z. zlecono stróżowanie przy zwłokach. Następnego dnia odbył się pogrzeb. Ojcu polecono wydelegowanie dwóch ludzi z bronią, celem doprowadzenia Z. do Abanu. Po dwóch, a może po trzech dniach chłopcy wrócili oświadczając, że Z. zbiegł. Nie bardzo było wiadomo, co dalej robić. Prokurator i milicjant pojedynczo odlecieli do swoich miejsc pracy.

Tydzień później wpadł do naszego domu Z. Sterroryzował mamcią, zabrał naboje i broń tatusia. Widywano Z. parokrotnie kręcącego się w pobliżu lesopunktu. Ktoś nawet przyszedł z wiadomością, że Józef Z. strzelał do niego. Nie wiem, czy była to prawda, czy też po prostu ludzka fantazja. W każdym razie, ani żona Z., ani córka Marysia nie przychodziły już po ryby. Natomiast w pracy pani Magdalena zachowywała się wobec mamci "normalnie". W drugiej połowie października - prawdopodobnie ze względu na dość siarczyste mrozy - Z. zgłosił się do prokuratury w Abanie. Przyznał się, że zabił tego leningradzkiego Niemca na tle sporu politycznego, jaki między nimi się wywiązał. Nie wiem czy tak było istotnie. Myślę jednak, że morderstwo zostało dokonane na tle rabunkowym, a ściślej z powodu głodu. Biełasz opowiadał później, że zwalniani z zaczistki ludzie otrzymywali standardowe racje żywnościowe na drogę: 3 kilogramy chleba, po kilogramie kaszy lub makaronu, ćwiartkę oleju jadalnego, dwa opakowania machorki!, zapałki!, Czy tyle tylko warte było życie ludzkie? Myślę, że o wiele mniej. Myślę również, że głodu nie sposób opisać. Nie sposób także przewidzieć reakcji

ludzkich, które On-Głód wywołuje. Nie wiem co stało się z żywotnikami Cywilowa i ze strzelbą tatusia. Józefa Z. skazano na dziesięć lat więzienia. Prawdopodobnie nie przeżył.

Nadeszła pora gromadzenia na okres jesienny i wczesnozimowy żywczyków. Po trzech dniach ulewnego deszczu wypogodziło się. Decydujemy się. O świcie następnego dnia wypływamy.

Nad Oną unosiła się mgła. Rozlegały się pokrzykiwania rybaków - a ściślej rybaczek - szczekanie psów, plusk wiosł pierwszych odpływających łodzi. Do wody wjechał beczkowóz, parsknęły konie.

Kończyliśmy układać swoje rzeczy: trzy dwumetrowej długości wędkę z czarnymi "żyłkami" uplecionymi z końskiego włosia, pudełko z robakami, dwa wiadra, olbrzymi sadzyk, w którym "wygodnie" mieściło się parę tysięcy kiełbi - umieściliśmy pośrodku małej, że aż niebezpiecznej łodzi. W dziobie położyłem "krymkę", pas z nabojami, w woreczku kawałek chleba i suszone ryby, siatki ochronne na twarze, ćwiartkę dziegciu, siekierę, pałak i 50-metrową linę holowniczą. Usiadłem przy sterze, Wołodia - najstarszy z nas - ujął wiosła. Sasza rozłożył fufajkę na sadzyku, położył się. Trzymaliśmy się brzegu, przecinając, gdy na to pozwalał prąd wody - zakola. Co parę minut zmienialiśmy się przy wiosłach. Minęliśmy "naszą" posiołkową wyspę. Pokonaliśmy pierwszy, liczący około pięciu kilometrów odcinek rzeki. Później z Wołodią - w zaprzęgu liny holowniczej "odpoczywaliśmy". Na fale rozchodzące się od łodzi kładły się pierwsze promienie słońca, raziły oczy, zataczały kręgi, mieszały się z wodą, wesoło uderzały o brzeg i obmywały kamienie. Tu na kamieniach na moment nieruchomiały, aby ze zwojoną siłą błysnąć, zmusić każdą żyjącą istotę do przymrużenia oczu, odwrócenia się.

Na płaskim kamienistym brzegu wyspy, spłoszone przez nas,

zakończyły swój poranny żer gęsi. Ogrzana i ośmielona promieniami słońca muszka zaczęła atakować oczy, wciskać się do ust i nosa, wszędzie... Zwinęliśmy linę i popłynęliśmy do wyspy. Długo nie mogliśmy odszukać dobrze nam znanych z wielu wypraw wędkarskich - stanowisk kielbi. Zwykle kotwiczyliśmy łódź w miejscach, gdzie głębokość wody nie przekraczała półtora metra. Wówczas było na co patrzeć! Nad dnem kotłowała się, mieszała, połyskując białymi brzuskami rybia masa. Tu na prądzie żerowały kielbie. Na haczyk zakładaliśmy kawałeczek robaka. I zaczynała się "zabawa". W zasadzie nasza czynność ograniczała się do lekkiego podcinania i zdejmowania zahaczonej rybki. Po czterech, pięciu godzinach takiego "wędkowania" napełniało się kielbiami duże, dwunastolitrowe wiadro. Dzisiaj jednak tą metodą opuszczania i podcinania - będą łowić tylko bracia Sasza i Wołodia Koniusznikowie. Ja natomiast nie potrzebowałem kielbiowego mięsa, lecz chciałem wyłowić dużo, jak najwięcej nieokaleczonych żywczyków. Od dwóch lat "magazynowałem" kielbie w swoim przepadziwym sadzu - zwykle około dwóch tysięcy sztuk. Na te żywczyki od połowy sierpnia łowiłem na żywotniki dorodne drapieżne ryby. A kiedy Ona została skuta lodem na "tyczki". Haczyków miałem dużo, ale były one przeważnie złej jakości - prehartowane - łamały się przy dużych sztukach. Ale i to<sup>co</sup> wyciągałem każdego ranka i wieczora wystarczało dla dwóch polskich rodzin. Zdarzało się, że nadmiar ryb mamcia soliła, bądź chowała w "śnieżnej lodówce", niekiedy suszyła. Kiedy lód przekraczał 50 centymetrów grubości, nie mogłem sobie z nim poradzić. Wówczas pospiesznie wyrąbywałem swoje "tyczki" zaś pozostałe przy życiu kielbiki wędrowały do ruskiego pieca do suszenia, a sadz chowałem pod pryczę.

Sasza opuścił kamień. Sadzyk uwiązałem przy burcie. Zaczęło

nosić łodzią. Sasza i Wołodia zar<sup>z</sup>ucili swoje wędki. Po chwili w obu wiadrach bębniły pierwsze kiełbie. I tak co chwila. Dopiero po paru minutach udało mi się umocować swój sadz-magazyn tak, że złowione rybki bez straty czasu mogłem wrzucać w jego otchłań. Wiele żywczyków zahaczało się za oczy, pod skrzela i wtedy rad nie rad musiałem je wrzucać do jednego z wiader. Do rąk i twarzy posmarowanych dziegciem kleiły się muszki. Pot zmywał z twarzy dziegieć, miewał się ze słodkawym smakiem muszek. Piekły oczy, mdliło. Na niebie ani jednej chmurki - tylko żar palącego słońca. W bezruchu zatrzymały się gałęzie drzew i liści. Umilkło ptactwo. Tylko jednostajny szmer napierającej na łódź i bok sadza wody oraz stuk wędzisk o burtę zakłócał ciszę. Obydwa wiadra zostały napełnione do pełna kiełbikami. Zerwałem więc z twarzy siatkę i w ubraniu wskoczyłem do wody. Po chwili za moim przykładem to samo zrobili obaj bracia. Długo taplaliśmy się w wodzie. Spływaliśmy z prądem, wychodziliśmy na brzeg wyspy i, znowu do wody. Zabawa ta musiała dość długo trwać - poczułem się zmęczony. Sasza od paru minut leżał na rozgrzanym piasku. Położyłem się obok niego...

Potem środkiem rzeki, unoszeni prądem zbliżaliśmy się do posiołka. Wysoko przelatowały niespokojne stada kaczek. Chłodem kusiły obydwa brzegi tajgi. I chociaż z dzisiejszego połowu byliśmy bardzo zadowoleni, osobiście odczuwałem jakieś dziwne podniecenie, a nawet niepokój. Czegoś mi brakowało. Ale oto i wyspa, a za nią stromy znajomy brzeg Czegaszetu - nasz lesopunkt. Podpłynęły do nas dziewczęta, wracające z pełnymi wiadrami czarnych jagód. Zapropnowały ściganie się. Przegraliśmy. Przeszkadzał mój sadz, który czernił się na wodzie, hamował, uniemożliwiał manewrowanie łodzią. Za kilkanaście minut o naszej porażce będzie wiedział cały posiołek.

"Wołodia, Sasza i Sbiszek-Wowa - przegrali z dziewczynami".

Woda uderzając o czoło wyspy niespokojnie falowała, rozbiła się na dwa nurty, które pod kątem dziewięćdziesięciu stopni biegły do dwóch przeciwległych brzegów. Posłuszna prądowi łódź ostro skręciła w lewo w kierunku oddalonego o około czterysta metrów brzegu. Ujrzałem domy, pojedyncze osoby, a po chwili olbrzymią spiralę ceglastego koloru kurzu.

Byłem całkowicie pochłonięty obserwowaniem tego niezwykłego dla mnie zjawiska. Widziałem, jak spirala przez moment znieruchomiała, a po chwili zachwiała się na wszystkie strony. Zaczęła się przemieszczać. Wierzchołek spirali wygiął się, ukłonił, dotknął wierzchołków drzew. Te natychmiast cofnęły swoje korony i gałęzie. Poleciały z dachów darte deski, zniknęli ludzie w tumanach kurzu. Odwróciłem się. Spojrzałem na kolegów. Zwróceni do siebie twarzami o czymś spokojnie rozmawiali.

- Zobaczcie - pokazałem w kierunku posiołka.

Przerażonymi oczami spojrział na mnie Wołodia i wrzasnął

- Do brzegu, do brzegu - griebi.

Byłem zdziwiony jego zachowaniem, przerażeniem. Nic nie rozumiałem wówczas. Potężna fala podmuchu smagnęła po burcie łodzi, niebezpiecznie ją przechylając. Zerwana nagłym podmuchem wiatru czapka Saszy poszybowała w kierunku wyspy. Łódź hamowana sadzem obróciła o dziewięćdziesiąt stopni. I to nas uratowało od niechybnej wywrotki. Wierzchołki wzburzonej wody zaczęły przelewać się przez burtę. Sasza z wielkim trudem dawał sobie radę z wiosłami. Zmienił go Wołodia.

- Odcinaj sadz bo utoniemy - krzyknął.

- Trzymaj pod wiatr!



- Pod wiatr! - powtarzał.

Uwolniona od moich kielbików łódź zaczęła się ślizgać po wierzchołkach fal. Po paru minutach szczęśliwie dobiliśmy do brzegu. Wskoczyłem z łodzi i chwyciłem za koniec liny holowniczej. Szukaliśmy schronienia od nawałnicy. Wiatr karczował las, strzygł liście przybrzeżnych krzaków. Wróciliśmy nad wodę. Znaleźliśmy kryjówkę pod podmytą skarpą brzegu. W wywróconą łódź uderzała wysoka fala.

Dziewczęta w ostatniej chwili dobiły szczęśliwie do brzegu. Po skończonej nawałnicy, która trwała około 30 minut usłużnie powiadomiły mamcią i siostrę, że widziały przewróconą do góry dnem płynącą łódź, że na pewno utonęliśmy. Mamcia i siostra pobiegły powiadomić matkę Wołodi i Saszy. Do nich dołączyło parę kobiet; nasi koledzy. Ktoś dosiadł konia - pojechał powiadomić tatusia, który w tym czasie pracował w Szywierze. Szukano nas wzdłuż brzegu.

Długo, bardzo długo szukano nas.

Gdy wiatr ucichł, uspokoiła się fala zaczęliśmy we trójkę nurkować, szukać naszego dobytku. Wyłowiliśmy moją "krymkę", siekierę, pas z nabojami. Odszukaliśmy jedno wiadro. Resztę naszego wędkarskiego i osobistego dobytku straciliśmy bezpowrotnie. Popłynął gdzieś do Angary, a może do Morza Karskiego - mój sadz, nasze wędki, wiosła. Przy stromym brzegu z wielką trudnością uporaliśmy się z łodzią. Na jej dnie ułożyliśmy przedmioty, które oddała nam Ona i w fatalnych nastrojach odbiliśmy od brzegu. Prawie wszystkie domy pozbawione były dachów. Tylko na niektórych ocalały - nie wiem jakim cudem - pojedyncze deski. Wróciłem do domu. Telepało mną z zimna, ze strachu. Już było ciemno kiedy zrezygnowani i przygnębieni rodzice z siostrą wrócili do domu. Cała trójka patrzyła na mnie jakbym wrócił - już po raz drugi - z tamtego świata.

Tego roku nie wyjeżdżałem już więcej na kielbie. Nie wyciągałem spod lodu okoni, szczupaków, miętusów i tajmieni...

Każdy na własną rękę przystąpił do naprawiania dachów. Na szczęście w posiołku była wystarczająca ilość zapasowych dartych desek. Część zerwanego poszycia udało się odzyskać, pozbierać w najbliższej okolicy, na zasadzie kto pierwszy ten lepszy. Ale jakoś krycia dachów - robiły to przeważnie kobiety i dzieci - pozostawała wiele do życzenia. Prawie codziennie padał deszcz. Wiały, jak nigdy dość silne wiatry. Było stosunkowo zimno. W tym samym mniej więcej czasie zaczęto przewozić łodziami siano dla koni z przeciwnego brzegu rzeki. Siano zgromadzone było w stertach w dość dużej odległości od brzegu ze względu na ewentualną powódź. Toteż kobiety i zwolnione ze szkoły dzieci donosiły je całymi dniami oburącz przed sobą do łodzi. Ale jak mi się wydawało po tej "drodze przez mękę", co najmniej połowę siana wrywał wiatr. Niosący siano potykali się, a zwłaszcza dzieci - także przewracały się. Wysięk był ogromny, a rezultaty tej pracy - mierne. Ze względu na wiatr, a przede wszystkim ze względu na bezpieczeństwo, ładowność łodzi wykorzystywano nie więcej niż w pięćdziesięciu procentach. Duża część przywiezionego z takim mrozem siana trafiała do prywatnych zagród, z myślą o krowach. Ale na to już nie było rady... Trzeba było czekać aż do momentu kiedy wodę skuje lód. Prawie codziennie z Danką, a niekiedy z mamcią piłowałem kloce przed domem, bądź nad samą wodą. Robiliśmy zapasy opału na duże mrozy. Wykopaliśmy prawie cztery wiadra malusieńkich ziemniaczków, pół worka brukwi, zebraliśmy kilkanaście główek kapusty. Danka zbierała prawie dwie dość duże, standardowe sklepowe skrzynki brusznicy.

Tatuz otrzymał powiestkę, ale nie zdążył na czas do transportu

do Kańska. Wrócił, zmęczony, wygłodzony, sponiewierany ponad ośmioletnią podróżą w obydwie strony. Ale szczęśliwy. Na jak długo? Nie wiadomo.

Kończyło się siano dla koni. A rzeka wciąż jeszcze nie była dostatecznie dobrze zamarznięta, aby można było bezpiecznie wjechać końmi na lód. Jeszcze dzień, dwa i konie zamiast siana będą musiały czytać przechodzące z trzytygodniowym opóźnieniem gazety. A jeżeli padną? Toteż dobrze, myślałem. Będzie przez parę dni lepsze żarcie stołówkowe. Ale nie, do tego nie można popuścić. Przecież... Przypomniałem sobie Piotra Wasiljewicza, tuleńskiego woziwodę. A tatuś chodził zrozpaczony. Ciągłe, głośno powtarzał. Co ja mam robić? Co ja mam robić? Czy <sup>nie</sup> lepiej teraz było być w wojsku, niż iść do więzienia przez te zdychające chabety?

- A co będzie z nami? - spytała rezolutnie Danka.

- Ty pójdziez do więzienia?

- Chyba do więzienia, za sabotaż - wykrztusiłem

- A po co te więzienia - ciągnęła Danka.

- A czy w więzieniu dają jeść?

Myślałem długo, bardzo długo jak ściągnąć to piekielne siano z przeciwległego brzegu rzeki. Przecież od prawie dwóch tygodni chodziłem bezpiecznie po lodzie przy brzegu, głuszyłem obuchem siekiery ryby. Zaproponowałem tatusiowi, aby sprawdzić, czy może jednak da się przejść na drugi brzeg, przeciągnąć sanie. Wzięliśmy w ręce długie tyczki. Powoli, krok po kroku poszliśmy na drugą stronę. Jakies 200-250 metrów od brzegu, lód był dość gruby. Na spokojnej wodzie przekraczał miejscami 15 centymentów, a więc był dostatecznie bezpieczny dla ludzi. Doszliśmy prawie do środka rzeki, do zasadniczego nurtu. Usłyszeliśmy niebezpieczne potrzaskiwania.

Nie odrywając nóg od lodu, poślizgiem wycofaliśmy się. Próbujemy przedostać się na drugi brzeg w innym miejscu. Sytuacja powtarza się. Może być solidna kąpiel, być może ostatnia w życiu. Tato coś kombinuje, zastanawia się.

- Dobrze, nie jest tak źle. Trzeba będzie ułożyć ścieżkę z desek - słyszę.

Po godzinie nad brzeg zajeżdżają sanie wyładowane dartymi deskami. Ojciec taszczy na ramieniu długi sznur. Przychodzi kilkanaście kobiet i paru chłopaków w moim wieku. Wyprzęgamy konia, odczepiamy hołoble. Pchamy sanie do bezpiecznego miejsca. Tatusia opasujemy sznurem - podajemy deski. Ojciec układa "kładkę". Po kilkunastu minutach jest na drugiej stronie, bezpiecznej już stronie. Ktoś wiąże sznur do sani. Parę kobiet i kilku chłopaków przechodzi na drugą stronę. Przeciągają sanie. Jadą po końską karmę. Po dwóch godzinach siano leży w żłobach. Konie są uratowane, uratowana jest wolność ojca. Ten "sianowy most" działał ponad tydzień. Po zakończeniu akcji "siano dla koni" - podkreślam po zakończeniu - w ściennej gazetce lesopunktu ukazał się złośliwy artykulik oraz karykatura tatusia. Przedstawiała ona ojca siedzącego na klocek drewna. W jednej ręce tatuś trzymał super dużego skręta, prawa ręka wyciągnięta w kierunku kobiet i dzieci ciągnących sanie załadowane sianem. Mówił: - Wam pomocz? Nawet, gdyby tatuś nie był polskim panem, zesłańcem, a jeszcze nie tak dawno wragom naroda - zaprzęganie ludzi do sani, tak czy inaczej - w ustroju sprawiedliwości społecznej, było czynem ze wszech miar nagannym. Że zostały uratowane konie od śmierci głodowej. No to co!

Zebrała się rada lesopunktu. Ojca na zebranie nie poproszono. Ale widocznie zwyciężył rozsądek...

W przeddzień 23 rocznicy Rewolucji Październikowej władze szarpnęły się na piękny gest. Dzieci otrzymały po 100 gramów cukierków oraz po 200 gramów masła śmietankowego. Dorośli po pół litra beczkowego spirytusu. Wszyscy, tzn. dzieci i dorośli po 100 gramów rybnego żira, tranu - doskonale zwalczającego "kurzą ślepotę"

W styczniu tatuś otrzymał list z Krasnego Priiska, od żony pana Wacława Buraka. Pisała ona, że jej mąż oraz Jerzy Cieślak zostali powołani do wojska. Że mieli, wraz z I Dywizją im. T. Kościuszki wziąć udział w pierwszej bitwie za ziemi radzieckiej z niemieckim okupantem. Że od kilku miesięcy nie mają od swoich mężów żadnej wiadomości. Żona pana Buraka podała numer poczty polowej swego męża. Ponadto informowała, że w Krasnojarsku powstał Zarząd Obwodowy Związku Patriotów Polskich, że zarządem kieruje jej dobry znajomy Ziemiński, czy też - dokładnie nie pamiętam - Ziemski. I najważniejsza informacja, że przy Zarządzie ZPP działa sekcja pomocy dla najbardziej potrzebujących. A tak na dobrą sprawę, kto w tych czasach i warunkach nie potrzebował pomocy. Mamcia odpisała pani Burakowej, wystosowała też prośbę do Zarządu Krasnojarskiego ZPP o udzielenie nam pomocy budżetowej i żywnościowej. Czekaliśmy. Tatuś napisał listy do obu znajomych. Tymczasem Danka i ja praktycznie nie mieliśmy w czym wyjść z domu. Byliśmy goli. Sprawę obuwia w pewnym stopniu załatwiały łapcie. Ale ten śnieg, głęboki, sypki śnieg. A mróz? Mróz, póki co nie przekraczał 45°. Jak plunęło się na jakiś twardy przedmiot to słychać było wyraźnie stuk zamarznętej śliny. Myślałem w takich momentach czy już zamarzę, czy jeszcze nie. Kiedy szedłem do pracy w łaźni zacząłem ubierać ojcowskie, bardzo już podniszczone buty oficerskie. Były 5-6 numerów za duże (dzisiaj noszę numer 38 obuwia) i, co najmniej dziesięć centymetrów

za długie. Z wielkim trudem mogłem w nich iść. Nogi w kolanach zginały się tylko o tyle, o ile pozwalała na to szerokość cholewy.

Dziunio i Marysia Z. w ogóle nie wychodzili z domu ze względu na kompletny brak ciepłej odzieży i obuwia.

Od pierwszego lutego - już po raz kolejny z rzędu - ponownie zmniejszono przydziały chleba. Tym razem tylko dla dzieci i osób niezdolnych do pracy: do 150 gramów. Pracujący w dalszym ciągu otrzymywali - 400 gramów.

Prawie dokładnie w czwartą rocznicę naszego przyjazdu do Tule-  
nia, tzn. 14 marca 1944 roku tatuś otrzymał po raz trzeci powołanie do wojska. Znowu spóźnia się na "swoj" transport, który odjechał kilkanaście dni temu. Dlatego kański wojenkomat wydaje ojcu indywidualny bilet do Sum.

Parę dni po wyjeździe tatusia, mamcia otrzymała w miejscowej kantorze dokument mówiący o tym, że jej mąż rzeczywiście pracował w lesopunkcie Czegaszet ( w innych, również oficjalnych domumentach figuruje nazwa Szegaszet!) w charakterze prijomszczika lesa od 1940 do 14 marca 1944 roku. Obecnie wymieniony znajduje się w szeregach RKKK - Rabocze-Kriestianskoj Kraskoj Armii. A więc, nawet w 1944 roku, pojęcie Wojska Polskiego w świadomości naszych gnębi-  
cieli wciąż jeszcze nie funkcjonowało. A przecież bitwa pod Lenino była w miejscowej i centralnej prasie wyjątkowo wszechstronnie roz-  
propagowana. Dopiero w drugiej połowie maja dotarł do nas pierwszy list od ojca ze zwrotnym adresem: Polewaja poczta № 55503-K

Przy końcu kwietnia nadeszły dwie paczki z Krasnojarska. Jedna dla nas, druga dla pani Magdaleny Z. My otrzymaliśmy jeden pokrzy-  
wowy koc, parę bardzo dużych trzewików, czerwoną sunienkę w białe groszki (na mamcię za mała, na siostrę za duża) oraz sześć pysznych

amerykańskich konserw rybnych. Z koca mamcia uszyła mi spodnie. W spodniach tych, a ściślej już w zasadzie w samych łatkach chodziłem jeszcze prawie trzy miesiące po powrocie do kraju w 1946 roku...

Gdyby ktoś chciał wziąć mnie nawet na tortury, by wydobyć ze mnie informację, w jaki sposób przeżyliśmy od momentu powołania tatusia do wojska do mniej więcej połowy maja - niewiele mógłbym powiedzieć. Z tego okresu pamiętam jedynie, że ciągle byliśmy głodni (950 gramów chleba na trzy osoby), że mieszkanie było stale niedogrzone, że panowało piekielne zimno, i że parę razy wychodziłem z kołunem-siekierą, aby przebić lód - popróbować wyłowić choćby parę rybek. Ale lód był gruby, gruby na ponad półtora metra. Toteż wyczerpany do ostatnich granic wrócałem do domu z pustymi rękami. Ledwo trzymając się - podobnie jak mamcia i Danka - na nogach. Byłem tak osłabiony, że zupełnie przestałem myśleć, reagować na otoczenie. Tylko w łaźni, w ciepłe na godzinę-dwie ożywiałem się. I to tylko na chwilę, gdyż pod wpływem ciepła i smrodliwego zaduchu - po prostu zasypiałem.

Żonie Cywilowa i Konstantinowi Konstantinowiczowi zawdzięczamy, że przeżyliśmy te najtrudniejsze dla nas trzy miesiące kończącej się zimy 1944 roku. Przeżyliśmy, bo Cywilowa przynosiła nam dość regularnie po litrze mleka, a czasem kawałek solonego mięsa łośia, rzadziej kawałek solonej ryby.

W jeszcze trudniejszej niż nasza sytuacji była rodzina Z. Pamiętam, że Dziunio (był w wieku Danki) nie złąził z pieca; był jeszcze bardziej wychudzony niż my, tzn. mamcia, Danka i ja. Marysia Z. starsza o dwa lata ode mnie, nie wiem dlaczego dotąd nie splamiła się pracą! Oni we trójkę, tzn. pani Magdalena z dwójką dzieci otrzymawali zaledwie 700 gramów chleba. Powtórzę, któryś

już z kolei raz, że oprócz chleba otrzymywaliśmy raz dziennie na osobę pół litra cieniutkiej zupy szczawiowej lub z czeremszy. Czasem w zupach tych można było wyłowić rozgotowane kawałeczki głów śledziowych. W tym czasie (i wcześniej i później) kiedy wychodziliśmy na stronę, dosłownie z całego pójścia zbiegały się całe watahy wygłodniałych psów, które staczały prawdziwe bitwy o nasz kał.

Na trzeci albo na czwarty dzień od momentu ruszenia lodów na Onie zobaczyłem przez okno Konstantina Konstantinowicza. Wyszedłem z ciekawości z domu. Zainteresował mnie bowiem fakt, iż Cywilow trzymał w ręku dość gruby, ponad czterometrowej długości drążek, na końcu którego umieszczona była szeroka i bardzo głęboka siatka. Rodzaj współczesnego podbieraka wędkarskiego. Takiego narzędzia do połowu ryb dotąd nie widziałem. Zastanawiałem się jak można łowić ryby, w czasie kiedy kra zbitą masą wciąż płynie. A i przy każdym nieopatrzonym ruchu można poślizgnąć się, wpaść do wody, zostać porwanym przez lód. Cywilow odwrócił się. Pykał jak zwykle swoją fajeczkę. Dostrzegł mnie. Uśmiechnął się przyjaźnie. Kiwnął ręką, że mam się do niego zbliżyć.

- A ja wam rybu rieszil' pojmat' - powiedział..

- Byłoby niepłoch - odpowiedziałem.

Podał mi wiaderko. Zaś sam z kocią zręcznością, przeskakując z jednej kry na drugą zbliżył się tuż nad samą wodę. Patrząc na przepływającą krę zakręciło mi się nagle w głowie. A on zręcznie zanurzył swój dziwny sak w wodzie. Docisnął go do dna. I opierając koniec tego przedziwnego narzędzia o bark zaczął podciągać go do brzegu. I z wielkim trudem wyciągnął go z wody. W pierwszej chwili oprócz dużej ilości kawałków lodu żadnej ryby nie dojrzałem. A on powoli metodycznie cofnął się parę kroków do tyłu. Położył sak na



lód i zaczął wybierać z niego kawałki lodu. Czynność tę powtarzał jeszcze parokrotnie. I wreszcie jest, może półkilogramowy nalimik i dwie średniej wielkości płoteczki. Co jakiś czas zmieniał miejsce. I znowu zanurzał sak w miejscach w miarę wolnych od lodu. I kolejne, podobne do dużych kijanek - małe nalimy trzepotały w saku. I znowu płocie, okonki, kilkanaście dorodnych kiełbi. Poprosiłem Cywilowa, by i mnie pozwolił spróbować łowić ryby tą metodą. Wydawało mi się, że będę to robił lepiej, skuteczniej, a przede wszystkim szybciej.

- Poprobuuj - uśmiechnął się z wyraźnym politowaniem.

Wziąłem sak do rąk. Lekko zatoczyłem się. Oparłem koniec saka o lód, schyliłem się - tak jak to robił Cywilow - i zacząłem lekko, lekko przechylać go w kierunku wody. Przemieścił się środek ciężkości i sak runął na krę. Przez moment wydawało mi się, że straciłem kontakt z podłożem - tak po prostu - bez zanurzenia <sup>zacząłem</sup> ciągnąc sak do siebie.

- Porwiosz sietku - usłyszałem.

No właśnie. Mnie się również wydawało, że coś nie jest tak, jak być powinno. Cywilow dość nerwowo wziął ode mnie sak i następnie jak piórko uniósł go do góry. Zanurzył go jeszcze parę razy do wody. Zanurzył skutecznie.

Toteż uradowani poszliśmy do domu. Cywilow wszedł po raz pierwszy do naszego mieszkania; jego niegdyś domu. Zostawił nam ponad połowę wyłowionych ryb.

- A ostalnyje, woźmu swojej babie - rzekł.

Po kilkunastu minutach przyszła Cywilowa. Przyniosła parę mocno przywiędniętych ziemniaków.

- Waritie uchu- zarządziła.

Na początku czerwca sytuacja żywnościowa - podobnie jak tych okresach w latach poprzednich - wybitnie się poprawiła. Zrywaliśmy do woli młodą pokrzywę, lebiodę, łąkową cebulę, szczaw; nieco później czeremszą, czarne jagody. Nabieraliśmy znowu sił po wielomiesięcznym przymusowym poście. Zacząłem - po opadnięciu wód powodziowych - najpierw łowić ryby na wędkę, zastawiałem również regularnie dwa żywotniki tuż naprzeciw naszego domu. Danką zbierała czarne jagody. Penetrowała przybrzeżne zarośla w poszukiwaniu czerwonych i czarnych porzeczek. Dwa-trzy razy w tygodniu udało mi się ustrzeżić kaczkę, a nawet raz gęś. Nabieraliśmy znowu sił.

Któregoś dnia wypłynęliśmy z Danką do pobliskiej wyspy. Najpierw zastawiliśmy pięćdziesięciohaczykowy sznur, a następnie przystąpiliśmy do poszukiwania zastawionych sieci. Wyplątaliśmy z obcych sieci kilka sporej wielkości szczupaków oraz dwie krzyżówki. Z tą "góram" rybnego i kaczego mięsa zadowoleni i szczęśliwi podpłynęliśmy po paru godzinach do zastawionego wcześniej żywotnika. Odwiązałem sznur od krzaka i zacząłem powoli układać go na dnie łodzi. Na pierwszych dwudziestu haczykach złowiło się tylko dwa prawie kilogramowe okonie, na pozostałych śnięte kiełbiki. Kiepsko. Dość kiepsko. Liczyłem na więcej. Wybieram i układam w łodzi kolejne metry sznura. Nagle, czuję w dłoniach jedno po drugim następujące po sobie mocne szarpnięcia. Mój sznur wyraźnie wędruje pod prąd. Po chwili nasza łódeczka unoszona prądem wody zatrzymuje się. Patrzę na brzeg. Płyniemy najpierw powoli pod prąd. A po chwili łódź wyraźnie przyspiesza. Teraz holowna jest w kierunku wyspy. Jeżeli teraz nie wytrzymam naporu ryby, w każdej chwili jeden, a może dwa haczyki wbiją się w moje dłonie. A wtedy... Jestem przerażony, z coraz większym trudem kurczowo utrzymuję sznur w rękach. Wreszcie

udaje mi się go nawinąć na dłoń. Drugą ręką chwytam się za burtę łodzi. Ale i teraz - tak mi się wydawało - mogłem być w każdej chwili wyciągnięty z łodzi. Na wszelki wypadek krzyczę więc do Danki, by ta trzymała mnie za nogi. I nie puszczała. Ryba zatacza duże koło. Ciągnie teraz z prądem wody. A w dole Szywiera i niebezpieczny próg wodny. Szukam odruchowo, ze strachu siekiery, by przeciąć sznur. Ale nie. Przecież szkoda sznura; szkoda w ryby. Nadludzkim wysiłkiem udaje mi się wreszcie zawinąć sznur za dulkę. Łódź niebezpiecznie przechyla się na jedną burtę. A Dankka ciągle kurczowo trzyma mnie za nogi. Teraz wyraźnie przeszkadza mi to. Mam już teraz obydwie ręce wolne i wreszcie nogi też. Ochłonawszy na chwilę nie myślę już o odcinaniu sznura, lecz kombinuję jak tego gada podprowadzić do łodzi, a może lepiej do brzegu. Musi przecież kiedyś się zmęczyć, wypłynąć na wierzch. Ale jak może wypłynąć skoro tak harcuje z uwiązany na końcu sznura sporym kamieniem-kotwicą. Ale, żeby tylko wytrzymał sznur. Biorę do ręki pagaj. Wiosłuję do najbliższego brzegu. Dankka chwyta za zwisającą nad wodą krzaki. Rzucam wiosło. Chwytam za gałęzie. Szukam czystego, niezarośniętego brzegu. Piętnaście, dziesięć, pięć metrów - już jest mały, płaski, piaszczysty... Dankka wyskakuje z łodzi, podciąga łódkę na brzeg. Ryba poczuwszy opór zatacza łuki to w jedną, to w drugą stronę. Ciągle przydnie. Chwytam oboje za sznur. Próbuje podciągnąć rybę do brzegu. Boję się zwisających luźno na grubych sznurkowych plecionkach haczyków. Odcinam kilka haczyków. Podciągamy linę. I znowu odcinam haczyk. Wreszcie widzimy szalejące długie brązowo-czerwono-białe cielsko ryby. Wyskakuje z wody i znowu zanurza się. I tak kilka razy. Jedną ręką sięgam do łodzi i biorę swoją niezawodną "krymkę". Podciągamy rybę na mieliznę. Strzelam nabojem śrutowym w głowę, z

odległości jednego metra... Z trudem wkładamy do łodzi nasze rybacko-myśliwskie trofeum.

Po przepłynięciu pod dom wywlekamy rybę z łodzi i zaciągamy ją na ganek. Biegnę natychmiast do Konstantina Konstantinowicza pochwalić się naszym połowem. Cywilow przyglądał się długo, bardzo długo leżącej z roztrzaskaną głową rybie. Nachylił się, przewrócił ją na drugi bok, cmoknął. Wyprostował się. Zapalił fajkę. Patrzył z niedowierzaniem to na nas oboje, to na rybę. Uśmiechał się. Kręcił głową.

- Niewierojotno.

- Puda dwa wiesit' budiet, tajmien.

- Daże mnie nie prichodziłoś takogo pojmat'.

Pewnie razem z Danką nie ważyliśmy wówczas więcej niż 32 kilogramy. Danka odniosła rodzinie Z. - już zbyteczne teraz - potrzebne z obcych sieci szczupaki. Chciałem dać Cywilowowi płat tej pięknej i smacznej ryby. Odmówił. A tajmienia mamcia gotowała, piekła na płycie i kilkanaście kilogramów wysuszyła w naszej ruskiej pieczce...

Mamcia, któryś już z kolei raz wysłała nas z Danką do Szywiry - zbierać maliny. Wciąż jeszcze było ich dużo. Były wyjątkowo - jak na leśne owoce - dorodne i duże. Mieliśmy również przynieść dużo, jak najwięcej łydyg do suszenia na herbatę. Ale tego dnia jakoś się dziwnie czułem, przeżywałem wewnętrzny niepokój. Może dlatego, że nie zabrałem ze sobą broni, że w zaroślach malin spotykaliśmy dość często jadowite żmije. A i Dance to dzisiejsze zbieranie jakoś nie bardzo szło. Byliśmy w tajdze - jak nigdy chyba dotąd - sami. Zbieranie jagód, czy też malin, traktowałem jako zajęcie nie-

godne mężczyzny, tym bardziej, że przecież - było nie było - byłem wówczas głową rodziny. Miałem za niespełna trzy tygodnie ukończyć czternaście lat. Buntowałem się wewnętrznie. Drzewo na opał ja, ryby ja, polowanie ja, praca w łaźni ja..., i jeszcze te przeklęte maliny. Ile i jak długo można? Wszystko ja, no prawie wszystko... Powiedziałem Danka, że więcej zbierać malin nie będą, że w ogóle moja noga tu, w tym malinniku więcej nie stanie.

Danka, jak przysłowiowy zbity pies, odreagowała na tę moją wyliczankę: - No cóż. W takim razie wracajmy do domu - powiedziała.

- Ale, żebyś wiedział, że mamcia nie będzie zadowolona - dodała rezolutnie.

Wiedziałem.

Przed domem spotkaliśmy Saszę i Wołodię.

- A my przyszli poproszczat'sa.

- Poproszczat'sa? - powtórzyłem.

Weszliśmy do mieszkania.

- Mamcia już wróciła z pracy. - Tak szybko - zdziwiła się Danka.

- Dzieci, moje kochane, wracamy do Polski - oznajmiła mamcia.

- Do Polski?

- Tak, do Polski! Okazało się, że przed dwoma mniej więcej godzinami była Marusia Buk., Zrzuciła<sup>h</sup> nam informację, że - jeżeli chcemy - to możemy wracać do Polski.

W pomieszczeniu panował solidny bałagan. Nasze rzeczy, a było tego co kot napłakał, leżały na dwóch oddzielnych kupkach: na jednej były te, które mamcia zamierzała zabrać, na drugiej przeznaczone do sprzedania. W ciągu dwóch, a może trzech godzin wymiana rzeczy na ruble została zakończona. Mamcia uzbierała około tysiąca

rubli. Takiej sumy pieniędzy nikt z nas nie widział.

Działo się to wszystko 19 sierpnia 1944 roku w godzinach popołudniowych.

Sasza z Wołodią kupili "krymkę". Chcieli również kupić łódkę. Ale mamcia nie chciała się na to zgodzić. Przecież tylko łódką będziemy mogli dostać się do odległego o około 150 kilometrów posesiołka Foczot. Wciąż pod prąd. Wartki prąd. A później... Ale czy warto się w tej chwili nad tym zastanawiać? Najważniejsze przecież, że wracamy. Więc jakoś to będzie!

Przybiegła pani Z. z Dziuniem i Marysią, oznajmiła że oni też chcą wracać. Jechać do Polski. To zrozumiałe. Ale czym i jak? Bo- wiem władze lesopunktu odmówiły wszelkiej pomocy rodzinie mordercy. Naradzamy się z mamcią. Nie widzimy innego wyjścia. Niech jadą z nami. Tym bardziej, że pani Z. dwa dni wcześniej otrzymała zezwolenie z kańskiego więzienia na widzenie z mężem.

Następnego dnia rankiem ładujemy na łódź kufer z dwoma pierzynami i poduszkami, sanki oraz parę garnków. Zabieram również siekierę i piłę, puszkę po cukierkach. Mamcia zawija w chustkę parodniowy przydział chleba, kilka kawałków suszonych ryb, butelkę oleju jadalnego, trochę mąki i kaszy. Łódka jest obciążona prawie do granic swojej wyporności. I to bez rzeczy rodziny Z. Ale oto i oni. Taszczą pościel, garnki, jakieś dwa prostokątne pakunki. Robimy selekcję przyniesionych rzeczy. Pościel tak, garnki tak. - A co jest w tych dwóch pakunkach? Bardzo ciężkich pakunkach - pytamy. Okazało się, że po prostu książki. Polskie książki, o istnieniu których dotąd nic nie wiedzieliśmy. A przecież tak chciało się nieraz przeczytać coś po polsku. A tu taki, skrywany być może przed nami, skarb. Zastanawiające! A równocześnie oburzające!

Jeszcze siedem, jeszcze pięć centymetrów i łódź nabierze wody... A co będzie jeżeli zaczniesz dmuchać wiatr? Powstanie fala? A co stanie się, gdy sześć osób wsiądzie do, na dobrą sprawę, trzyosobowej łodzi? Pytanie abstrakcyjne.

A tymczasem Dziunio, choć chłopak, przecież choć jest rówieśnikiem Danki już rozsiadł się wygodnie w łódce. On iść nie będzie. On chce i będzie płynął. Albo zostaje wraz z leżącymi na brzegu książkami. Książkami napisanymi przez Sienkiewicza, Żeromskiego, Mickiewicza, Prusa...

Na brzegu zbierało się coraz więcej naszych rosyjskich koleżanek i kolegów. Przyszedł Cywilow z żoną (pani Cywilowa przyniosła parę sporych kawałków mięsa suszonego), garbuska Aniuta, matka Saszy i Wołodi, kobiety ze żłobka i przedszkola, naczelnik lesopunktu, nasza niegdysiejsza nauczycielka, Sokołowa. Żegnamy się. Żegnamy się czule. Wszyscy oni życzą nam szczęśliwej podróży, szczęśliwego powrotu do kraju. Nie skrywają, że zazdroszczą nam lepszego, innego świata. Czy lepszego, czy innego?

Tak naprawdę było mi żal tych ludzi, którzy po chwili zostali na brzegu ze swoimi ciągłymi kłopotami, ze swoją codzienną biedą, ze swoim jakże niezasłużonym losem. Żal, że nigdy już ich nie zobaczę.

A może lepiej wówczas było nie myśleć wcale niż myśleć rozczulająco, głęboko, a być może do tego błędnie.

Ale tymczasem Konstantin Konstantinowicz poprawił na dziobie łodzi pałąk holowniczy.

- Pływicie. Wam pora - powiedział na pożegnanie, Cywilow.

Rzeczywiście, czas odpływać. Mamy przecież przede sobą szmat drogi. .

Wyciągam Dziunia z łodzi. Na jego miejsce układam, leżące dotąd na brzegu książki. Siadam za sterem. Mamcia, pani Magdalena, Danusia i Marysia chwytają za linę holowniczą. Dziunio stoi na boku. Jest wyraźnie obrażony. Odpycham wiosłem z mielizny łódkę. Ustawia się w poprzek prądu przezroczysto czystej wody. Po chwili napięta lina holownicza prostuje łódź, ustawia ją dziobem do prądu. Płyniemy. Wracamy do Polski! Po czterech z hakiem latach pobytu w Tuleniu i Czegaszecie.

Pierwszą noc spędzamy między Czegaszetem a Tuleniem pod stromym brzegiem rzeki. Kolejną noc - dokładnie naprzeciw Tulenia. Chciałem, bardzo chciałem wyładować wszystkie manele z łodzi i przepłynąć rzekę. Chciałem pożegnać się z Piotrem Wasiljewiczem. Chciałem pójść na cmentarz, by spojrzeć na mogiły tych, którzy na zawsze tu zostaną. Ale było już zbyt późno. A trzeba było jeszcze przecież przygotować suchych gałęzi na ognisko. Na całą noc. A ponadto dało o sobie znać zmęczenie. Potworne zmęczenie.

W ciągu kolejnych pięciu dni szliśmy i przepływaliśmy przeciętnie 20 kilometrów dziennie. Ciągłe dwie umęczone kobiety i dwie dziewczynki holowały łódź. A tam gdzie brzegi były strome i zarośnięte chaszczami, mamcia zwijała linę holowniczą i ja już sam z konieczności pokonywałem te odcinki rzeki - niekiedy bardzo długie przy pomocy wiosła, a niekiedy po prostu na pych.

W lespromchozie Poczot sprzedałem za 500 rubli moją ulubioną łódkę. Mamcia otrzymała tam za pokwitowaniem starego kościstego konia wraz z charakterystyczną syberyjską tielegą. Ten ponad stukilometrowy odcinek drogi z Poczota do Abanu pokonaliśmy w trzy dni. Koń z wielkim trudem ciągnął wóz, gdyż koła tielegi głęboko zapadały się w piaszczystym gruncie. A kiedy jechaliśmy pod górki koń po prostu się kładł. Nie na wiele pomagał solidny pręt, którym co raz



to okładałem konia. Nie pomyślałem o tym, bo skąd miałem wiedzieć, że trzeba było wziąć ze sobą odpowiedni zapas siana, paszy treściwej, a nawet wody.

Mamcia, pani Z., Danka, Marysia a nawet Dziunio zmuszeni byli ciągle popychać wóz. Noce spędzaliśmy w tajdze. Trzeciego dnia, piętnaście kilometrów przed Abanem koń położył się i w żaden sposób nie chciał wstać. Nakarmiliśmy konia jedynie leśmi brzożowymi, a wody ani na lekarstwo nigdzie. Nie wiem do dzisiaj czy stan fizyczny konia był lepszy od naszego, czy też nie. Zostałem w tajdze z tym padającym ze zmęczenia, głodu i pragnienia koniem. Wraz ze mną na noc została Marysia. A mamcia, pani Z., Danka i Dziunio poszli do Abanu po pomoc.

Nad ranem podjechało do nas kilku kołchoźników furmankami. Jechali na targ. Poprosiłem ich o pomoc, poradę co mam robić. Postąpili jak prawdziwi Sybiracy. Nakarmili przede wszystkim mnie i Marysię. Dali koniowi siana i owsa, napoili. Koło południa szkapina - bez popychania wozu - dowlokła nas do Abanu. W Abanie spotkałem mamcię z Marusią Buk. Właśnie prowadziły konia - spieszyły nam z pomocą.

Następnego dnia mamcia po przedłożeniu zaświadczenia, że ojciec służy w armii, otrzymała samochód ciężarowy. Samochodem tym dojechaliśmy do Kańska.

Na stacji stał długi transport wagonów kolejowych załadowanych Polakami.

Wyładowaliśmy nasze i pani Z. rzeczy przed jednym z nich. Mamcia odszukała komendanta pociągu. Powiedział, że miejsc już nie ma, że przyjechaliśmy za późno. I że pociąg najdalej za godzinę odjedzie. Nie na wiele zdała się również interwencja u polskiego pełnomocnika, przedstawiciela Związku Patriotów Polskich.

Po odjeździe pociągu przenieśliśmy swoje rzeczy pod wskazaną nam stacyjną wiatę. Jednak to jak długo będziemy czekać - i to przecież niemal na otwartym powietrzu - na kolejny transport nawet przedstawiciel ZPP nie potrafił nam choćby w przybliżeniu określić.

- Proszę czekać, aż zbierze się was cały transport - oznajmił tylko.

- A ile to jest cały transport - zapytał ni z tego, ni z owego Dziunio.

- No, jakieś tysiąc, półtora tysiąca ludzi.

- A jak długo to może trwać zanim zbierze się taka gromada ludzi - zagadnęła mamcia.

- Trudno powiedzieć. Może miesiąc. A może dwa - dodał po chwili zastanowienia.

Zgrabiałymi od zimna palcami przeliczyliśmy nasze rubelki. Było ich prawie 1500 i w żaden sposób nie chciało być więcej. A rubelki, wiadomo, jak wróbelki na dachu. Były i już ich nie ma.

Tu na stacji był wielki świat. Raz po raz podjeżdżały, prowadzone przeważnie przez kobiety, ciężarówki. Mijały nas z hukiem wypełnione wojskiem i sprzętem wojennym pociągi. Wszystko jechało na zachód. I wszyscy jechali na zachód. Być może wielu z tych żołnierzy, i to właśnie na tym sprzęcie wyzwałać będzie kolejne rubieże naszego kraju. Z kierunku przeciwnego jechały zatrzymując się na stacji pociągi sanitarne wypełnione rannymi. Wracali z piekła, wracali z tamtego świata. Do tych sanitarnych pociągów, podbiegają ubrane w waciaki choziajki. Wykrzykują, zachwalając swój towar: siemieczki, bliny, lepioszki, prostokwasza, mołoko, smietana, top-lonnoje masło, solonyje griby. Wielki świat. Zwariowany świat. Wciąż jeszcze niezrozumiały dla nas świat. Świat, z którym dotąd

nie mieliśmy do czynienia.

W jakimś zwałowisku śmieci i gruzów wyszukałem kilka cegieł. Marysia z Danką przyniosły trochę desek ze skrzynek. Za stacyjną wiatą roznieciliśmy ognisko między ustawionymi w dwóch rzędach jedna na drugiej cegłami. Mamcia ugotowała zacierkę. Zacierka ta była o wiele smaczniejsza niż bertnicka.

Pierwszą i kilkadziesiąt następnych nocy przespałem na obitym blachą kufrze. Mamcia z Danką, podobnie jak trójka Z. spały na podłodze. Z wielkim rozrzewnieniem wspominaliśmy zapluskwione - a jednak stosunkowo ciepłe - baraki w Tuleniu, zwłaszcza nasz pokój w Czegaszecie. Następnego dnia, 5 września obudziliśmy się skoro świt. Z zimna. Toteż zaraz znowu zapaliliśmy ognisko. I znowu było przyjemnie. I znowu było ciepło. Na stacji bierz kąpiatka ile dusza zapragnie. Tego ranka umyliśmy się po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni ciepłą wodą. Co za przyjemność, co za ulga. Po porannej toalecie pobiegłem na tołkuczkę - barachołkę, bazar. Zrobić rozeznanie. Sprzedać można było wszystko, tak po prostu od ręki. Zwłaszcza polskie rzeczy. Folklor. Prawdziwy folklor ówczesnych rosyjskich miast. Czego tam nie było. Pordzewiałe gwoździe, jakieś zmyślne wykonane z pudełek konserwowych naczynia, stare i nowe fufajki, spodnie wutowane, czapki-uszanki, walonki, eleganckie czapki uszyte ze skórek wiewiórek i soboli, nici do szycia, żarówki, śrubki i muterki, a nawet nieosiągalna lignina i wata, chinina, krople walerianowe, kawałki skóry i wojłok do zelowania walonek. Słowem można tu było kupić wszystko. Natomiast ceny różne. Zadziwiająco różne. W jednym miejscu bazaru jakiś chłopiec sprzedawał za rubla (oficjalna cena 5 kopiejek) stare gazety na skręty. W innym miejscu

takie same gazety kosztowały trzy ruble za sztukę. Prawdziwy wolny rynek! Ale wszystkie te oferowane do sprzedaży rzeczy i przedmioty nie interesowały mnie specjalnie. Mnie interesowała przede wszystkim żywność. A ceny jej były takie: Kilogram foremkowego czarnego chleba kosztował 100 rubli, kilogram ziemniaków - 30 rubli, szklanka prostokwaszy lub riażenki - 8 rubli, szklanka siemieczek - 5 rubli, litr mleka - 20 rubli. Amerykańskie konserwy rybne, tuszonka, mleko skondensowane od 50 do 100 rubli. Ponadto można było kupić słodkowodne ryby, mięso oraz bardzo podejrzanie wyglądającą kiełbasę. Choziajki proponowały również gorące, wyciągane spod fufajek ciepłe pierożki z różnym nadzieniem, kawałki pieczonego i gotowanego mięsa w cenie od pięciu do dwudziestu rubli za sztukę lub porcję. Cały ten dziwny handel odbywał się na "stojąco", najczęściej jednak na "chodząco". Każdy trzymał swój towar kurczowo w rękach. Obowiązywała zasada - najpierw pieniądze, a później towar. Może dlatego, że wśród sprzedających kręciło się sporo nastolatów. W tydzień później na tej samej barachołce obserwowałem działania młodzieżowych zorganizowanych grup przestępczych. Otaczali oni upatrzoną przez siebie ofiarę domagając się okupu lub żądając oddania im konkretnej rzeczy czy też przedmiotu, artykułu żywnościowego. Opornym wytrącali z rąk bańki, wrywali rzeczy przeznaczone do sprzedania, by po dokonaniu takiego lub podobnego czynu przestępczego rozpierzchnąć się i skryć w tłumie. Była to wyjątkowo zmyślnie i z całą bezwzględnością stosowana metoda na przeżycie, a może na życie w ogóle.

Rezygnując ze wszelkiego rodzaju "zbytków" tak na dobrą sprawę dysponowaliśmy pieniędzmi umożliwiającymi nam zakup 15 kilogramów chleba.

Pani Magdalena Z. poszła do więzienia na widzenie z mężem. Wróciła bardzo smutna. Nie chciała nic mówić.

Tego samego dnia po południu poszedłem ponownie na bazar. Tym razem z mamcią - kupić chleb i ziemniaki. Kupiłem również płacąc, po rublu 20 starych gazet, które jeszcze tego samego dnia sprzedałem po trzy ruble pasażerom pociągu osobowego. Byłem dumny. Zarobiłem wszak 40 rubli nie robiąc praktycznie nic.

Po naszym powrocie z tołkuczki pod stacyjną wiatę podjechała ciężarówka. Przywiozła sześć polskich rodzin, z Abakanu. Wśród nich była siedmioosobowa rodzina pana Wazimierza Karczewskiego. Składała się ona z pięciorga dzieci. Troje z nich urodziło się w podbuczackiej wsi. Krajanie. Dwoje z tych dzieci to "przychówek" syberyjski. Nigdy przed tym, ani nigdy po tym nie spotkałem się z taką sytuacją. Wszystkie, no prawie wszystkie polskie rodziny wracały w bardzo uszczuplonym składzie. Państwo Karczewscy zajęli miejsce pod stacyjną wiatą tuż koło nas i rodziny Z.

Następnego dnia poszliśmy z mamcią do miasta. Wszystkie sklepy przemysłowe były puste. Zaś przed sklepami spożywczymi tasiemcowe kolejki ludzi czekających na przewóz kartkowego chleba, i innych produktów żywnościowych. Dziwne miasto. Dziwny kraj. Na bazarze wybieraj, przebieraj. A tu w państwowych i spółdzielczych sklepach absolutne pustki. Szukaliśmy z mamcią przedstawicielstwa Związku Patriotów Polskich. Szukaliśmy pomocy... Chcieliśmy dostać kartki na chleb. Trafiliśmy wreszcie do gorsowietu. Tam dowiedzieliśmy się, że kartki na chleb wydają zakłady pracy. A przyjeźdząc i wriemienno prożiwajuszczim nie należy się nic. Nic bliższego nie mogliśmy się również dowiedzieć na temat ZPP. Ale na wszelki wypadek - kiedy urzędniczka dowiedziała się, że tatuś uszoł w armiju - dość

uprzejmie skierowała nas do siedziby czerwonego krzyża. Okazało się, że w tym samym budynku mieścił się urząd repatriacyjny kierowany przez ZPP. Tam otrzymaliśmy parę puszek mleka skondensowanego i kilka rybnych konserw. Wszystko amerykańskie. Takie samo mleko i takie same konserwy rybne widzieliśmy poprzedniego dnia na kańskiej barachołce. Ani odzieży, ani obuwia na razie nie ma. Oczekujemy na kolejny transport darów - powiedziała znakomicie ubrana i dobrze wyglądająca polska urzędniczka.

- Proszę się dowiadywać, jak tylko coś dostaniemy to przydzielimy. Pomożemy.

Chodziliśmy. Dowiadaliśmy się.

Na drugi dzień pani Magdalena poszła do urzędu ZPP prosić o pomoc. Wróciła z pustymi rękami.

Teraz już parę razy dziennie, jak tylko zatrzymywał się na stacji pociąg sanitarny, biegaliśmy wzdłuż składu sanitarnego. Dowiadaliśmy się czy nie wraca z frontu ranny nasz ojciec.

Na stacyjną werandę codziennie przybywało kilka, a niekiedy nawet kilkadziesiąt polskich rodzin. Przeważnie kobiety z dziećmi.

Któregoś dnia, wczesnym rankiem, koło werandy zatrzymały się dwie ciężarówki. Werbowano ludzi do zbioru ziemniaków w "pobliskim" kołchozie. Chętnych do tej roboty było wielu. Zbyt wielu. Tym bardziej, że przedsiębiorca obiecał zapłacić nam za pracę w naturze, tzn. ziemniakami. Podwójna radość. Przejazdźka samochodem i te wymarzone, wysnzione ziemniaki. Wdrapałem się tedy na kuzow, jako jeden z pierwszych. Oczywiście z solidnym workiem na ziemniaki. Wkrótce<sup>staliśmy</sup> na ciężarówce, jak przysłowiowe śledzie w beczce. Taka gratka. Te wykopki to dla wielu z nas prawdziwa łaska niebios.

Ale żeby płacić za zwyczajną nieskomplikowaną pracę ziemniakami! Nie mogłem tego w żaden sposób zrozumieć. Równocześnie przypomniałem sobie słowa tatusia odchodzącego na front: "Unikajcie i strzeżcie jak ognia pracy w kołchozie". Ale tym słowom tatusia wtórowało ulubione powiedzenie mamci: "Nic, co warte jest posiadania, nie można zdobyć bez ryzyka".

No, właśnie. Ale ja przecież niczym nie ryzykowałem...

Ciężarówka niemiłosiernie podskakiwała na wybojach. Silnik warczał, prychał, strzelał. Z chłodnicy buchały kłęby pary. Mijaliśmy kolejne połacie ziemi, jakieś laski, a kołchozu, ani pół ziemniaczanych, ani słychu, ani widu. Ale ostatecznie, czy to takie ważne! Ale i oto wieś. Typowe syberyjskie zabudowania. Obszerne kołchozowe podwórko. Bierzemy przygotowane wcześniej wiadra i koszyki. Idziemy zwartym tłumem na kartoflisko. Widzimy gęstą zwiędniętą trawę, łąkę solidnie przymrożone nocnymi przymrozkami. U nas w Bertnikach, w tym czasie ziemniaki już dawno leżały w piwnicy bądź były zakopcowane. A tu?

Tu jest do zebrania kilkadziesiąt hektarów ziemniaków. Zaczynamy rozkopywać palcami piaszczystą ziemię i wyłuskiwać z niej maciupeńkie bulwy. Już po paru minutach tej beznadziejnej pracy przypominają mi się słowa ojca: "Kołchoz naprasnyj trud". Ale nie, nie jest tak źle. Oto jedzie jeden, a za nim drugi i trzeci ciągnik kołowy ChTZ (Charkowskiy Traktornyj Zawod). Ciągną za sobą kopaczki. Jednak mają wspaniałą technikę. W Bertnikach przecież i my i wszyscy nasi sąsiedzi kopali ziemniaki przeważnie widłami lub motyką. Ale jakie ziemniaki. Można je było układać na ręce, jak drwa do palenia...

Ziemniaki zbieramy prawie do zmroku. Fiekliśmy je również w

paru ogniskach. Obżeraliśmy się nimi, jak nigdy dotąd w ostatnich czterech latach. Ale i oto sygnał do zakończenia pracy. Nadszedł czas zapłaty za naszą pracę.

- Bieritie kartoszki skolko chotitie. Skolko uniesiotie!

Znakomicie. Wspaniale. Wsypuję do worka trzy czubate wiadra ziemniaków. Uginam się pod ich ciężarem. Ale to nic, żeby ich tylko donieść do zabudowań kołchozowych. Będzie co jeść, myślę. Tu przed kołchozową kantoną dowiadujemy się, że do Kańska będziemy wracać pieszo. Odsypuję więc od razu co najmniej wiadro ziemniaków z worka. I jeszcze parę razy zmniejszam ciężar po drodze o kilka kilogramów. Tak to dowlekliśmy się pod naszą kolejową wiatę grubo po północy, pokonując ponad 15 kilometrów. W rezultacie doniosłem do "naszego domu" nie więcej niż 5 kilogramów kartofli. Ot i zarobek: "Kołchoz naprasnyj trud". Daliśmy się nabrać raz, gdyż następnego dnia nie było już chętnych do wyjazdu na wykopki...

Ponownie idziemy z mamcią do urzędu repatriacyjnego. Ta sama paniusia co przed tygodniem rozkłada bezradnie ręce. - Transport z darami amerykańskimi wciąż jeszcze nie nadszedł - mówi.

Wobec takiego dictum pytam kiedy możemy liczyć na wyjazd do Polski.

- Chyba dopiero wtedy, jak władze radzieckie podstawią wagony. A z wagonami są olbrzymie kłopoty. Przecież toczy się wojna

- Zgoda. O tym doskonale wiemy. Ale trudno przecież mieszkać - praktycznie - pod gołym niebem. Przecież, jak pani zapewne wie - mówi tym razem mamcia - są już solidne przymrozki, pada śnieg. Robi się coraz zimniej. A z odzieżą, jak pani widzi - pokazując na mnie i na siebie - jest gorzej niż źle.

- Ale ja naprawdę nie mogę państwu pomóc - powiedziała wyraź-



nie podniecona i może nawet znudzona tą rozmową paniusia.

Tej paniusi jest tu, nawet tak na oko, zupełnie dobrze. Może nawet lepiej niż było jej kiedyś w Polsce.

Jedynym ratunkiem dla nas - zrozumiałem - jest teraz bazar oraz są transporty z różnym żywnościowym dobrem. Innego wyjścia nie widziałem.

Kupuję więc, płacąc po rublu gazety na barachołce, by później sprzedać je drożej. A te, które ja nie zdołałem sprzedać na barachołce rozprowadzała Danka wśród pasażerów pociągów osobowych oraz żołnierzy, tych jadących na wschód bądź zachód. W pociągach osobowych i transportach wojskowych ludzie ciągle dopytywali się o samosiejkę i machorkę - tytoń do palenia w ogóle. Rozszerzyłem więc zakupy na bazarze właśnie o machorkę i samosiejkę. Narazie, na próbę, kupując dwadzieścia opakowań machorki. Danka sprzedawała je w godzinę pasażerom pociągów. Zarabiamy na gazetach i tytoniu przeciętnie 100 - 150 robli dziennie. Wystarcza tego codziennie na bochenek chleba, kilkanaście gramów masła, na jedną-dwie szklanki ziaren z szyszek cedrowych. Niekiedy to menu zmieniamy mlekiem, bądź prostokwaszą, pierożkami nadziewanymi jakimś podejrzany mięsem.

Niemal każdego dnia, tuż po powrocie z barachołki, przedzieram się na stację towarową, penetrować otwarte wagony. Sprawa jest niezwykle trudna, a nawet niebezpieczna. Bowiem wszystkie składy towarowe, a także pociągi osobowe są dość szczelnie obsadzone i pilnowane przez żołnierzy służby wartowniczej. Przedzieram się więc pod składami towarowymi, wyczekując na dogodny moment, aby przeskoczyć do interesującego mnie pociągu i wdrapać się między buforami wagonów

i sprawdzałem co zawierają ich pojemne wnętrza. Raz trafiam na wagony załadowane kapustą, innym razem na zmrożone ziemniaki, brukiew, buraki pastewne. Innym razem - na zbryloną sól. Po tę ostatnią wracałem kilka razy. Z mamcią i Hanką. W ciągu dwóch godzin przynieśliśmy ponad czterdzieści kilogramów soli! Był to olbrzymi majątek. Sól tę mogliśmy wszak wymienić na najbardziej wyszukaną żywność, obuwie, odzież, nie mówiąc już o pieniądzach. Cztery kilogramy tej zbrylonej ciemnej soli wymieniłem na barachołce na stareńkie czarne walonki, w których po podzelowaniu kawałkami wojsłoku paradowałem jeszcze prawie rok w Potasznikach koło Milicza. Ale kradzież - bo jak to inaczej nazwać - z wagonów w pojedynkę była, jak już wspomniałem, zajęciem bardzo niebezpiecznym. Trzeba było zorganizować się, nie działać w pojedynkę. Należało "atakować" pociąg w paru miejscach równocześnie, by w ten sposób utrudnić pracę żołnierzy, odwrócić ich uwagę. A ściślej mówiąc trzeba było zwrócić uwagę na siebie, by w tym samym czasie i w innym miejscu tego samego pociągu - inni mogli dość bezpiecznie zabierać żywność, towary, które można było zatrzymać dla siebie, a przede wszystkim spieniężyć. Wkrótce udało mi się zorganizować sporą gromadkę polskich chłopaków, którzy również kradli z wagonów w pojedynkę, przede wszystkim żywność. Pierwszą taką zorganizowaną złodziejską grupkę tworzyli: Józek i Wiesiek K., Zbyszek G., Leszek B., bracia Staszek i Kazik S. (jeden z nich w czasach peerelu pełnił funkcję wiceministra, drugi był wysokim urzędnikiem w Komendzie Głównej MO) oraz paru jeszcze chłopaków, których imion i nazwisk nie pamiętam. Ograbialiśmy z wielkim skutkiem towarowe pociągi z wszelkiego rodzaju dobra, które to dobro jedni zrzucali z wagonów, a inni taszczyli pod wagonami, uciekając z nim w bezpieczne miejsce. Po uspo-

kojeniu się sytuacji, jeżeli zorientowaliśmy się, że nikt nas nie śledzi, łupy te znosiliśmy pod stacyjną wiatę. I tam pod wiatę dzieliliśmy się nimi solidarnie. Któregoś dnia, kiedy to sprzedawałem piękne głowy przymrożonej kapusty i sól podeszło do mnie - podobnie jak ja obdartych i wynędzniałych - czterech rosyjskich chłopaków. Zażądali, by oddać im posiadany towar. Wiedziałem, że nie mogło to dla mnie skończyć się dobrze. Widziałem ich w akcji. W odniesieniu do opornych stosowali żyłki i brzytwy. Cięli po prostu po twarzach. Uderzali ukrytymi w rękawach umocowanymi na gumowych paskach ołowianymi ciężarkami. Powiedziałem więc im, że jestem taki sam jak i oni, że mam na utrzymaniu rodzinę. Powiedziałem również w pośpiechu skąd mam kapustę i sól, i że sól i kapustę, a także wiele innych cennych artykułów żywnościowych i rzeczy można zdobyć w odpowiednio dużej grupie z wagonów kolejowych. Powiedziałem także lojalnie, że wagony są dość dobrze pilnowane. Ale w dużej grupie nie powinno być żadnych kłopotów z ich zdobyciem. W taki oto niespodziewany dla mnie sposób zapoznałem się z bardzo liczną - jak się okazało później - grupą rosyjskich bezpizornych i żulików. Bez specjalnego wahania przyłączyli się do nas - Polaków. Praktycznie, jak ta ponad dwudziestoosobowa wataha obdartusów - przygotowanych na wszystko - upatrzyła sobie jakiś towarowy pociąg to pilnujący żołnierze nie mieli żadnych szans, by upilnować w nienaruszonym stanie powierzone im do pilnowania mienie państwowe. Coraz częściej na stacji towarowej rozlegały się pojedyncze i serie strzałów. Strzelano do nas, a może tylko dla postrachu w powietrzu. Nie wiem. Wiem natomiast, że między składami pociągów czuliśmy się bezpiecznie. Tak przynajmniej wówczas mi się wydawało. I jeszcze jedna ewidentna korzyść z tej złodziejskiej polsko

-sowieckiej przyjaźni. Można było odtąd prowadzić handel bazarowy bez obaw, że ktoś odbierze towar, czy też każe sobie płacić frycowe. Odtąd bowiem ubezpieczaliśmy się nawzajem. Kilkanaście razy udało mi się uciec, i to w ostatniej chwili, przed kręcącymi się po barachołce ubranymi po cywilnemu lub w mundurach milicjantami. Nie ukrywam, że większość sprzedawanych rzeczy i żywności, jak mówili mi rosyjscy biezprizornyje i złodzieje, pochodziła z kradzieży bądź też z nielegalnego źródła.

W tym czasie, tzn. przy końcu września 1944 roku przed sądem rejonowym w Kańsku toczył się proces przeciwko kilku drużynom parowozowym. Maszyniści i ich pomocnicy zabierali - oczywiście - nielegalnie przeważnie kobiety, które chciały, a ściślej musiały ze względu na różne sytuacje życiowe opuścić miejsce swojego stałego pobytu. Przypomnę, że bez specjalnego zezwolenia władz NKWD wyjechać nigdzie nie można było. Dlatego też w sytuacjach koniecznych życiowo, można było na jakimś ostrym zakręcie torów kolejowych wskoczyć do pociągu towarowego, bądź za odpowiednią opłatą dostać się na lokomotywę i odbyć podróż w tendrze parowozu. I to było normalne. Nienormalne, a ściślej zbrodnicze było to, że co bardziej zasobnym, lepiej ubranym kobietom podczas podróży odbierano przewożone rzeczy i prowiant. Rozebrane do naga kobiety niekiedy gwałcono, a następnie wyrzucano z pędzącego pociągu lub po prostu wrzucano do paleniska. Cała ta makabryczna historia wydała się przypadkowo, właśnie na barachołce. Córka jednej z tych nieszczęśniczek kupiła na tółkuczce walonki swojej matki, które w sposób charakterystyczny były oznakowane. Córka ta kilkanaście dni wcześniej odprawiała swoją matkę, jeżeli dobrze pamiętam do Nowosybirsk, do którego nigdy nie dojechała. W każdym razie o zaistniałej sytuacji i swoich podejrze-

niach córka powiadomiła władze milicyjne. Z różnych względów wątku tego nie chcę w tym miejscu rozwijać, bowiem wybiega on zbyt daleko poza moje i mojej rodziny przeżycia syberyjskie.

Obrazuje jednak wątek ten sytuację ludzi tam zamieszkałych. W tym również nas Polaków. Każda ucieczka, czy choćby zboczenie z wytyczonej tropy w tajdze mogły się skończyć dla śmiałka całkowitym niepowodzeniem lub po prostu śmiercią. Wszystkich tych maszynistów oraz ich pomocników skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie.

Z drugą nie mniej makabryczną historią zapoznali mnie moi rosyjscy bazarowi koledzy. Opowiedzieli, a ściślej przestrzegali mnie przed zawieraniem wszelkiego rodzaju znajomości z dorosłymi ludźmi. Według nich w Kańsku w tym czasie grasowała druga grupa ludzi-zwyrodnialców, którzy cukierkami bądź innymi nieosiągalnymi łakociami zwabiali dzieci obojga płci w jakieś bliżej nieokreślone miejsce. I tam, w tym nieokreślonym miejscu, zabijali łatwowiernych i wyrabiali z ich mięsa kiełbasy i farsz do pierożków. Przestrzegali, aby na bazarze nie kupować żadnego mięsa, a zwłaszcza artykułów żywnościowych z nadzieniem mięsnym. Czy rzeczywiście tak było. Nie wiem. Ale znając i doznając do czego może doprowadzić głód. Nie wykluczam, że tak mogło być.

W tym czasie i to jest zrozumiałe - utraciliśmy na dobre kontakt listowy z tatusiem. Nie wiedzieliśmy o nim nic. Absolutnie nic. Dopiero po wojnie, kiedy my tu w Kańsku zmagaliśmy się o przeżycie - on wraz z plutonem fizylierów został skierowany z praskiego brzegu Wisły na Czerniaków. Tam, na Czerniakowie Niemcy podpalili jakieś składy ze żrącymi środkami chemicznymi. Wielu ludzi potruło

się; wielu zostało zastrzelonych. Wraz z sześcioma niedobitkami tatuś prawie tydzień przesiedział w rumowiskach Mostu Kerbedzia. Wrócili szczęśliwie na Pragę. Ale wojsko polskie w międzyczasie zostało wycofane na tyły. Na odpoczynek i na uzupełnienie strat. Taki był oficjalny powód wycofania Wojska Polskiego spod Warszawy. Dogorywało Powstanie Warszawskie.

Nam, Polakom, "mieszkającym" od ponad pięciu tygodni pod kańską wiatą kolejową niewiele brakowało do tego, by przemienić się w lodowe sople. Po prostu od ostatnich dni września - obok systematycznego niedojadania - najbardziej dawały się nam we znaki ujemne temperatury. Toteż od ponad miesiąca nie rozbieraliśmy się na noc w ogóle. Na dodatek bez wyjątku wszyscy, tzn. ponad pięćset ludzi, którzy zjechali do Kańska byliśmy przeziębieni, okropnie brudni, zawszeni i niewyspani. Wielu Polaków spędzało noc przy palących się ogniskach. Wszyscy czekaliśmy na zbawienie, ale ono nie nadchodziło. Nie było też obiecanych nam niemal codziennie wagonów. Nie odnosiły również skutku systematyczne, codzienne interwencje w urzędzie repatriacyjnym. Nie nadchodziła także anonsowana każdego dnia przez ZPP amerykańska pomoc żywnościowa i odzieżowa. Jednocześnie daremnie czekaliśmy na odpowiedź na nasz list skierowany do Wandy Wasilewskiej, a mówiący o naszej sytuacji.

Coraz więcej ludzi chorowało na różnego rodzaju choroby wywołane wychłodzeniem organizmu oraz ciągłym niedojadaniem. Ponad piętnaście osób z powodu zapalenia płuc umieszczono w dwóch kańskich szpitalach. I chociaż lekarze starali się jak tylko mogli, by uratować wszystkim im życie, to jednak brak nawet podstawowych leków uniemożliwił leczenie zgodne ze sztuką lekarską. Sześciu Polaków po kilkudniowym pobycie w szpitalu zmarło. Umierali stosunkowo

młodzi. Umierała więc jeszcze doskonała, na pół niewolnicza siła robocza. Myślę, że fakt ten mógł zaniepokoić władze sowieckie, a także pobudził do lepszego działania przedstawicieli ZPP. Skłonił władze ZPP do bardziej energiczniejszego i skuteczniejszego działania. Raptem znalazły się jakieś koce, solidnie podniszczone amerykańskie marynarskie mundury. Otrzymaliśmy również po dwie puszki amerykańskiej tuszonki na osobę. Dziwnym trafem, że te amerykańskie dobra, takie jak konserwy, koce, mundury marynarskie, a także artykuły żywnościowe: mleko skondensowane, czekoladę, prawdziwą kawę, herbatę można było kupić od Rosjan bez specjalnego kłopotu na kańskiej barachołce. Ale ceny na te i inne rzeczy i artykuły przekraczały nasze możliwości finansowe. Nie wiem skąd i jak te artykuły żywnościowe, te rozmaite rzeczy i obuwie trafiało do rąk rosyjskich spekulantów. Może Rosjanie byli równolegle z nami, Polakami zaopatrywani w te niezbędne do przeżycia dary amerykańskie? Czy też dobra te trafiały do rąk Rosjan w im tylko wiadomy nielegalny sposób z polskich magazynów. Nie wiem. Nikogo za rękę nie złapałem. Tak czy inaczej było, faktem jest, że sprawa amerykańskich darów nosiła niewątpliwie znamiona przestępczości. Nie wiadomo jedynie tylko: czy przestępczości uprawianej przez Rosjan, czy też po prostu przez Polaków. Najprawdopodobniej jednak była to polsko-sowiecka kooperacja handlowa.

Nie pamiętam już kto w pierwszej dekadzie października pod kańską wiatą kolejową rozpowszechnił wiadomość, że do Polski nie pojedziemy. Że zostaniemy przewiezieni chwilowo do Krasnojarska lub do Irkutska. A stamtąd samolotami transportowymi do Kalifornii w USA. Żeby dó USA to jeszcze można było zrozumieć, uwierzyć. Ale ta ścisłość amerykańskiego stanu budziła osobiście we mnie odczucie

nieprawdopodobieństwa. Wiadomość ta kojarzyła mi się z cudowną, zbyt cudowną bajką dla grzecznych dzieci. Ale w tych fantastycznych dla nas wiadomościach i oczekujących nas perspektywach mogła być odrobina prawdy. Bowiem wiele lat po wojnie kiedy rozmawiałem z niegdysiejszymi Sybirakami i "kazachstańczykami" od wielu słyszałem, że mieli być oni przetransportowani do Ameryki Północnej.

W pierwszych dniach drugiej dekady października 1944 roku postawiono wagony. Czekaliśmy na nie sześć tygodni. Takie same wagony, jak te polskie, którymi wieziono nas w lutym 1940 roku, i takie same jak te rosyjskie, na które dwa dni później "przetransportowano" nas na byłej granicznej stacji w Husiatynie. Z podwójnymi po obu stronach narami, żeliwnym piecykiem pośrodku, z otworem nad kołem do załatwiania potrzeb fizjologicznych, mycia się. Tyle, że tym razem z nieokrętowanymi drutem kolczastym klapami okiennymi, z przesuwanymi i otwieranymi o dowolnym czasie dnia i nocy drzwiami. Nie zmieniła się ~~się~~ jedynie liczba ludzi "pakowanych" do jednego wagonu. To znaczy: 40 do zwykłego wagonu - 80 do pullmanowskiego. I tym razem zajmujemy miejsce na górnych narach, obok siedmioosobowej rodziny pana Kazimierza Karczewskiego. Pod nami usadowiła się rodzina Z. i pięcioosobowa rodzina państwa Kurczabów. Po przeciwległej stronie wagonu wybrała sobie miejsce pani S. z dwoma synami: Kazikiem i Staszkiem, ulokowało się jeszcze parę innych rodzin bez mężów. W sumie w naszym wagonie znalazły się 42 osoby.

Jest zimno. Bardzo zimno. Od dwóch tygodni i w dzień, i w nocy temperatury były ujemne. Sięgały grubo poniżej zera. Po załadowaniu się wyskakuję z chłopakami z wagonu. Bez trudności odnajdujemy długi skład z węglem. Jest jak zwykle pilnowany przez



żołnierzy służby wartowniczej. Ale mamy dużą, zbyt dużą wprawę, żeby stanowili dla nas przeszkodę. Wkrótce gromadzimy koło pieca spory zapas węgla. Znosimy również kawałki desek i jakieś skrzynki na rozpałkę. Robimy również spory zapas wody. Pan Kazimierz karczowski to jedyny w wagonie mężczyzna w sile wielu, nie licząc Staszka S., który przed wojną zdążył uzyskać świadectwo małej matry. Toteż pan Kazimierz zabiera się żwawo za palenie w piecyku. Ma bowiem przecież dwójkę syberyjskich niemowlaków.

Następnego dnia o świcie transport rusza. Do Krasnojarska jedziemy prawie dobę, chociaż pociąg pospieszny odległość Kańsk-Krasnojarsk pokonuje w niecałe pięć godzin. Ciągłe przepuszczamy pociągi wojskowe. Ale czy to jest ważne. Najważniejsze, że wracamy do Polski, a może stąd, z Krasnojarska polecimy do Ameryki? Ważne jest, że żyjemy. Że w wagonie jest ciepło i przytulnie. Że mamy spory zapas węgla i wody. Na stacji towarowej w Krasnojarsku stoimy kilka godzin. Plądrujemy pobliskie wagony towarowe, żeby zdobyć coś do żarcia, a może nawet coś do sprzedania. Wracamy z pustymi rękami. Po południu, drugiego dnia od momentu wyjazdu z Kańska nasz pociąg rusza w dalszą drogę. Po kilku minutach jazdy przejeżdżamy most na Jeniseju. Pociąg wlecze się jeszcze parę kilometrów i zatrzymuje się znowu. Ponownie stoimy. Już ponad godzinę. Ale, cóż to, odczepiają z naszego składu lokomotywę. Znak to, że tym razem postój będzie trwał dłużej. A może, myślę, zawiozą nas stąd na lotnisko? Ale nie, bo doczepiają lokomotywę manewrową. Przesławiają nas, tzn. dziesięć wagonów na pierwszy tor. Pozostałe zaś, tzn. dwadzieścia pięć wagonów odjeżdża w nieznane. Do naszych wagonów podszedł, przedstawiając się, przedstawiciel Zarządu Obwodowego ZPP w Krasnojarsku. Otrzymujemy polecenie opuszczenia wagonów wraz z rzeczami. Jakiś mężczyzna na całe gardło wrzeszczy: Ameryka!

Jedziemy do Ameryki! Myślę sobie tak teraz, że może miał rację autor słów, które gdzieś niedawno usłyszałem, że kobiety bez towarzysztwa mężczyzn więdną, a mężczyźni bez kobiet głupieją. Ale kobiet było przecież "skolko ugodno". Prawda, bardzo przywiędniętych. Jednak kobiet.

A może jednak, zastanawiam się, przetransportują nas do Amerykii. Jednak przedstawiciel ZPP na zadane mu na<sup>ten</sup> temat pytanie udzielił wymijającej odpowiedzi. Może i on - było nie było - przedstawiciel wielkiej syberyjskiej polskiej władzy nie chciał, a może nie mógł udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Tak czy owak, wszyscy byliśmy zadowoleni. Wierzyliśmy wszak święcie, że jeżeli już nie do Kalifornii, to na Alaskę pojedziemy na pewno. Byle było co jeść. Byle było w co ciepło się ubrać. Byle było gdzie po ludzku mieszkać. Skoro pani Kamili Sobieszczańskiej było tak dobrze w Brazylii to, nam w Ameryce nie może być gorzej. Tak wówczas myślałem; marząc o Ameryce. Z marzeń tych szybko powróciłem na ziemię

- Na razie zamieszkacie państwo w odległych o dwa kilometry stąd domach. Niestety, dość prymitywnych. Ale to długo nie potrwa - usłyszałem zdecydowany głos przedstawiciela ZPP.

Nie było sprawy. W oka mgnienia załadowaliśmy na bertnickie san-ki nasz kufer z pościelą i paroma jeszcze drobiazgami oraz puszkę po cukierkach. Byliśmy gotowi do drogi. Kufer co raz to ześlizgiwał się z sanek, ale i tak dotarliśmy do naszego, już ostatniego na Syberii domu, jako pierwsi.

Tym razem naszym domem na okres prawie dziesięciu dni miało się okazać pomieszczenie po jakimś<sup>ch</sup> najprawdopodobniej magazynach wojskowych, a może pomieszczeniach więziennych. Nie mam pewności co mogło się kiedyś tam znajdować. Bowiem cały teren otoczony był gru-

bym i wysokim murem z cegieł. Nad murem była płatanina drutu kolczastego. Na rogach i po bokach muru górowały wieżyczki strażnicze. Wjechaliśmy sankami przez otwartą szeroką bramę, wykonaną z grubych desek. Wszystkie pomieszczenia były otwarte. Wybraliśmy pierwszą salę, położoną najbliżej bramy. Wszystkie sale-budynki były bardzo niskie, nie przekraczały dwóch metrów wysokości, ściany miały grube, zbudowane z cegieł. Posadzki zaś cementowe. Oprócz dwóch żeliwnych prostokątnych pieców nie było żadnego innego sprzętu. Ściany pełne jakichś bardzo niewyraźnych napisów i dat, a maleńkie zakratowane okienka pokryte grubą warstwą szronu. Ale w porównaniu z kańską wiatą, było tam zupełnie znośnie. Przede wszystkim dlatego, że nie sypał się nam na głowę śnieg, że nie hulał wiatr ze wszystkich stron. Pomieszczenia stopniowo zapełniały się ludźmi. Każdy z nas, ale już na własną rękę poszukiwał dla siebie i swojej rodziny kawałków desek, kartonów na posłanie. Po godzinie od ludzkich oddechów szron na ścianach i na suficie zamienił się w mokrą szklistą warstewkę lodu. A jeszcze później - kiedy zapalono w piecach - ze ścian i sufitu zaczęła kapać, a następnie obficie spływać woda. Ale według słów przedstawiciela ZPP wiedzieliśmy, że mieszkać będziemy tu niedługo. Jak żyliśmy tu? Prawie normalnie. Ja np. codziennie z kolegami jeździłem na krasnojarską barachołkę; handlowałem starymi gazetami i machorką. "Penetrowaliśmy" także towarowe wagony, z których prawie zawsze można było coś ukraść do jedzenia, sprzedania, wymiany...

Na trzeci dzień naszego tu pobytu otrzymaliśmy po dwie rybne amerykańskie konserwy oraz po jednej tuszonce na osobę. Dzieci do lat dziesięciu otrzymały dodatkowo po trzy puszcзки skondensowanego mleka, niewielką ilość tłuszczu oraz cukier. Czekaliśmy na wy-

jazd do Ameryki, do której w linii prostej mieliśmy o wiele bliżej niż do naszego bertnickiego domu. Po prostu każdy zniewolony człowiek - nawet najbardziej odporny psychicznie - ma zawsze zamęt i mętlik w głowie. A ten zamęt, i ten mętlik, i ta niepewność jutra towarzyszyła nam całymi latami. Towarzyszyć mi już chyba będzie do końca moich dni. Ktoś zniewolony, zaszczuty, a do tego jeszcze ciągle głodny, chwyta się najprzeróżniejszych, niegodnych miana człowieka czynów. Taki człowiek upodabnia się do drapieżnego zwierzęcia żyjącego na swobodzie. Człowiek zniewolony i głodny - pewnie nigdy - nie jest do końca uczciwy w swoich codziennych poczynaniach. Człowiek, a zwłaszcza dziecko, które nie zaznało radości dzieciństwa nie poddaje się samokontroli w różnych życiowych sytuacjach. A my, tzn. nasza rodzina poczynając od 17 września 1939 roku żyliśmy najpierw w ciągłym strachu, w ciągłym stresie, a nieco później wegetowaliśmy już ponad pięć lat. Ciągle na pograniczu życia i śmierci, ciągle z dnia na dzień. Jednak zawsze z nikłą ~~nadzieją~~ iskierką nadziei, że może jutro, a może pojutrze będzie lepiej; będzie normalniej.

Tymczasem podtrzymywały nasze wciąż tłące się życie lądujące i startujące samoloty z odległego zaledwie o dwa kilometry od "naszych" domów lotniska. Te transportowe i pasażerskie samoloty mogły zmienić nasze życie na inne, normalniejsze, po prostu na bardziej ludzkie. Mamcia z Danką pod moją nieobecność, przywiozły na sankach dwa worki wiór z pobliskiej stolarni. Z wsześnieij przyniesionych skrzynek i desek - po odsunięciu kufra od ściany zbudowały stosunkowo wygodny "tapczan". Na tym "tapczanie" rozplantowały wióry. Powstało w ten sposób dość wygodne legowisko. Teraz już we trójkę

spaliśmy na nim, ogrzewając się w nocy wzajemnie.

Temperatura na zewnątrz wciąż jeszcze nie spadała poniżej 10°C. Doprawdy, dziecinna temperatura.

Jak codziennie, poszedłem z kolegami na godzinę 9-tą na stację, by pojechać na krasnojarską barachołkę, z której to barachołki wracaliśmy stosunkowo późno. I nie zawsze razem. Tego dnia, tzn. 28 października wróciłem z targu sam. Stosunkowo wcześniej. Na stacji zobaczyłem kilkanaście towarowych wagonów, rzecz w zasadzie normalna. Ale w wagonach byli Polacy. Nasi rodacy. Znajomi Polacy. Przed jednym z wagonów dostrzegłem mamcię i Dankę. Obydwie były bardzo zdenerwowane i zaniepokojone moją nieobecnością. A i ja musiałem mieć, delikatnie mówiąc, minę zdziwioną i głupią. Okazało się, że godzinę po naszym wyjściu na bazar wszyscy otrzymali polecenie "załadowania się" do wagonów. Jakby o tym fakcie nie można było uprzedzić, powiadomić przynajmniej dzień wcześniej. Ale tu panującym, w tym wówczas systemie zainteresowani dowiadywali się o swoich przyszłych losach zawsze jako ostatni.

Skład "pasażerów" naszego wagonu był dokładnie taki sam, jak wagonu na trasie Kańsk-Krasnojarsk. Brakowało jedynie, drobiazg, braci Kazika i Staszka S., którzy wciąż jeszcze nie wrócili z Krasnojarskiej barachołki. Dlatego właśnie ich matka pani Ewa S. co raz przebiegała wzdłuż wagonów. Dopytywała się o swoich synów. Biegała parę razy do dyspozytora ruchu, by ten wstrzymał odprawę naszego składu. Ale była ona - jak okazało się później - nie jedyną matką, która oczekiwała na swoje handlujące w Krasnojarsku pociechy. Czas odjazdu pociągu przeciągał się już o ponad godzinę. I wciąż jeszcze brakowało paru chłopaków. Te biedne, roztrzęsione i zdenerwowane kobiety nie bardzo wiedziały co robić. Czy jechać,

czy też po prostu wysiąść z rzeczami. I czekać. A czekać trzeba by było po prostu do czasu sformowania następnego pociągu z Polakami. Ale czy taki pociąg w najbliższym czasie będzie w ogóle organizowany i ewentualnie kiedy nikt z władz ZPP, ani z władz sowieckich nie wiedział. Przedstawiciel ZPP obiecał, że będzie oczekiwał na chłopców, choćby do rana, dopóki "zguby" bazarowe nie wrócą. Zapewniał również, że załatwi chłopakom bilety i przepustki na pociąg pospieszny do Nowosybirsk. Że na pewno dojadą oni przed nami. Że znać będą numer naszego transportu. Że tam w Nowosybirsku bez żadnych kłopotów nas odszukają. Nieco uspokojone, a może pogodzone z losem kobiety wyrażają zgodę na propozycję przedstawiciela ZPP.

Kilkanaście minut później transport rusza. Po ośmiu godzinach jazdy w Aczyńsku do naszego transportu doczepiają jeszcze 20 dodatkowych wagonów z Polakami. Ta sama sytuacja powtarza się na stacji Anżerskaja. Znowu doczepiają kilkanaście wagonów z Polakami. Co jakiś czas otwieram klapę okienną. Piekielnie wieje. Ale oglądam wciąż z lubością syberyjskie pejzaże. Wciąż widzę w dużej odległości od torów kolejowych wielowiekową tajgę, która im bliżej linii żelaznej rzędzie, przechodzi w sosnowy, a niekiedy brzozy młodnik. Innym razem całymi kilometrami ciągnie się zwarty las brzozy. Całkiem inny niż polski. Brzozy, podobnie zresztą jak w Tuleniu i Czegaszecie - są wyjątkowo wysokie, smukłe, proste, a tuż przy samej ziemi nieproporcjonalnie bardzo grube. Przypominają jakieś dziwne korkociągi, które za wszelką ceną - by żyć - muszą jak najgłębiej wkręcić się i wwiercić w wieczną syberyjską zmarzlinę. I oziomki, i korony, i rozłożyste gałęzie tych syberyjskich piękności są śnieżnobiałe, zaś faktura kory tych pięknych drzew jest wyjątkowo gładka, jedwabista, niezwykle przyjemna w dotyku. Tę niezwykłą biel sy-

beryjskiej brzozy upiększają, delikatne, poprzeczne kilkucentymetrowej długości czarne kreski jakby naniesione dla ozdoby wprawna ręką mistrza pędzla. Niekiedy mijamy nieliczne, rozrzucone na dużej powierzchni syberyjskie posiołki. Domki drewniane, stare, zaniedbane, zapadłe głęboko w ziemię. Jedyne okiennice zamykane na noc w zimie, podobnie jak w poprzednich miejscach zamieszkania i w Kańsku i na przedmieściach Krasnojarska w znakomitym stanie. Koło, co bogatszych, izbuszek widzę przykryte białymi czapami śniegu sterły siana.

Po kilku dniach jazdy krajobraz stał się bardziej urozmaicony, pofałdowany. Ale wciąż widzimy takie same, bliźniaczo do siebie podobne, ubogie posiołki. Takie same, jak dwa dni wcześniej brzozowe lasy, takie same, bliźniaczo do siebie podobne sosnowe młodniki. Niekiedy na tych brzozach i sosnowych młodnikach widzę żerujące ptactwo. Przed a niekiedy za mijanymi stacjami widzę dziesiątki olbrzymich zbiorników z materiałami pędnymi. I tak aż do Uralu, i tak za Uralem. Na stacji Tajga znowu doczepiono do naszego transportu wagony z Polakami. Na ostrych zakrętach wychylam głowę przez okno wagonu. Nasz eszelon podobny jest w takich miejscach do długiego niezwiązanego końcami sznura naturalnych koralii. Próbuję liczyć wagony. Liczenie to raz zaczynam od lokomotywy, innym razem od ostatniego wagonu. Ale w miarę tego liczenia każdorazowo kiedy zbliżam się z tym liczeniem do naszego wagonu - one, tzn. wagony zlewają się w jednolitą czerwono-ceglastą wstęgę. Na jednym zakręcie doliczam się 60-ciu, na innym 70-ciu wagonów. Na czwartą dobę dojeżdżamy do Nowosybirska. Tu w Nowosybirsku już dobę oczekują na nas krasnojarskie zguby. Mieli sporo szczęścia, by nie powiedzieć przyjemności jechać pospiesznym pociągiem relacji Władywostok-Moskwa.

A więc byliśmy w podróży prawie 90 godzin. Pociąg pospieszny tę samą odległość pokonuje w ciągu około 13-tu godzin. Tak, ale my całymi godzinami staliśmy na bocznych torach stacji towarowych. Ciągłe przepuszczaliśmy, jadące niekiedy w odstępach kilku minut wojskowe eszelony z żołnierzami i sprzętem wojennym. Albo czekaliśmy po wiele godzin na doczepienie parowozu. Na każdej stacji po odczepieniu lokomotywy "wyskakiwałem" wraz z chłopakami plądrować wagony. Poszukiwać przede wszystkim węgla. Najpierw poszukiwaliśmy tego czarnego złota w pobliżu naszego pociągu, nieco później - oddalaliśmy się coraz bardziej. Ubezpieczając się wzajemnie, żeby nie zostać. Ale w miarę upływu czasu i to przestało być problemem. Nabieraliśmy coraz to większej wprawy. Odjazd naszego pociągu przestał być problemem. Pozostało jedynie zmartwienie naszych matek. Zawsze ci, którzy zostawali przypadkowo dołączali do transportu tego samego dnia lub po kilku dniach. I nie było sprawy. Ja zaledwie trzykrotnie, już po ruszeniu transportu - nie zdążyłem dobiec do swojego wagonu. Jechałem tedy innym. W ciągu całej podróży, tj. w ciągu ponad trzech tygodni interesowaliśmy się przede wszystkim opałem. Na odcinku Krasnojarsk-Nowosybirsk trzykrotnie trafiliśmy na platformy załadowane główkami zmrożonej kapusty. Nigdy dotąd i nigdy później nie jadłem codziennie tyle kapusty jak wówczas.

Na stacji towarowej w Nowosybirsku ( a stacje towarowe ciągną się całymi kilometrami) trafiliśmy na pociąg sanitarny. Pociąg, który był niewątpliwie pod ostrzałem nienieckiego lotnictwa. Weszliśmy do tego pociągu. Prawie wszystkie okna w wagonach były stłuczone. Dachy wszystkich bez wyjątku wagonów przypominały olbrzymie sita z różnej wielkości otworami. Na podłodze poniewierało się mnóstwo zniekształconych pocisków broni maszynowej. W niektórych miejs-



cach podłoga przestrzelona była na wylot, prawdopodobnie działkami pokładowymi. Na ścianach, na podłodze były obfite brunatno-brązowe plamy-zacieki; w wagonach poniewierały się różne podziurawione naczynia, kawałki brązowej waty, strzępy bandaży. Skład pociągu liczył piętnaście pullmanowskich wagonów. Wstrząsający, rodem z piekła, widok. Każdy z nas odbierał go inaczej. Wówczas, ja, pamiętam jakby rzecz miała miejsce wczoraj - myślałem o ojcu. Myślałem aż do bólu głowy. Już po powrocie do wagonu wielokrotnie rozmawialiśmy o tej potwornej zbrodni. Zastanawialiśmy się wiele razy po co tyle tysięcy kilometrów wleczono na tyły ten pociąg, aż do Nowosybirska. Na każdej kolejnej stacji, na której zatrzymywaliśmy się na peronach gromadziły się tłumy kobiet odzianych w watowane ubrania, walonki i grube ciepłe chusty, a niekiedy w przedziwne płachty na głowach. Każda z tych kobiet usiłowała coś sprzedać. Przeważnie żywność: mleko, prostokwaszę, riażenkę siemieczki, pierożki z różnym nadzieniem, rzadziej wódkę, kawałki mięsa pieczonego, bублиki, a nawet niekiedy chleb. Z artykułów nieżywnościowych: gazety na skręty, bardzo rzadko zapałki, oryginalną paczkowaną machorkę, samosiejkę. Wszystko bardzo drogie, za drogie na nasze kieszenie. Podczas całej naszej powrotnej drodze nie otrzymywaliśmy żadnego państwowego wiktu. Ale kto miał pieniądze mógł jako tako wyżywić się, kupując żywność u stacyjnych przekupek lub na bazarach. Takich ludzi jednak wśród nas nie było wielu. Większość rzeczy została wyprzedana bądź wymieniona w pierwszych dwóch latach po przyjeździe "na nieludzką ziemię". A te rzeczy, które ocalały były w kompletnych strzępach, lata na łacie i nadawała się wciąż jeszcze tylko na własny użytek.

Toteż przedmiotem prawie wszystkich rozmów była żywność. Całymi godzinami rozmawialiśmy w jaki sposób na najbliższym dłuższym

postoj, my, przeważnie dwunasto-czternastoletni chłopcy będziemy ją zdobywać na bazarach bądź z wagonów kolejowych. Ale te ostatnie świeciły coraz to większymi pustkami, a może po prostu nie mieliśmy szczęścia. W Omsku, któryś z chłopaków z naszego wagonu wypatrzył kilka otwartych platform kopiasto załadowanych ciemną zbryloną solą. Platformy te stały za ledwie cztery tory dalej od naszego składu. A więc należało przeczołgać się pod wagonami towarowymi tylko trzech pociągów. To już druga taka gradka zdarzyła się nam od momentu przyjazdu do Kańska. Kto żyw, a ściślej, kto jako tako był sprawny fizycznie wyruszył po tak cenną zdobycz. Wkrótce do chłopaków z naszego wagonu dołączyli chłopcy i dziewczęta oraz kilka dorosłych osób z innych wagonów. Po ten wymienialny artykuł na wszystko, wyruszył również pan Kazimierz Karczewski. Przytaszczył do wagonu bryłę soli ważącą chyba pięćdziesiąt kilogramów. Podczas wkładania tej bryły soli do wagonu potracił siedzącego na fajansowym nocniku swego najmłodszego syna. Nocnik, oczywiście, rozleciał się na drobne kawałki. My wszyscy śmiejemy się do rozpuku, a pani Karczewska urządza mężowi piekielną awanturę. Ale oto rozlegają się strzały. To strażnicy kolejowi odpędzają amatorów państwowego mienia. Zasuamy drzwi. Przestaje wreszcie trajkotać pani Karczewska. Chowamy przeniesioną sól pod posłaniem, pod dolnymi narami. Mijają minuty. Czekamy. Ale nic się nie dzieje. Nikt nie interesuje się nami i naszymi wagonami. Czekamy jak na zbawienie, kiedy doczepią parowóz. Już któryś z kolei raz wszystko rozłazi się po kościach.

Nie pomagają wielokrotne ostrzeżenia Rosjanina-komendanta pociągu kierowane pod naszym adresem. Przecież z czegoś i jakoś trzeba było żyć. On, komendant, jak mi się wydawało, rozumiał nas doskonale. Dawał niedwuznacznie do zrozumienia, żeby tylko nie dać się

złapać, gdyż wówczas nikt nie będzie w stanie nam pomóc. Przyłapanego na kradzieży - w zależności od wieku - oczekiwał obóz pracy przymusowej, wieloletnie więzienie, a w najlepszym wypadku dom poprawczy. Ale my, jak tylko niebezpieczeństwo mijało wracaliśmy do swego złodziejskiego procederu.

Największy strach, a nawet ogólną panikę przeżyliśmy jednak w Czelabińsku. Nasz pociąg zatrzymał się na drugim torze tuż naprzeciw długiego, wysokiego, zbudowanego z cegieł muru. Wierzch muru ochraniało kilka zwojów drutu kolczastego. Wzdłuż muru przechadzali się ubrani po cywilnemu mężczyźni. Za tym murem musiało być coś tajemnego, pilnie strzeżonego. Kilka razy ze Staszkiem S. podchodziliśmy do bardzo szerokiej żelaznej bramy. Po obu jej stronach umieszczone były budki strażnicze. Przed nimi przechadzali się żołnierze z przewieszonymi na karkach automatami. Do tego tak pilnie strzeżonego obiektu prowadziły dwa tory kolejowe. W pewnym momencie wrota się otworzyły. Słyszemy najpierw ciężko pracującą lokomotywę, widzę buchający z komina parowozu dym. A po chwili pierwsze lory. Na każdej lorze dwa czołgi z załogami. Liczę ze Staszkiem mijające nas wagony. Jest ich pięćdziesiąt. A więc sto czołgów T-34. Potężna siła ognia. Staszek S. tłumaczy mi, że tutaj przed wojną mieściła się znana fabryka traktorów gąsienicowych CzTZ (Czelabiński Traktornyj Zawod). Tego samego dnia widzieliśmy jeszcze dwukrotnie takie same wojenne eszelony, wyjeżdżające z tej fabryki...

Odczepiono naszą lokomotywę. Zanosiło się więc na dłuższy postój. Lecę więc na przystacyjny bazar. Może uda się kupić bochek chleba. A później niepomny ostrzeżeń naszego komendanta idę z kolegami plądrować wagony. Wzdłuż wielu pociągów przechadzają się wartownicy. Pod wagonami wyczekujemy na dogodny moment, by przeskoczyć "niebez-

pieczną strefę" i skryć się pod następnym pociągiem. Kilka razy mnie i moim kolegom zdarzało się, że pociąg niespodziewanie ruszał. Kładłem się wówczas między torami i spokojnie, bez paniki, czekałem aż nie minie mnie ostatni wagon. I powtarzam operację przechodzenia pod wagonami od nowa. I tak robili moi koledzy. Najstraszniejszy był pierwszy raz. Bałem się bardzo kiedy nade mną toczyły się wagony. Bałem się, że urwie się lub pęknie koło. Bałem się, że zostanę zgnieciony. Bałem się, że po minięciu ostatniego wagonu zostanę złapany przez żołnierza służby wartowniczej. Ale gdyby to ostatnie niebezpieczeństwo miało mi zagrozić gotów byłem w każdej chwili skoczyć między koła toczącego się pociągu. Przygotowany byłem na każdy desperacki czyn, byle nie dostać się w łapska strażnika.

Tego dnia, tu w Czelabińsku, w odległości pięciuset metrów od naszego pociągu wypatrzyłem trzy stojące kryte zaplombowane wagony. Mimo kilkakrotnych usiłowań nie udało mi się sięgnąć do drzwiowego rygla. Wróciłem do wagonu po chłopaków, braci S. Staszek zdecydował, że plomb lepiej nie ruszać, lecz do wagonu trzeba się dostać przez okienko. Utworzyliśmy trójkową piramidę. Tym razem rolę górnego pełnił brat Staszka, Kazik. Po chwili z wagonu zaczęły wylatywać worki. Ale jakie worki! Worki, jak oceniliśmy, uszyte z czystego lnu, materiału nadającego się na koszule, bieliznę osobistą, ręczniki, przescieradła. Prawdziwy skarb. Wyrzucane z wagonu worki chowaliśmy za kołami stojącego na sąsiednim torze pociągu. Kazik wyrzucił tych worków około setki. W dwóch turach, a co ważniejsze bez żadnych przeszkód przenieśliśmy nasze skarby do wagonu. Prawdziwe skarby, jak oceniły matki, starsze siostry, kobiety. Ale po tych ogólnych zachwytach przyszła zwyczajna zazdrość, a może nawet zachłanność.

Postąpiliśmy, jak mi się wówczas wydawało, uczciwie - daliśmy bowiem każdej rodzinie po dwa worki. Ale ludziom było tego mało. Zaczęli domagać się więcej. Chcieli wiedzieć, gdzie i w którym wagonie znajdują się workowe skarby. Staszek - jako najbardziej reolutny z nas - długo oponował. Nie chciał jak mówił "wywoływać wilka z lasu". Nie wiem jakim cudem o workach dowiedzieli się z sąsiedniego wagonu. A nieco później jeszcze ludzie z innych wagonów. Nie było wyjścia wraz z Kazikiem pokazaliśmy wagony. Działanie w tym wypadku w dużej, nerwowej, by nie powiedzieć zachłannej i chciwej grupie niczego dobrego nie wróżyło. Ludziska zerwali plomby w "naszym" workowym i w dwóch kolejnych wagonach. W tych nie spenetrowanych przez nas wagonach załadowane były skrzynki. A w skrzynkach główki maszyn do szycia! Jedni taszczyli przed sobą naręcze worków, inni dźwigali główki. W naszym wagonie "wylądowało" kolejnych kilkadziesiąt worków, dwie maszyny do szycia. To samo działo się w innych wagonach. Zaś ci, którzy z różnych powodów nie poszli po worki lub nie zostali nimi dodatkowo obdarowani zaczęli grozić, że powiedzą o wszystkim komendantowi pociągu. I ktoś rzeczywiście doniósł o tym. Chodził więc komendant od wagonu do wagonu i polecał odnieść na miejsce zabrane mienie państwowe.

Komendant mówił, że w wagonach przeprowadzona zostanie rewizja. Że te wagony, w których znajdują mienie państwowe zostaną odczepione, a winni kradzieży będą osądzeni zgodnie z prawami stanu wojennego. W wagonie naszym jedni domagali się, by worki oddać i po prostu przyznać się do dokonanego czynu. Inni byli temu przeciwni. Posłuchać tych pierwszych mogło znaczyć: żegnaj Polsko. Posłuchać tych drugich stwarzało jednak jakiś cień nadziei. Może jednak w całym pociągu liczącym około siedemdziesięciu wagonów przeprowadzać

rewizji jednak nie będą. Uradziliśmy, że należy posłać do komentanta pociągu delegację, że trzeba zebrać na wszelki wypadek trochę pieniędzy, że należy próbować sprawę zatuszować. - A co tu tatuszować - gardłowali nie bez racji przeciwnicy tego pomysłu, argumentując, że przecież worek do worka jest podobny. Ktoś inny jeszcze, bardziej strachliwy doradzał, by worki po prostu spalić. I to było, jak mi się wydaje po latach, najrozsądniejsze. Ale z rady tej skorzystało niewiele osób. Jedynie bracia Kazik i Staszek spalili kilkanaście worków. Pewnie tylko dlatego, że mieli ich najwięcej.

Po dwóch godzinach od chwili wykrycia workowego przestępstwa pociąg ruszył z Czelabińska - miasta worków i czółgów.

Po tych workowych naszych perypetiach uspokoiliśmy się na długo. Jedynie nadal penetrowaliśmy wagony z węglem. Na mijanych stacjach wymieniałem sól oraz worki z handlującymi kobietami na żywność.

Kiedy pociąg mijał Ural jechaliśmy niesamowicie powoli. Toteż prawie wszyscy tkwiliśmy przy drzwiach. Oglądaliśmy, być może ostatni raz w życiu, mijane szczyty górskie. Próbowaliśmy z dość dobrym zresztą skutkiem, odczytywać wykute w skałach na wysokości wzrostu człowieka napisy - nazwiska osób, tysiące nazwisk ludzi, którzy najprawdopodobniej przed dziesiątkami lat, budowali linię kolejową łączącą dwa kontynenty - Europę z Azją. Dużo. Bardzo dużo polskich nazwisk, dat, jakichś przypominających ludzi wizerunków. Nazwisk wykutych w skale łacińskimi literami i cyrylicą. To polscy zesłańcy. To polskimi m.in. rękami wykuwano w twardej uralskiej skale drogę dla przyszłych, nie tylko zresztą polskich zesłańców, więźniów politycznych, "pieriesieleńców". Sami sobie, przyszłym pokoleniom - aczkolwiek wciąż pod przymusem - zgotowaliśmy ten los.

A ilu z nas, Polaków, odbyło tę drogę tylko w jedną stronę? Według szacunkowych danych tylko 10 lutego 1940 roku wywiezino 220000 ludzi. Przeważnie z dawnych rejonów przygranicznych: kolonistów, pracowników leśnictwa, urzędników, nauczycieli. Po tej pierwszej deportacji odbyły się jeszcze trzy kolejne wywózki - aż do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Oprócz tych czterech masowych deportacji przeprowadzonych w okresie luty 1940 - czerwiec 1941 roku odbywały się systematyczne, zakrojone na mniejszą skalę, tzw. "przesiedlenia" i aresztowania z wyroków sądów kapturowych. Najczęściej jednak i bez tych sądów. I jeszcze, jakby tego było mało w ciągu kilku lat po wojnie wywożono przeważnie przeciwników władzy ludowej, ludzi tzw. "podziemia londyńskiego", żołnierzy AK, żołnierzy walczących niegdyś na zachodnich frontach działań wojennych, wywożono młodzież działającą w różnych prawicowych ugrupowaniach niepodległościowych. Ale gwoli ścisłości oprawcami akowców, "londyńczyków", "niepodległościowców", niepodległościowej młodzieży nie zawsze byli sowieci.

Według różnych źródeł i według różnych szacunków mogło nas znaleźć się na terenach byłego Związku Sowieckiego około dwóch milionów ludzi. Ilu z tych ludzi nie dojechało, nie doszło do miejsc przeznaczenia? Ilu z tych ludzi zmarło z głodu, zimna, nadludzkiej przymusowej pracy? Ilu z tych ludzi stanęło przed lufami plutonów egzekucyjnych? Ilu zmarło w celach więziennych? Ilu rozstrzelano podczas wycofywania się Armii Czerwonej przed Niemcami na podwórkach więziennych? Ilu zmarło na etapach przerzutowych z wycieńczenia? Ilu z tych ludzi do końca swych dni zostało kalekami i inwalidami? Ilu z tych ludzi zginęło w polskich i rosyjskich mundurach wojskowych? Ilu z tych ludzi zmarło z wycieńczenia, głodu i zimna w drodze powrotnej do Polski? Ilu z tych ludzi i ich dzieci, do

dnia dzisiejszego przebywa w stepach Kazachstanu, bezkresach Syberii? Ilu z tych ludzi miało ludzki, godny człowieka pochówek? Ilu z tych ludzi ma swoje groby "na nieludzkiej ziemi"? Ilu nas, Polaków, z tych prawie dwóch milionów ludzi wróciło po latach tułaczki i poniewierki do kraju? I wreszcie ilu Polaków urodziło się "na nieludzkiej ziemi". To pytania, na które zapewne nikt i nigdy nie znajdzie sensownej odpowiedzi. Nikt i nigdy nie znajdzie usprawiedliwienia!... Jedyłą moją winą, jedyną naszą winą było tylko to, że po prostu byliśmy Polakami. Że urodziliśmy się Polakami.

Po minięciu Uralu znowu wjeżdżamy do Europy. A może już wkrótce wjedziemy do Polski? A może do moich rodzinnych stron?

Mijamy miasta Ufa, Saratow, zrujnowany doszczętnie Stalingrad... Poczynając od Saratowa prawie na każdej stacji odczepiają od naszego składu po kilka wagonów. A więc nie jedziemy do Polski. Nie jedziemy do przecież już wyzwolonych rodzinnych stron!

13 listopada 1944 roku - 15 wagonów spośród ponad sześćdziesięciu - zatrzymuje się na stacji Woroszyłowgrad. Otrzymujemy polecenie opuszczenia wagonów. Mamy czekać wraz z rzeczami przed wagonami na dalsze dyspozycje. Czekamy. Po pół godzinie pojawia się liczna grupka mężczyzn, spośród których dostrzegam kilku inwalidów - ludzi bez rąk i ludzi chodzących o kulach. Są to - jak dowiaduję się później - przedsiębiorcy kołchozów i zawchozy (czyli kierownicy państwowych gospodarstw rolnych). Przechodzą wzdłuż wagonów. Zatrzymują się przed każdą, liczącą od 38 do 42 osób grupkę Polaków. Oglądają nas z zainteresowaniem. Oceniają, tak przecież oczekiwaną, potrzebną siłę roboczą. A może nawet "kupują" nas? Bowiem coraz to między oglądającymi toczą się jakieś spory, sprzeczki. Nie trwało to jednak długo. Nasi przyszli mocodawcy-chlebobawcy,



jak na końskim targu, doszli rychło do porozumienia. Dobrze, że nie oglądali naszego uzębienia, gdyż ono szczególnie ucierpiało nie tylko ze względu na to, że żaden dentysta od ponad czterech lat nim się nie interesował, ale przede wszystkim ze względu na spustoszenie jakie poczyniła cynga.

Pomijając sprawę zębów, "pasażerowie" naszego wagonu na tle innych prezentowali się - owszem, owszem. Wśród nas bowiem był pan Kazimierz Karczewski - rosły, barczysty - zdrowo wyglądające chłopisko, Staszek i Kazik S. i kilku jeszcze chłopaków w wieku od czternastu do siedemnastu lat (dziesięciolatków i dwunastolatków nie licząc), siedemnastoletnia już Marysia Z. i kilka w jej wieku innych dziewczyn. Dziesięć kobiet - co prawda wyniszczonych ciężką syberyjską pracą - nie przekraczało czterdziestego roku życia. Toteż ludźmi z naszego i jeszcze jednego wagonu szczególnie zainteresował się zawchoz Chomienkow. Miał prawo, miał pierwszeństwo wyboru bowiem był on kierownikiem ziemnosowchozu "Industrija". Był to największy na Ukrainie ziemnosowchoz i największe w byłym Związku Radzieckim państwowe gospodarstwo rolne. Liczyło ono 360 tysięcy hektarów gruntów ornych i łąk najwyższej klasy ziemi. W jego skład - oprócz centrali - wchodziło 5 gospodarstw pomocniczych podporządkowanych administracyjnie "Industriji".

Ale oto i podjeżdżają wozy zaprzężone w woły, ciągniki kołowe ChTZ, ciągniki gąsienicowe CZTZ (te produkowane w Czelabińsku). Traktorzyści umorusani w sposób nieprawdopodobny. Błyskają bielą białek ocznych i bielą zębów. Są czarni, wyszmalcowani, brudni od buchającego z rur wydechowych dymu. Takich brudnych ludzi dotąd nigdy nie widziałem. Nawet kierowcy czołgów w Monasterzyskach wyglądali o wiele czyszej. Ale i jedni, i drudzy byli tak brudni

na twarzach, że w żaden sposób, nawet w przybliżeniu, nie mogłem określić ich wieku. I woły i ciągniki kołowe wloką za sobą drabiniaste wozy. Jedynie ciągniki gąsienicowe ciągną za sobą jakieś dziwne, niespotykane "przyczepy-sanie" wykonane z dwóch bardzo grubych bali. Bale "związane" są ze sobą poprzecznymi metalowymi i drewnianymi "żebrami". Pośrodku tego dziwnego pojazdu układamy (inni na wozy) nasze bardzo skromne rzeczy. Sami zaś po bokach siadamy na klocach-płozach. Ciągniki wloką nas to błotnistymi polnymi drogami, to na przełaj polami, parowami. Jest dość ciepło. Teren przeważnie równinny, z rzadka urozmaicony niedużymi wzniesieniami. Tu dla odmiany jadąc całymi kilometrami nie widzi się ani jednego drzewa. Jedynie w parowach niskie krzaki tarniny, parometrowej wysokości dęby, klony, buki. Nigdzie ani jednego drzewa iglastego, ani jednej brzozy. Ciągniki powoli wdrapują się na stosunkowo strome wzniesienie. Widzę w oddali najpierw obszerne kryte dachówką dachy. Nieco później wyłaniające się zabudowania - dwupiętrowe bloki z ciosanych kredowych kamieni. Jest <sup>ich</sup> osiem. Obok tych bloków przycupnęły porozrzucone chaotycznie małe, zbudowane z prętów i częściowo z niewypalonych cegieł domki. Po kilku minutach wjeżdżamy między te kredowe kamienice. Błocko po przysłowiowe pachy. Niektórzy przybysze z "tamtego świata" otrzymują samodzielne pokoiki w tych blokach, inni zostają dokwaterowani do rodzin już tam mieszkających. Jeszcze inni, w tym również nasza rodzina, została dokwaterowana do ceglano-lepiankowego domku. Przyjęła nas wylewnie, by nie powiedzieć radośnie i serdecznie - samotna, w wieku około pięćdziesięciu lat gośpodyni, czy też może właścicielka domu, Fiokła Nikiticzna Iwanowa. Pomogła mi wnieść kufer, mamcia wniosła prawie całą puszkę soli, w której to puszcze były kiedyś cukierki firmy "Kanold". Dan-ka wciągnęła do izby sanki.

Izba miała nie więcej niż 16-cie metrów kwadratowych. Były w niej dwa pojedyncze okienka, półotwarte okiennice pomalowane na kolor czerwony. Przy ścianie stał okrągły, umieszczony na kilku ceglach stosunkowo duży, wykonany z blachy piecyk, znajdowały się dwa wąskie drewniane łóżka, była prostokątna skrzynka, która kiedyś mogła stanowić jedną z części kredensu. Pośrodku ustawiony był kwadratowy stolik przykryty czymś co kiedyś było prawdopodobnie ceratą. Koło drzwi znajdowało się wiadro na dwóch ceglach. Była też średniej wielkości miednica umieszczona na trójnożnym stojaku. Stały cztery sfatygowane taborety. A klepisko było świeżo posmarowane bydlęcym nawozem. Na jednej ze ścian na czołowym miejscu wisiał oprawiony w ramkę portret Stalina, przypięte było pluskiewkami kilka zdjęć dwóch młodych ludzi w wojskowych mundurach. W pobliżu piecyka widocznych było kilka misek wetkniętych za uchwyty wykonane z drutu. Pomieszczenie uzupełniała zwisająca z sufitu oprawka bez żarówki oraz stojąca na "kredensie" lampa naftowa wykonana z łuski pocisku artyleryjskiego.

Dostaliśmy "swoj" kąt na kufer, sanki i kawałek klepiska do spania. Zostaliśmy poczęstowani czajem oraz smakołykiem ówczesnej ukraińskiej (a może i dzisiejszej) kuchni - plackami z razowej mąki z fasolowym nadzieniem. Mąż Iwanowej na początku wojny zaginął bez wieści. Najprawdopodobniej dostał się do niemieckiej niewoli. Osiemnastoletnią córkę Nadię z trzema jej koleżankami i dwoma kolegami rozstrzelali swoi, ze Smiersza, od razu, tego samego dnia po wyzwoleniu osiedla przez Armię Czerwoną. Rozstrzelali za to, że przyjęła zaproponowaną jej przez Niemców pracę sprzedawczyni w miejscowym sklepie. Inne koleżanki Nadi również zginęły za to, że pracowały dla Niemców obsługując miejscową centralę telefoniczną.

I dodatkowo za to, że wszystkie brały udział w zabawach tanecznych organizowanych przez Niemców. Chłopcy zaś zginęli za to, że zbyt dobrze pilnowali magazynów zbożowych, że uniemożliwili spalenie zboża, że nie pozwolili zboża rozkładać. Młodszy syn Fiokły Nikiticznej, Alosza zginął w walkach o Warszawę w styczniu 1945 roku. Starszy syn, Siergiej zdobywał Warszawę. Walczył także o Berlin. Siergiej wrócił z kujbyszewskiego szpitala we wrześniu 1945 roku bez prawej, amputowanej powyżej łokcia ręki...

Jeszcze tego samego dnia wieczorem dowiadujemy się od Fiokły Nikiticznej, że w "Industriji" są olbrzymie kłopoty z wodą i z opalem. Że właściwie jedynym dostępnym materiałem opałowym są łodygi słonecznika oraz odpowiednio wcześniej, w okresie letnim, przygotowane cegielki z łajna bydlęcego. Ale po badyle słonecznika trzeba chodzić kilka kilometrów, a krów na razie ani w sowchozie, ani u ludzi nie ma. Bowiem część bydła podczas cofania się frontu została uprowadzona w głąb Rosji, zaś to co zostało u ludzi wyrznęli Niemcy. Niedawno przeprowadzili do "Industiji" kilkanaście par starych i bardzo chudych wołów. Ten żywy inwentarz uzupełniało kilkanaście sztuk koni i trochę świń, będących własnością ziemowchoza i ludzi prywatnych. Ludzie również bardzo ucierpieli: mężczyźni, wiadomo, wcieleni zostali do armii, część ludzi uciekła przed Niemcami, część Niemcy wywiezli na roboty. Nie ma więc komu pracować - ciągnęła Fiokła Nikiticzna.

- A z jedzeniem - nie bez pewnego wahania dodała Fiokła - nie jest najlepiej. Spojrzała spođe łba, ledwo dostrzegalnie kątami ust uśmiechnęła się i rzekła:

- Tak naprawdę ludzie tu w spichrzu Związku Radzieckiego głodują. Bardzo głodują.

Powiedziała więc wiele. Zbyt wiele, jak na pierwszą rozmowę, było nie było z obcymi ludźmi. Wciągała nas w niebezpieczną rozmowę. Dlatego znając życie, milczeliśmy. Słuchaliśmy.

Następnego dnia po przyjeździe, tj. 14 listopada 1944 roku na godzinę 10-tą zawchoz Chomienkow zwołał zebranie w ziernosowchowskim domu kultury. Spośród 82 Polaków i Polek na zebranie stało się około 60-ciu ludzi. Zapoznani zostaliśmy ze strukturą ziernosowchoza, rodzajami oczekujących nas prac i szkoleń, możliwościami podjęcia dalszej nauki w siedmioklasowej szkole, trudnościami (o czym już wiedzieliśmy od Fiołły Nikiticznej) związanymi z zaopatrzeniem w wodę i opał oraz z zasadami korzystania ze stołówki. Zostaliśmy również ostrzeżeni, że w pobliżu osiedla znajdują się liczne nierozbrojone różne miny, że na każdym kroku można natknąć się na niewybuchy oraz na całe porzucone przez Niemców i Rosjan pociski artyleryjskie i moździerzowe.

Po zebraniu mamcia ustawiła się w kolejce po odbiór kartek żywnościowych; ja natomiast przed okienkiem kasowym w celu pobrania przysługującej nam kilkunastorublowej zaliczki.

W skład kompleksu przedsiębiorstwa, oprócz wspomnianych już dwupiętrowych bloków, kilkunastu chatek-lepianek wchodziły: trzy duże magazyny zbożowe, budynek administracyjny, duży uszkodzony budynek MTS (maszynowo-traktorowe warsztaty), poczta, szkoła, elektrownia napędzana silnikiem traktorowym, słotówka, sklep, ośrodek zdrowia, lecznica dla zwierząt, stajnie na woły i świnie. A w odległości około dwóch kilometrów od zabudowań znajdowało się olbrzymie, ogrodzone zwojami drutu kolczastego, kilkanaście zbiorników z benzyną, naftą i olejem napędowym. Obok warsztatów naprawczych rozciągał się ogromny nieutwardzony plac, na którym stało nie mniej

niż 100 traktorów kołowych ze specjalnymi "kolcami" na tylnych obręczach i traktory gąsienicowe oraz około 50 kombajnów "Kommunard". Nie było natomiast w osiedlu łaźni! Zbudowane na tym dość znacznym wzniesieniu osiedle powstało w okresie pierwszych lat kolektywizacji. Osiedle "Industrija" zbudowano w miejscu przypadkowym. Zbudowano na tzw. "wygwizdowie", na "bezwodnej pustyni" - jak określali to miejsce jego mieszkańcy. Otóż na górze podczas transportu materiałów budowlanych padła para wołów. Więc po prostu furman zrzucił z wozu kamienne kredowe bloki, w miejscu, w którym wydarzyła się "katastrofa". Do złożonych już bloków wozacy dokładali swoje. Dokładali coraz więcej aż urosła "góra" materiałów budowlanych. Rozpoczęto więc budowę wzorcowego osiedla socjalistycznego w miejscu do tego nieprzeznaczonym, choćby z tego względu, że nie można było dokopać się tu do wody. W osiedlu, które obliczone było na siedemset mieszkańców istniała jedna, niezwykle głęboka studnia, ale wody w niej i tak prawie nigdy nie było. Toteż wodę dla ludzi i dla zwierząt dowożono lub najczęściej noszono ze studni wykopanej w odległym prawie trzy kilometry od naszego osiedla parowie! Ale o noszeniu wody. Łodyg słonecznikowych, słomy, gałęzi do palenia, a nieco później kiziaka najwięcej do powiedzenia miałyby mamcia i Danko. Tak chyba jest i było wszędzie tam, gdzie budowano ustrój sprawiedliwości społecznej, w którym największą wartością - według Konstytucji ZSRR - był rzekomo człowiek. Budowano więc byle gdzie! Byle jak! Byle szybciej! Byle taniej! Byle tylko wykonać plan!

14 listopada 1944 roku otrzymaliśmy wszyscy lukratywne przydziały pracy. Pan Kazimierz Karczewski został osobistym furmanem zawchoza ziemnosowchozu, Chomienkowa Wiaczesława Kirilowicza.

Mamcią skierowano do szufłowania pszenicy przeznaczonej na siew. Danką zapisała się do piątej klasy, zaś po lekcjach, w związku z tym, że po rosyjsku mówiła jak rodowita Rosjanka opiekowała się dwójką nieletnich dzieciaków Chomienkowa. Chłopcy w moim wieku, podobnie jak ja i starsi ode mnie - wszyscy zapisaliśmy się do szkoły. Z tym, że po lekcjach mieliśmy obowiązek uczęszczania na kursy dla traktorzystów. Najpierw, jednak, w okresie pierwszych czterech tygodni po zajęciach w szkole i spożyciu stosunkowo sytego obiadu w miejscowej stołówce pracowniczej - pracowaliśmy w warsztatach MTS. Tam w maszynowo-traktorowych warsztatach pod nadzorem kobiety- instruktora rozkręcałem różne maszyny rolnicze oraz kołowe i gąsienicowe traktory. Nasza kobieta-instruktor nazywała to nasze zajęcie remontem techniki. Ten remont polegał na tym, że z dwóch, a niekiedy nawet z czterech zdezelowanych traktorów lub takiej samej ilości, na przykład maszyn do koszenia siana montowaliśmy traktor. W taki oto sposób powstawały "nowe" traktory i różne maszyny rolnicze, które na dodatek, oczywiście, jeżeli była farba malowaliśmy na kolor czarny, raz na brązowy, innym jeszcze razem na czerwono. Wyremontowane maszyny ustawialiśmy po jednej stronie placu przywarsztatowego, a te z wymontowanymi różnymi częściami po drugiej stronie. Kilku starszych ode mnie chłopaków, a wśród nich Staszek S. miało za zadanie remont kombajnów. Chłopcy, a wśród nich także Staszek, pod nadzorem instruktora-budowlanca naprawiali także dach hali remontowej, zamuroywali wyrwy w ścianach. Po prostu usuwali zniszczenia spowodowane działaniami wojennymi. Ta fantastyczna ilość techniki rolniczej nie nadająca się do użytku na skutek codziennej, wciąż jeszcze mało wydajnej pracy, powoli wracała "do życia". To chłopaków i mnie cieszyło, że

z kilku "martwych" maszyn pod wpływem naszej pracy powstawało jedna "żywa". Tym bardziej, że przecież nigdy dotąd <sup>nikt</sup> z nas nie miał do czynienia z tego rodzaju techniką. Gdzieś pod koniec trzeciego tygodnia prac remontowych moja instruktorka zezwoliła mi wyjechać traktorem z hali remontowej. Było to dla mnie przeżycie wręcz niesamowite. Samodzielnie, bez niczyjej pomocy prowadzić kilkutonowy, posłuszny każdemu ruchowi moich rąk pojazd. Może dlatego pracowaliśmy, bez wyjątku, z wielkim entuzjazmem, chociaż praca była wyjątkowo brudna i trochę męcząca. Jednak była to praca pod dachem. Praca i umiejętności tak zdobyte, przecież, przydać się mogły w przyszłości w życiu codziennym. Prawie wszyscy chłopcy porobili dla siebie z łożek pocisków artyleryjskich "wojenne lampy" naftowe. Na przywarsztatowym złomowisku żelastwa wynajdywaliśmy kawałki blachy, z której następnie robiliśmy ręczne młynki do przemiału pszenicy. Mamcia prawie codziennie przynosiła w butach gumowych trochę pszenicy. Pszenicę tę w młynku zamienialiśmy na mąkę. Z mąki tej mamcia piekła na kuchennej płycie bardzo smaczne placki. Prawie codziennie jedliśmy teraz także w dowolnych ilościach pszenną zacierkę.

Danusia za opiekę nad dziećmi Chomienkowa przynosiła codziennie jedno jajko. A w parę tygodni przed odjazdem do Polski w prezencie otrzymała nawet kurę-nioskę. Przydział chleba, aczkolwiek nieco większy niż to miało miejsce na Syberii, czy <sup>też</sup> stołówkowa bałanda nie mogły wszak zaspokoić naszych wilczych apetytów; powstrzymać postępującą fizyczną degradację naszych organizmów. Chleb, który otrzymywaliśmy był przecież w dalszym ciągu chlebem "wojennym". Wypiekano go w miejscowej piekarni z mieszaniny mąki owsianej, żytniej i jęczmiennej z dodatkiem dużej ilości ziemniaków. Ale dziwne było to, że ani w "Industriji", ani w najbliższej okolicy



nie uprawiano: owsa, jęczmienia, żyta; nie sadzono również ziemniaków. Ale trwała przecież wciąż wojna.

Pod koniec stycznia 1945 roku otrzymałem "patent" - uprawnienia do prowadzenia kołowych i gąsienicowych traktorów, a Staszek S. i kilku jeszcze starszych ode mnie chłopaków otrzymali dodatkowo uprawnienia kombajnisty. Uprawnienia traktorzysty, a zwłaszcza uprawnienia kombajnisty w tamtejszym środowisku nobilitowały człowieka. Natomiast kierowca samochodowy to był naprawdę "Ktoś" z kim się liczone.

W kilkanaście dni po przyjeździe mamcia napisała (bardzo lubiła pisać i otrzymywać listy) "serię" listów: do tatusia, do sióstr Gieni, Jedlińskiej w Przemyślu, do Stefci Stabiszewskiej w Medwedowcach powiat Buczacz, do bratowej i bratanicy Matyldy i Ireny Dorosz również zamieszkałych w Medwedowcach, do brata Józefa Dorosza w Przemyślu, do brata Władzia w Buczaczu, do cioci Pietruni w Kanadzie, do pani Heleny Słoneckiej w Bertnikach, do Związku Patriotów Polskich w Moskwie raz do dowódcy jednostki wojskowej numer 55503-K. Odpowiedzi na te listy przyszło jednak niewiele. Paczek jeszcze mniej. Ani od najbliższej rodziny, ani od tatusia listów w dalszym ciągu nie otrzymywaliśmy. Nie było również odpowiedzi od dowódcy jednostki wojskowej, w której służył ojciec. Odpisała tylko ciocia Gienia i pani Słonecka. Od nich też nadeszły wkrótce skromniuteńkie paczki żywnościowo-odzieżowe. Zaś Zarząd Główny ZPP w ZSRR zapytywał mamcię czy w miejscowości, w której obecnie mieszkamy założone jest koło ZPP i ilu Polaków zamieszkuje w ziemnosowchozie "Industrija" Lugano-Stanicznego rejonu, Woroszyłowgradzkiego obwodu. Z treści otrzymanego pisma niedwuznacznie wynikało, że pomoc materialna przysługuje w zasadzie jedynie członkom ZPP. Z treścią tego pisma mamcia

zapoznała mieszkańców-Polaków "Industriji". A oni upoważnili mamcię do zorganizowania koła ZPP dla seniorów, zaś Staszek S. otrzymał zadanie zorganizowania koła młodzieżowego. W kilka dni później takie koła powstały. Mamcię wybrano na przewodniczącą koła ZPP w "Industriji", a Staszka S. na zastępcę. O fakcie tym zostały powiadomione władze sowieckie (milicyjne) w Ługono-Stanicznym rejonie oraz ZG ZPP w Moskwie. Ale od tatusia ani o tatusiu w dalszym ciągu żadnych wiadomości nie było.

Toteż 19 lutego 1945 roku mamcia ponownie zwróciła się do ZG ZPP w Moskwie z prośbą o pomoc w odszukaniu ojca i powiadomienie o wynikach tych poszukiwań. Przy końcu marca 1945 roku Wydział Wojskowy ZG ZPP pismem z dnia 16.03.45 r., nr.1254/a informował, że zwróci się w tej sprawie do Sztabu Polskiego Wojska i do d-cy jednostki wojskowej p.p. 55503-K..., że " w sprawie udzielenia Wam pomocy materialnej zwróciliśmy się do stanicznego Rejsowietu i proszę zwrócić<sup>się</sup> do pomoc powołując się na nasz list" Pisko podpisał: Kierownik Sekcji Pomocy Rodzinom i Inwalidom Wojskowym Wydziału Wojskowego ZPP w ZSRR (Hecht-Kpt).

W międzyczasie, 8 grudnia 1944 roku tatuś zwrócił się do Wydziału Opieki Społecznej ZG ZPP w Moskwie z prośbą o udzielenie pomocy materialnej naszej rodzinie. W piśmie Nr.192/44 datowanym 17 stycznia 1945 roku czytamy m.i.ł.: "... przyjąć z pomocą Waszej rodzinie (ZPP) na razie nie może, gdyż w obecnej chwili nie dysponuje żadnymi zasobami materialnymi i pieniężnymi. Mamy nadzieję w najbliższym czasie otrzymać pewną ilość odzieży i żywności, gdyż w tym kierunku czynione są starania po otrzymaniu których będziemy mogli okazać pomoc Waszej rodzinie.

Obecnie zaś zwracamy się do odnośnego Rejispołkomu z prośbą .

o okazanie pomocy Waszej rodzinie!" Pismo to adresowane oczywiście do ojca podpisał Sedziński - P.O. kierownika Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Głównego ZPP w ZSRR.

Tak więc krążyły listy-pisemka, rozwijała się i coraz bardziej rozbudowywała machina biurokratyczna utrzymywana ze składek "szarych" związkowców. Zioną głupotą, a przede wszystkim nieznaną sytuacją sytuacji. Sytuacji rodzin polskich pozbawionych ojców, mężów, starszych braci i sióstr. Do tych niepochlebnych wniosków skłania mnie jeszcze jedno kuriozalne zarządzenie ZPP. Otóż od razu po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej władze ZSRR rozpiwały pożyczkę pieniężną przeznaczoną na cele wojskowe. Oczywiście pożyczka ta była "dobrowolna". Potrącano na nią 10% miesięcznych zarobków. Zebrało się więc sporo rubelków w papierach wartościowych. Te papiery wartościowe, zgodnie z założeniami pożyczki pieniężnej, miały być wykupione przez państwo po jakimś tam okresie. Teraz ZPP zalecał, by te papiery wartościowe przeznaczyć na odbudowę Warszawy. Niezależnie od tego zalecano również przewodniczącym terenowych kół ZPP, by ci przeprowadzili zbiórki pieniężne wśród Polaków na ten sam cel. Na odbudowę Warszawy. A my, Polacy, naiwności ludzka, zwracaliśmy się do naszego Związku Patriotów Polskich o pomoc! A tymczasem same władze oczekiwały, by nie powiedziec żądały od nędzarzy, wsparcia i pomocy. I co dziwniejsze na ogół takiej pomocy ludzie udzielali. Równocześnie moskiewscy patrioci dysponowali ogromnymi zasobami żywności i odzieży otrzymywanymi z Ameryki. Każdy członek ZPP opłacał comiesięczną składkę w wysokości jednego rubla.

Na przełomie lutego i marca 1945 roku mamcia ze swoim związkowym zastępcą, Staszkiem S. otrzymała pierwsze wezwanie na milic-

ję do Staniczno-Lugańska. Tematem tego i szeregu kolejnych wezwań i telefonogramów była sprawa podpisania obywatelstwa radzieckiego. Naciskano i zachęcano do podpisania tego cyrografu najpierw mamcią i Staszka, twierdząc, że właśnie oni, czyli kierownictwo związku, powinno dać dobry przykład innym, nieświadomionym ludziom. Mamcia ze Staszkiem po każdym takim milicyjnym instruktażu musieli przeprowadzać ogólne zebranie Polaków w "Industriji".

Zebrani Polacy zwykle na początku lub przy końcu zebrania - w zależności od porządku obrad - pytali:

- Czy pani, pan ( to pytano Staszka) podpisaliście, zrzekliście się obywatelstwa polskiego.

Odpowiedzi były wciąż negatywne. I na tym w zasadzie, ten temat na zebraniach wyczerpywano.

W kwietniu do naszej szkoły dwukrotnie przyjeżdżali z Sewastopola oficerowie marynarki wojennej. Kaperowali nas, chłopców, do szkół morskich. Kilku rosyjskich chłopaków zgłosiło się do tej wyjątkowo prestiżowej służby wojskowej w Związku Radzieckim. Po trzech miesiącach nasi byli koledzy szkolni i warsztatowi przyjechali do domów na dziesięciodniowe przepustki. Przyjechali, myślę teraz, na przynętę. Pięknie i starannie ubrani w marynarskie mundury. Imponowali nam swoim sposobem bycia, zachowania, swoją dorosłością. Oni również, szczególnie nas Polaków zachęcali do pójscia w ich ślady. I właśnie wtedy i ja zapalałem wstąpić do tej służby. W Bertnikach koniecznie chciałem być maszynistą kolejowym. Na Syberii postanowiłem być lotnikiem. A tu w "Indusriji" doszedłem do wniosku, że muszę zostać marynarzem. Przeprowadzałem z mamcią dziesiątki rozmów chcąc wymusić na niej zgodę na wyjazd do wojska. Tłumaczyłem, prosiłem, obiecywałem - o naiwności - "że będę co tydzień przyjeżdżać

do domu w odwiedziny. Że przecież do Morza Azowskiego stąd z "Industriji" można dorzucić kamieniem, a do Morza Czarnego nie jest o wiele dalej. Przekonywałem, że chcę wreszcie normalnie, jak człowiek żyć!"

Byłem gotowy wbrew woli mamci wstąpić do marynarki wojennej. Co przeżywała wówczas mamcia nie jestem w stanie, z różnych zresztą, powodów opisać... Do marynarki jednak nie poszedłem.

Któregoś dnia podczas obiadu zrobiło mi się zimno. Bardzo zimno. Chociaż ubrany byłem jak zawsze. Chociaż jak zwykle po obiedzie miałem pójść do pracy w warsztatach naprawczych. I poszedłem. Ale i tam w warsztatach w dalszym ciągu miałem dreszcze, nie mogłem w żaden sposób ogrzać się, chociaż stałem koło rozgrzanego do białości piecyka. Główny mechanik warsztatów podszedł do mnie i przez dłuższą chwilę przyglądał mi się podejrzanie.

- Wiżu, szto ty Sbiszek naczinajesz lejtiajniczat' - powiedział dobrotliwie i z uśmiechem.

Spojrzałem na swego szefa błagalnymi oczami. Pomyślałem jedynie, że kogo jak kogo, ale mnie podejrzewać o lenistwo to są po prostu szczyty. Stałem jeszcze kilka minut koło piecyka. Ciągłe nie mogłem się rozgrzać. Ale nie było wyjścia. Położyłem się pod swoim piekielnym ciągnikiem. Miałem jak zwykle odkręcić miskę olejową. Wziąłem do ręki klucz nasadowy, ale w żaden sposób nie mogłem go założyć na główkę śruby. Drżały mi ręce. Po prostu było mi ciągle zimno. Drżałem teraz już na całym ciele. W żaden sposób nie mogłem zrozumieć co dzieje się ze mną. Stan przeraźliwego zimna trwał już grubo ponad godzinę. Staralem się wziąć w garść, wmawiałem sobie, że przecież bądź co bądź jestem Sybirakiem, że muszę za wszelką cenę "pozierać się". Że przecież właściwie nic mnie nie boli.

Że właściwie nie odczuwam żadnych dolegliwości. No może trochę, ledwie odczuwalnie boli mnie głowa. Położyłem się znowu pod ciągnikiem. Ponownie wziąłem klucz do ręki. I o dziwo po kilkunastu minutach znowu zaczynam pracować, prawie normalnie. Na szczęście rozgrzałem się wreszcie. Robi mi się coraz cieplej. Po kwadransie zdejmuję fufajkę. Znowu kładę się pod ciągnik. Jest mi coraz cieplej. Pracuję więc ze zdwojoną energią. Po rękach i na twarz spływają i kapią z karteru resztki zużytego oleju silnikowego. Kilka kropli oleju trafia jak zwykle w oczy. Ale to normalne. Proszę któregoś z chłopaków, by podtrzymał miskę olejową, żeby nie spadła mi na głowę. Liczę czy mam wszystkie odkręcone śruby. Zaczynam widzieć podwójnie, i śruby, i twarze kolegów. Widzę również - zamiast jednego - dwóch głównych mechaników. Muszę teraz jednemu z nich zanieść śruby, ale nie bardzo wiem któremu. Idę więc do tego, który stoi nieco bliżej mnie. Podczas pokonywania tej krótkiej, liczącej zaledwie kilkanaście metrów drogi potykam się o leżące na posadzce jakieś części. Z trudem utrzymuję równowagę. Szukam stopami podłoża. Ale to głupstwo. Najważniejsze, że jest mi ciepło. A nawet gorąco.

Czterogodzinna zmiana kończy się. Idę z kolegami do domu. Kazik S. patrzy na mnie podejrzenie.

- Pewnie - stwierdza - masz temperaturę. A może tak uderzyła ci do głowy ta sowiecka marynarka - dodaje z drwiną.

- Może tak, a może nie - staram się jak tylko to jest możliwe odpowiedzieć uprzejmie. Po namyśle, jak przez sen dodaję: - Wiesz Kazik, marynarka marynarką, ale ja prawdopodobnie jestem chory.

Po powrocie do chaty, którą wciąż jeszcze dzieliliśmy z Fiokłą Nikiticzną rozebrałem się do mojej uszytej z czelabińskiego worka koszuli. I jak nigdy dotąd położyłem się na swoim stałym "posłaniu"

- obitym blachą kufrze. Mamcia w tym czasie wciąż jeszcze szuflowała nasienną pszenicę. A może właśnie w tym momencie starała się wspiąć do butów parę garści pszenicy, z której to pszenicy po jej przemieleniu ugotuje zacierkę, upiecze placki. A Danka wróci jeszcze później - ma bowiem po lekcja nienormowany czas pracy - wciąż opiekuje się dwoma latoroślami Chomienkowa. Ale w pokoju jest już Fiokła Nikiticzna. Krząta się przy swoim piecyku-okrągłaku. Co jakiś czas "warczy" coś pod nosem, łypie na mnie kątem oczu. Ciągłe przeżywa, pewnie jeszcze większe niż nasze problemy. Zachowuje się niekiedy w stosunku do nas dziko, z nienawiścią. Innym razem do rany ją przykładaj. W żaden sposób nie mogliśmy rozszyfrować do końca Fiokły Nikiticzny. Tędy od razu po moim powrocie z pracy i równocześnie ze szkoły, Fiokła była w wisielczym nastroju. Jednak widząc moje zachowanie podeszła do mnie, nachyliła się, dotknęła dłonią czoła:

- A u ciebie parień temperatura. Wysokaja temperatura - stwierdziła.

Widząc, że Fiokła reaguje normalnie - powiedziałem: że jest mi bardzo gorąco, że jeszcze cztery godziny temu było mi potwornie zimno, że w ogóle czuję się jakoś dziwnie, po prostu kiepsko.

Wysłuchiwała Fiokła wszystko ze spokojem. Chwilę zastanawiała się.

- Dumaju, szto u ciebie družoczek budiet lichoradka - postawiła diagnozę.

Szukałem w pamięci znaczenia wyrazu "lichoradka". I nie znajdowałem.

Wróciła mamcia. Czułem się wobec niej, delikatnie mówiąc, głupio. Przecież jeszcze wczoraj robiłem w domu awantury o to, że

matka nie chce się zgodzić, abym został marynarzem. A ona, matka, nerwowo kręciła się bez sensu po wychłodzonym mieszkaniu, by ukradkiem, tak, by tego nie dostrzegła Fiołka Nikiticzna wytrząść z butów wbijające się w ciało kilka garści pszenicy. A ja ciągle leżałem na kufrze. Ciągle w oczach mi się dwoiło i troiło. Ciągle było mi gorąco. Coraz to zapadałem w krótką drzemkę, a może po prostu traciłem chwilami przytomność... Nie pamiętam dokładnie, jak było naprawdę.

Mamcia pomogła mi wstać z kufra. Wyciągnęła z niego pościel i termometr. Miałem  $40^{\circ}$  z kreskami. Danka wróciła do domu później niż zwykle. Mamcia wysłała ją po lekarza, a ściślej po felczerkę, która potwierdziła diagnozę Iwanowej. "Chwyciłem" malarię czyli zimnicę. Felczerka powiedziała również, że trzeba będzie jutro pobrać z ośrodka zdrowia chininę, którą w zależności od rozwoju choroby trzeba odpowiednio dawkować. Ale na razie dzień, dwa, a może i dłużej trzeba będzie poczekać.

Następnego dnia, dokładnie o tej samej porze jak dnia poprzedniego, znowu dostałem dreszczy. Zachorowałem więc na tzw. zimnicę codzienną. Z regularnością kursowania przedwojennego pociągu osobowego w godzinę po południu dostawałem najpierw dreszczy, a nieco później robiło mi się bardzo zimno. Nie na wiele wówczas przydawało się leżenie pod pierzyną. Nie pomagały również okłady butelkami z gorącą wodą. Nawet wówczas kiedy na dworze panowały już upalne dni. A w godzinę, a może dwie godziny później temperatura podnosiła się nieco powyżej  $40^{\circ}$ . Po pięciu- sześciu godzinach ponownie wszystko wracało do normy. I znowu - tak mi się wówczas wydawało - byłem zdrowy. Byłem zdrowy do godziny trzynastej dnia następnego. I tak codziennie. Ale jak długo chorowałem na malarię nie jestem w stanie



nawet w przybliżeniu określić. Z tego okresu pamiętam jedynie, że dość wyraźnie schudłem i, że kręciło mi się ciągle w głowie. Niekiedy ni z tego z owego miałem wymioty. Na malarię chorowało wtedy sporo Polaków i Rosjan. Zaś felczerka ciągle mówiła, że nie jest to choroba niebezpieczna dla zdrowia i życia. Tym bardziej - dodawała - że na szczęście nie ma problemów z chininą. Amerykańską chininą - nie bez dumy - dodawała.

Pod koniec kwietnia 1945 roku władze ziemnosowchoza ogłosiły, że odbędzie się wyjazdowa rozprawa nad pochititielami gosudartwien-nogo imuszczestwa. I obecność na tej rozprawie jest obowiązkowa. Oskarżonych było pięć kobiet, które przyłapano na wybieraniu pszenicy ze słomy pozostawionej podczas koszenia zboża kombajnami. Rozprawa trwała stosunkowo krótko, trzy godziny. Trójka sędziów zarzucała oskarżonym kobietom, że te bezprawnie zbierały ziarno, które następnie zużywały na własne potrzeby. - Przecież - mówił przewodniczący zespołu sędziowskiego - zebraną państwową pszenicę należało oddać państwu. Oskarżone natomiast tłumaczyły, że zebrana przez nie pszenica była przecież niczyja, że i tak byłaby zjedzona przez grasujące tysiącami sztuk polne myszy. I że ta pszenica ratowała życie ich nieletnich dzieci. Argumenty kobiet bezsprzecznie były prawdziwe i nie mogły budzić żadnych wątpliwości wśród zebranych. Jedynie Wysoki Sąd miał na ten temat odrębne zdanie. Może nie tyle ze względów merytorycznych, lecz z powodu tego, że dały się przyłapać na rozkradaniu mienia państwowego. Wszystkie w myśl obowiązującego prawa zostały uznane winnymi zarzucanego im czynu. Sąd w tym wypadku zastosował najniższy wymiar kary i skazał oskarżone na pięć lat zsyłki do obozu pracy. Dzieci zaś zostały umieszczone w domu dziecka.

Dopiero teraz, po tej rozprawie, uzmysłowiłem sobie w całej pełni co groziło mnie i moim polskim kolegom podczas naszych bez-troskich, by nie powiedzieć wręcz "sportowych" penetracji, czyli podczas okradania przez nas wagonów towarowych. Co grozić mogło w każdej chwili mamci, która prawie codziennie przynosiła w butach kilkanaście garści pszenicy. Pszenicy, przecież, przeznaczonej na siew! Groźne i niebezpieczne dla mamci, Danki i dla mnie tym bardziej, że mieszkaliśmy przecież wciąż jeszcze - aż do września 1945 roku - z Fiołką Nikiticzną Iwanową. I aczkolwiek mamcia nigdy nie wytrząsała przynieszonego zboża w obecności Fiołki to jednak pszenicę tę skręcaliśmy na młynku w jej obecności. W jej też obecności z uzyskanej mąki mamcia piekła placki, gotowała zacierkę. Przecież Fiołka Nikiczna w każdej chwili, by poprawić swoją reputację wobec władz ziemiosowchoza, a przede wszystkim wobec władz policji politycznej mogła donieść komu trzeba. Była ona, Fiołka Nikiticzna matką córki, która zdradziła naród radziecki. Była żoną męża, który najprawdopodobniej poddał się do niewoli okupantom niemieckim. Posiadanie przez nas mąki jedynie częściowo można było wytłumaczyć otrzymywanymi od czasu do czasu paczkami. A propos paczek.

Na początku kwietnia otrzymaliśmy paczkę od pana Karola Ryb-  
czyńskiego z Palestyny. Od osoby zupełnie nam obcej i nieznaney. A były w tej paczce prawdziwe od lat niewidziane skarby: czekola-  
da, prawdziwa kawa, herbata, chałwa oraz mąka biała jak śnieg, cu-  
kierki, skondensowane mleko, trzewiki jakby na wymiar mojej nogi  
kupowane. Nie wiem kim był ten tak hojny człowiek. Nie wiem czy  
on jeszcze żyje. Ale mamcia w stosownym czasie napisała do pana  
Karola dziękczynny list. Nie przypuszczam jednak, że on ten list

otrzymał, gdyż adres zwrotny podany przez niego budził i budzi nadal wątpliwości. Dlatego dziękuję mu dzisiaj lub jego dzieciom raz jeszcze, po prawie pięćdziesięciu latach za jego szczodrobliwą i bezinteresowną. Tym bardziej dziękuję, że paczek z kraju nie otrzymaliśmy wiele. Przecież i oni tam, pod taką czy inną okupacją, również z ledwością wiązali koniec z końcem.

O świcie 8 maja 1945 roku lotem błyskawicy wśród mieszkańców "Industriji" rozeszła się wiadomość o zakończeniu wojny z Niemcami. Ludzie spontanicznie zebrali się przed miejscowym domem kultury. Zawchoz ziernosowchozu, Chomienkow odczytał treść depechy o tym historycznym wydarzeniu. Ogłosił również, że następnego dnia będzie dzień wolny od pracy. Ale już teraz, nie czekając dnia jutrzejszego ludzie jakby poszaleli. Wpadli w jakiś trudny do opisanie i zrozumienia stan. Każdy, prawie każdy zachowywał się i przyjmował tę radosną wiadomość inaczej, indywidualnie. W tym radosnym święcie czynny udział wzięli również Polacy. Nie było już tego, odczuwanego jednak na każdym kroku w różnych sytuacjach podziału na my i oni. Razem z rdzennymi mieszkańcami "Industriji" Polacy cieszyli się, płakali, uczestniczyli w piasach, tańcach i śpiewach. Nie jestem w stanie nawet w przybliżeniu oddać tego co działo się wówczas z nami wszystkimi. Znalazła się również - tak jak w tym kraju bywało - nie wiadomo skąd wódka. Wyniesiono ze stołówek stoły, na których pojawił się świeży, jeszcze ciepły chleb. A w parę godzin później rozdawano smakowitą zupę ugotowaną na wołowym i wieprzowym mięsie. W ciągu kilku godzin - jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - tak wiele zmieniło się na lepsze. Ale, i tego, i następnego dnia nikt nie poszedł do pracy. Ludzie wciąż, na okrągło, w dzień

i w nocy, na przemian, jak na komendę to płakali, to cieszyli się, a przede wszystkim jedli. Ciągłe jedli wypiekany chleb i gotowaną zupę na mięsie.

W dwa dni później wszystko wróciło do normy.

20 maja pomyślnie zdałem, wraz z Danką propocyjne egzaminy do klasy szóstej. Parę dni później dostałem "angaż" na pomocnika traktorzysty. Ostatnie dni maja oraz prawie cały czerwiec przebiegały pod znakiem koszenia siana specjalną dziesięciometrowej szerokości kosiarką oraz grabienia grabiarką konną wyschniętej trawy. A mamcią od kwietnia uczyniono wozaczką. Powoziła odtąd parą wołów. I w zależności od otrzymanego zlecenia woziła wodę, siano, drewno na opał, ziarno przeznaczone na siew do brygad polowych. A przy tej okazji, już bez kłopotów mieliśmy w domu, i trochę drewna na opał, i zapewnioną wodę. A przy okazji mamcia zbierała łajno bydła, z którego Fiokła Nikiticzna wyrabiała cegiełki opałowe, popularnie zwane kiziakami. Fiokła nie mogła się nadziwić, że mamcia przecież obca tu osoba, bez specjalnego stażu zawodowego w <sup>tym</sup> zakresie, a jeszcze do tego Polka otrzymała taką znakomitą pracę. A woły, jeżeli ktoś w życiu nie miał z nimi styczności to powiem, że podobne są w usposobieniu do osłów. Poruszają się z szybkością trzech-czterech kilometrów na godzinę. Że ni z tego, ni z owego kładą się pośrodku drogi i nie ma takiej siły, która by skłoniła je do wstania. Można je było wówczas okładać w nieskończoność batem lub drągiem, a one po prostu postępując jeszcze wygodniej układają się na drodze. I mogą tak przeleżeć nawet cały dzień. Jedynym sposobem, który skłaniał te zwierzęta do wstania było zginanie - "łamanie" ogona. Ale o tym trzeba było wiedzieć. Trzeba było wiedzieć przede wszystkim jak wydawać tym zwierzętom polecenia:

ruszenia z miejsca, zatrzymania się, skrętu w lewo, skrętu w prawo. Mamcia ciągle myliła komendy "sob" (skręt w lewo o ile dobrze sobie przypominam), "sobe" ( w prawo). A może woły te ze względu na to, że były stare i że mamcia zbyt cicho wydawała polecenia reagowały zwykle odwrotnie niż tego wymagała sytuacja. Najczęściej jednak na każdy głos, a nawet na każde głośniejsze wypowiedane słowo - podczas rozmowy - po prostu zatrzymywały się, by po chwili położyć się i "wyciągnąć wygodnie nogi". Ta lukratywna praca wiele, bardzo wiele zdrowia kosztowała moją matkę. Ale tej właśnie pracy ludzie zazdrościli mamci najbardziej.

W trzeciej dekadzie lipca rozpoczęły się żniwa. Prawie 360 tysięcy hektarów ziemi, które uprawiał ziemnosowchoz obsiewano wyłącznie słonecznikiem i pszenicą. Była to pszenica, jakiej ani wcześniej, ani później nie widziałem. Pszenica ta - jak mówili jedni - podobno, była wyhodowana przez samego Miczurina. Inni natomiast twierdzili, że była ona krzyżówką pszenicy rosyjskiej i kanadyjskiej. Nie wiem jak było naprawdę. W każdym razie ziarna pszenicy były przezroczyste, jakby pozbawione otoczki-luski. Kłosa podobne były do kłosów żyta. Z tym, że "wąsy" tej pszenicy były nieco krótsze i miały zabarwienie czarne. I chociaż pszenicę tę kończono kosić zazwyczaj już po wypadnięciu zmroku, ciągle ziarna nie były wysypane, ciągle zdźbła nje były połamane. Polacy, znawcy przedmiotu, nie mogli się nadziwić temu fenomenowi. A jaka była mąka z tej pszenicy, a jaki smak potraw z niej gotowanych i pieczonych! A może po prostu wszystko co nadawało się wówczas do jedzenia tak nam smakowało.

Żniwną brygadę polową tworzyły: dwa ciągniki gąsienicowe marki

CzTZ, zwane także "Stalińcami", cztery kombajny "Kommunard" oraz od trzech do czterech ciągników kołowych ChTZ z przyczepami. Ciągniki gąsienicowe obsługiwane były przez dwóch traktorzystów i dwóch pomocników traktorzysty, czterech kombajnistów i czterech dziesięcio-dwunastoletnich chłopców, zadaniem których było opróżnianie co kilkanaście metrów "platform", na które spadała z "gardzieli" kombajnu słoma. Ponadto w skład brygady wchodził personel pomocniczy: od dziesięciu do piętnastu kobiet, zadaniem których było przygotowanie placu do gromadzenia wymłóconego ziarna w przyzmach. Przyzmy te były niekiedy sto metrów długie i szerokie od czterech do pięciu metrów. Wysokość przyzm wynosiła od dwóch do dwóch i pół metra. Ludzie pracujący przy tych przyzmach zajęci byli ciągłym szufłowaniem, mieszaniem wyładowywanej z przyczep pszenicy oraz mieli za zadanie dbanie o to, by boki tych przyzm były idealnie równe. Chodziło o to, by w wypadku deszczu woda nie przenikała zbyt głęboko do wewnątrz zgromadzonego tak zboża. Wokół tych przyzm wykopane były dość głębokie rowki, w tym rowki odprowadzające wodę deszczową. Słowem przyzmy z ziarnem okopane były tak, jak to się robi po ustawieniu namiotu. Do innych zadań należał załadunek pszenicy na samochody ciężarowe. Każdą brygadę obsługiwała kucharka z pomocnicami. Ponadto na ogrodzonym placu - do dyspozycji każdej brygady żniwnej - gromadzono dość duże ilości materiałów pędnych, olejów i smarów. Takich brygad żniwnych pracowało w "Industriji" od dziesięciu do piętnastu. Liczbę tych brygad limitował specjalistyczny sprzęt oraz przygotowanie fachowe ludzi obsługi. Do każdego ciągnika gąsienicowego doczepiano przy pomocy specjalnych uchwytów dwa kombajny. Na każdy łan pszenicy składało się kilkaset hektarów pola. Wielkość zasiewów w jednym kawałku uzależniona była ściśle od konfiguracji terenu. Zaś teren ten ograniczały przeważnie parowy i drogo polne.

Koszenie zboża rozpoczynaliśmy zwykle o świcie, zaś kończyliśmy po zapadnięciu zmroku. Złociste kłosa pszenicy "poprzeplatane" były obficie makami, bławatami i innymi chwastami polnymi. W "Industriji" - podobnie jak w Tuleniu i Czegaszecie - obowiązywały równieżienne normy. Norma na jeden zestaw koszący wynosiła 25 hektarów na dniówkę. Dlatego nie dbaliśmy o to, ile ton ziarna wymłócimy, lecz głównie o to, ile hektarów skosimy. Ile przejedziemy kilometrów. Toteż doświadczeni "przodownicy"-kombajniści ustawiali bębny młójące tak, by można było ciągnąć kombajn możliwie jak na najwyższym biegu. Kiedyś odgarnąłem zrzucaną co kilkanaście metrów z platformy taką kupkę słomy. Pod tą słomą bez większego trudu, w ciągu kilku minut można było zbierać jedno-dwa wiadra pszenicy. Szczególnie dużo tej pszenicy wyrzucanych było ze słomą po dniach deszczowych i podczas pracy i świcie i późnym wieczorem. A niekiedy kosiliśmy w nocy, przy światłach. Ale nikt na to nie zwracał żadnej uwagi. Opłacani przecież byliśmy od "przyjanych kilometrów". A każdy chciał zarobić! Osobiście, pracę przy żniwach wspominam dobrze. "Stalińca", czyli ciągnik gąsienicowy CzTZ, prowadziło się bardzo łatwo; dwoma drążkami sterowniczymi. Podczas ostrych zakrętów (a te występowały tylko podczas nawrotów) dodatkowo jednym z dwóch pedałów hamulcowych. Ciągnik gąsienicowy obsługiwały zawsze dwie osoby. Dlatego najczęściej jeden z nas, traktorzystów, prowadził ciągnik, drugi w tym czasie odpoczywał. Ale i ciągniki, i kombajny bardzo często ulegały różnym awariom. W kombajnach najczęściej psuły się lub zakleszczały elementy tnące, głównie dlatego, że zęby kos były wyjątkowo wypracowane. A nowych nie było w ogóle. Toteż naprawa taka na ogół polegała na wymianie zniszczonego zęb

na ząb również stary, ale jeszcze nadający się do dalszej pracy. Było również sporo poważnych awarii, zwłaszcza bębnow młócających. I wówczas trzeba było wzywać brygadę awaryjną. Te remonty niejednokrotnie przeciągały się wiele godzin. Brakowało wówczas wielu hektarów do wykonania dziennej normy, "uciekały" pieniądze. Z traktorami nie było wiele kłopotów, jeżeli jako tako dbało się o nie. W każdym razie raz w tygodniu trzeba było odkręcać miskę olejową i wymieniać panewki na dolnych korbowodach. Ale nowe panewki można było otrzymać jedynie po znajomości. Dlatego zamiast panewek zakładaliśmy najczęściej odpowiedniej szerokości kawałki skóry. Te jednak wytrzymały kilkanaście dni. I znowu - jeżeli nie chciało się rozwalić karteru lub bloku silnika, jeżeli nie chciało się być sądzonym z paragrafu za sabotaż - trzeba było, chcąc nie chcąc, wczłapać się pod ciągnik i powtarzać całą operację zakładania skóry od nowa. Spod ciągnika wychodziłem potwornie umorusany i wyszmalcowany. Moje jedyne spodnie pokrywały się nową warstwą smarów i towotu. Z grubsza mylił się wyłącznie naftą; wodę traktując jak wodę kolońską.

Najbardziej w tej mojej "traktorowej przygodzie" bałem się uruchamiać silnik. A silnik w ciągnikach gąsienicowych uruchamiało się w sposób trochę dziwny. Część koła zamachowego osłonięta była wąską, grubą blachą. W tej drugiej nieosłoniętej części koła zamachowego znajdowały się co jakieś piętnaście centymetrów otwory. W te otwory wkładało się specjalny rozruchowy drażek metalowy. Drażek ten trzeba było następnie podciągać do siebie; równocześnie lewą nogą przetrzymując koło zamachowe. I tak kilka razy trzeba było tę operację powtarzać. Tak długo aż w pewnym momencie silnik



zaskoczył. I biada temu kto nie zdążył, w porę wyciągnąć z otworu drażka i zdjąć nogi z koła zamachowego. Podczas jazdy nie należał również do przyjemności widok wirującego kilkanaście centymetrów od stóp koła zamachowego. Ale są to wszystko drobiazgi, szczegóły, na które nie było sensu zwracać uwagi, pisać o nich, gdyby nie to, że w przeważającej większości pracę tę wykonywały dzieci.

Jakieś dwa tygodnie od momentu rozpoczęcia żniw zaczęto wywozić ziarno zgromadzone na przyzmach. Dzień i noc, około setki półtora i trzytonowych ciężarówek wywoziło ziarno z pól w niewiadome miejsce. Na klepiskach, miejscach składowanej pszenicy pozostawała gruba warstwa skiełkowanego zboża. I dopiero wtedy, gdy zaczęto wywozić pszenicę w naszej polowej kuchni pojawił się w dowolnych ilościach miód, były jabłka, kawony, melony, ogórki i pomidory. Pojawiło się w kotłach i na naszych brezentowych stołach mięso. To wynik "zapobiegliwości" naszego brygadzysty i naszej szefowej kuchni. Te smakołyki wymieniane były za pszenicę z mieszkańcami położonego o piętnaście kilometrów kołchozu "Udarnica" ("Przodownica"). Za półtora tony pszenicy (ilość pszenicy w naszej sytuacji nie odgrywała żadnej roli) otrzymywało się wiadro miodu. I mnie udało się - robili to prawie wszyscy - którejs nocy wywieźć przyczepę zboża. I mnie udało się na drugi dzień zanieść do domu wiadro smakowitego miodu. Przypomnę raz jeszcze, że za przyłapanie na kradzieży, a nawet na wybieraniu zboża z wymłóconej słomy można było otrzymać "dziesiątaka", czyli dziesięć lat zsyłki. Wszystko w kraju, w którym według moich szacunkowych ocen od 30 do 40% zboża marnowało się bezpowrotnie lub je po prostu rozkradano.

Tego roku kilkakrotnie przenosiliśmy się na "nowe" pola, na "nowe" łany pszenicy.

Skończył się sierpień. Więc, my uczniowie, zwróciliśmy się do naszego brygadzysty z prośbą, by ten zwolnił nas z dalszego obowiązku pracy. Argumentowaliśmy, że chcemy uczyć się nadal. Ale dyrektor szkoły Simakow, starym zwyczajem, "oddelegował" nas do prac żniwnych do końca września. Przecież "chleb trzeba i musi się zebrać". I ja, i moi polscy i rosyjscy koledzy też nie mieliśmy co do tego żadnej wątpliwości. Pracowaliśmy więc chętnie. Tym bardziej, że wyżywienie otrzymywaliśmy zupełnie znośne i do tego jeszcze bezpłatnie. Zarobki również nie były najgorsze. Słowem można było żyć, można było wytrzymać.

We wrześniu wrócił ze szpitala starszy syn Iwanowej, Siergiej. Chomienkow polecił mamci przenieść się. Dokwaterowano nas do rodziny pana Kazimierza Karczewskiego. A ściślej, przydzielono naszej rodzinie jeden z dwóch pokoików zajmowanych przez Karczewskich. Pokoik ów miał nie więcej niż sześć metrów kwadratowych; wchodziło się doń przez pomieszczenie Karczewskich. W pomieszczeniu nie było żadnego pieca. Toteż w pierwszych dniach października, już po zakończeniu prac polowych, zrobiłem z puszki po cukierkach piecyk. Rurę z piecyka wyprowadziłem na zewnątrz przez jeden z segmentów okna. Mieszkaliśmy teraz co prawda sami, ale w piekielnej ciasnocie. W dodatku towarzyszyły nam zza ściany "wieczne" małżeńskie kłótnie - płacz małych dzieci. Pan Kazimierz oczywiście również nie był zadowolony z tego naszego "dokwaterowania". Ale nigdy ani od niego, ani od jego rodziny nie doznaliśmy żadnych przykrości. Wręcz przeciwnie, wiele nam pomagał zwłaszcza w zakresie zaopatrzenia w opał (miał stały dostęp do koni). O wiele gorszą sytuację mieliśmy z sąsiadami mieszkającymi nad nami, którym po prostu przeszkadzałem wydobywający się z naszego piecyka. Byli nawet w tej sprawie z interwencją u samego Chomienkova. Ale on po zapoznaniu się na miejscu z sytuacją orzekł, że wszystko jest w porządku. I na tym sprawa

się skończyła. Zauważyłem nie tylko wówczas, że człowiek radziecki jest wyjątkowo cierpliwy. I jest wyjątkowo odporny na wszelkiego rodzaju niedogodności dnia codziennego.

Dwa tygodnie przed rozpoczęciem żniw, 6 lipca 1945 roku została podpisana umowa polsko-sowiecka. Na jej podstawie powołano Polsko-Sowiecką Komisję Mieszaną do Spraw Ewakuacji Osób Narodowości Polskiej i Żydowskiej. Ale o umowie tej nikt z nas Polaków zamieszkałych w "Industriji" nic nie wiedział. Mało tego od czasu podpisania tej umowy ponownie zaczęły napływać do mamci wezwania i telefonogramy z milicji. Chodziło znowu o przyjęcie obywatelstwa sowieckiego. Ale chętnych wciąż nie było. Więc zaczęto się uciekać do gróźb i szantaży. Mówiono, że jak nie podpiszemy obywatelstwa sowieckiego to wrócimy tam skąd ostanio przyjechaliśmy. Mówiono, że polscy patrioci (przynależność do ZPP) odmawiają pozostania w Związku Sowieckim tylko dlatego, iż po prostu są wrogami narodu sowieckiego. Straszono nas również prokuratorem. Kazano robić pięciominutowe zdjęcia do sowieckich paszportów. I tę gehennę w sposób szczególny - jako przewodnicząca związku - przeżywała mamcia. Prawie dwa-trzy razy w miesiącu. Stale, aż do końca stycznia 1946 roku!

Pod koniec września 1945 roku mamcia "pozbawiona" została "lukratywnej" pracy. Decyzję tę przyjęła z wielką ulgą bowiem wciąż jeszcze nie radziła sobie z parą krnąbrych, nieposłusznych wołów. Mamcię ponownie skierowano do szuflowania pszenicy pozostawionej w "Industriji" na siew. I znowu prawie codziennie, wbrew logice i rozsądkowi, przynosiła w butach kilka garści pszenicy na placki i zacierkę. Teraz przynajmniej nie musiała już się kryć z wytłupywaniem ziarna z butów. Nie musieliśmy się kryć również

z przemiałem. Mieliśmy przecież w najbliższym sąsiedztwie polską rodzinę. Byliśmy nie tylko najbliższymi sąsiadami pana Kazimierza, ale również staliśmy się przyjaciółmi. Pan Kazimierz zawsze potrafił coś uszczknąć, zadekować w pobliskiej od budynku stercie słomy, by w nocy przynieść zdobycze do domu. I tylko dlatego on i jego rodzina, jak na tamtejsze warunki i czasy, żyli zupełnie nieźle. W oleju słonecznikowym, jak mi się wydawało, pływali. Wiadomo mężczyzna. A do tego jeszcze mężczyzna wyjątkowo operatywny, odważny. Mężczyzna, który na co dzień stykał się z najwyższą władzą "Industriji", Chomienkowym. Myślałem nie raz o tym, że gdyby tatuś był razem z nami to on nie potrafiłby być tak operatywnym. Pan Kazimierz nie mógł jednak postępować inaczej. Miał przecież oprócz siebie do wyżywienia sześć gąb...

Któregoś dnia po powrocie z pracy mamcia powiedziała, że w magazynach zbożowych są setki, jeżeli nie tysiące wróbli. Że na te wróble ciągle polują chłopcy procami. Że chwają sobie wróblowe mięso. Poszedłem zobaczyć. Rzeczywiście tak było. Istotnie zastałem tam moich kolegów, przyjaciół, zajętych "wróblowym myślistwem". Wróble zbitym stadem przelatowały jak oszalałe z jednego końca magazynu w drugi. A oni w tę latającą "kupę mięsa" strzelali z proc. Wróble spadały jak nadpsute jabłka z jabłoni. Niekiedy po dwa-trzy wróble za każdym "strzałem". Nie kryli przede mną, że ich mamy gotują z tego mięsiwa smakowite potrawy. "Kule-pociski" robili z traktorowych pierścieni tłokowych.

Postanowiłem i ja popробować szczęścia. Bez żadnych kłopotów zdobyłem odpowiednią gumę. Zrobiłem rogatkę-procę. Koło warsztatów naprawczych, na zwałowisku złomu, pierścieni było ile chcesz. Zrobiłem całą kieszeń "bezkulowych naboí", W "Industriji" były trzy

magazyny zbożowe z materiałem siewnym. W magazynach okna były otwarte. Nie było też dużej konkurencji łowieckiej. Odtąd po każdym takim "polowaniu" przynosiłem do domu od 30 do 50 wróbli. Upolowane wróble oskubywała i patroszyła przeważnie Danką. A mamcia tę górę mięsa gotowała. Wróble były tłuste i rzeczywiście bardzo smaczne. Jedynie mięso było nieco słodkawe. Kilka tygodni później - kiedy spadł śnieg - zauważyłem, że w miejscach, w których wyrzucano śmieci gromadziły się stada wron, srok i wróbli.

Na tych "czarnych miejscach" zastawiałem zmyślne sidła i pułapki. Ptaki te też były smaczne, zaspakajaliśmy zapotrzebowanie organizmu na białko zwierzęce. Urozmaicaliśmy posiłki.

W trzeciej dekadzie października dyrektor szkoły Simakow rozesłał do starszych klas szkoły kurendę. Mówiła ona o tym, że wszyscy chłopcy posiadający uprawnienia zawodowego traktorzysty mają zgłosić się do niego. Istniała bowiem możliwość zdobycia uprawnień kierowcy samochodowego. Tymczasem "na jutro" potrzebuje on trzydziestu traktorzystów w celu wyjazdu do Woroszyłowgradu, po odbiór ciągników amerykańskich. Kto by nie chciał pojechać do miasta? Kto by nie chciał przejechać się traktorem amerykańskim. Określenie amerykański brzmiało zawsze tajemniczo, niekiedy wrogo. Ale może właśnie dlatego nęcąco i zachęcająco. Ponad czterdziestu, nas uczniów, posiadało uprawnienia traktorzysty. I chociaż byłem dopiero kilkudniowym uczniem klasy szóstej to jednak ukończyłem na początku września piętnaście lat. Miałem również spore doświadczenie praktyczne w prowadzeniu traktorów. I to ostatnie chyba przeważało, że "załapałem się" na ten wyjazd. Do Woroszyłowgradu pojechaliśmy półtoratonową ciężarówką. A wraz z nami główny mechanik przedsiębiorstwa i jeszcze dwóch speców od traktorów.

Z tego wyjazdu zapamiętałem, że Woroszyłowgrad był bardzo zniszczony. Że domy przy niektórych ulicach były wypalone. Że prowadzono jakieś roboty budowlane i zabezpieczające. Że w rynku położonym na sporym wzniesieniu nawaliły w samochodzie hamulce. Że omal nie wjechaliśmy w jakąś wystawę. Że samochód w rezultacie zatrzymał się na ścianie wypalonego domu. Że z samochodu zeszliśmy szczęśliwie i bez żadnego szwanku. Zapamiętałem jeszcze, że w rynku stały na wysokich postumentach trzy przedziwne czołgi z okresu I wojny światowej. Naszym celem był dworzec kolejowy.

Toteż gdy dojechaliśmy do niego, zauważyłem, że na wagonach koło rampy kolejowej, w promieniach jesiennego słońca połyskują czerwienią amerykańskie traktory. Były to ciągniki marki "Mackormic" (nie wiem czy zachowuję właściwą pisownię). Pojazdy dziwne, delikatne, wszystkie koła ogumione. Ale rzucał się przede wszystkim w oczy rozstaw przednich kół, które były rozstawione bardzo wąsko. Rozstaw kół mógł wynosić nie więcej niż 50 centymetrów. Traktory, w przeciwieństwie do wszystkich ChTZ, zaopatrzone były w reflektory. A zupełny szok w nas wszystkich wywołał fakt, że ciągniki te można było urochomić za pomocą starteru, a nie korby. Siedziska wygodne i stosunkowo miękkie, niemal tak wygodne jak w ciągnikach gąsienicowych. Szybkość prawie dwukrotnie przewyższała szybkość kołowego ChTZ. Praca silnika była cicha. Nadzwyczaj cicha.

W drodze powrotnej na dłużej zatrzymaliśmy się w naszym Żugano-Stanicznym rejonie. Okazało się, że w tej miejscowości pracuje duży młyn oraz masłobojny zakład, czyli olejarnia. To tu właśnie mieszkańcy "Industriji" jeździli tłoczyć z kradzionych ziaren słonecznika smaczkowy olej. Po dwóch mniej więcej godzinach od momentu postoju wjechaliśmy do "Industriji". I tu między naszymi "drapaczami

chmur" amerykańskie traktory - bez żadnego przecież obciążenia - nie zdały swego pierwszego praktycznego egzaminu. Połowa maszyn ugrzęzła, zakopła się po osie w posiołkowym błocie. Błocie miejscami po kolana. Następnego i kilku następnych dni traktory wypróbowywane były przy orkach oraz przy zbiorze słoneczników kombajnami. Wszędzie czarnoziem, gleba mokra przesiąknięta jesiennymi opadami. Wszystkie amerykańskie traktory zakopywały się w błocie po osie. Zdjęto więc ogumienie. I na modłę rosyjską założono na rafki kół obręcze zaopatrzone w trzy rzędy "kolców". A przy okazji wymontowano rozruszniki i zdemontowano reflektory, założono blokadę na dwa najwyższe biegi, upodobniejąc w ten sposób technikę amerykańską do rosyjskiej. I odtąd wszystko było już w porządku, normalnie...

Jak już wspominałem błocko między "wieżowcami" było niesamowite. Toteż przeprosiłem się z ojcowskimi oficerkami. Trochę je pozszywałem, poklajstrowałem smołą i jako tako ten jesienny błotnisty, "industrijalny" okres przetrwałem. Znacznie gorzej przeżyła go Danka, która zmuszona była paradować w trzewikach przysłanych przez pana Karola Rybczyńskiego z Palestyny. Jak na ironię losu, tu, w "Industriji", czekaliśmy na mróz!

Podobno, zakazany owoc najlepiej smakuje. Chyba tak, a zwłaszcza w okresie dziecięcym i w okresie dorastania. Podczas którejś lekcji raz i drugi szturcha mnie w bok mój kolega, Wołodia Simakow. Daje jakieś tajemnicze, niezrozumiałe znaki. Wyciąga z kieszeni spodni talię kart. I to wszystko na lekcji historii. Lekcją prowadzonej przez dyrektora szkoły, ojca Wołodi, Simakowa Borisa Fiodorowicza. Od razu przypomniałem sobie enkawudzistę Achańkowa z Tulenia. Przypomniałem sobie jak polecił mamci podczas jednej z odpraw produkcyjno-ideologicznych przynieść karty do siedziby NKWD.

Karty, które w jakimś stopniu ratowały naszą rodzinę od śmierci głodowej. Poprosiłem więc Wołodię, tak cicho jak tylko mogłem, by pokazał mi karty do obejrzenia. Były to karty jakieś bardzo dziwne, nie podobne do tych jakimi grali moi rodzice z panią Słonecką w preferansa, czy niekiedy z "dziadkiem" w brydża. Nie były również w niczym podobne do tych kart, które posiadała mamcia na Syberii. Irzekładałem karty ukradkiem pod ławką. I w żaden sposób nie mogłem rozróżnić króla od waleta, waleta od damy. A i nawet blotki były bliźniaczo - przynajmniej dla mnie - do siebie podobne. Miałem nawet wątpliwości czy są to w ogóle karty: Wzruszyłem bezradnie ramionami i szepnąłem, że nie potrafię ich po prostu "odczytywać". Wołodia szeptem odpowiedział, że są to karty niemieckie, zdobyczne, trofiejnyje. Wydawało mi się wówczas, że jest po prostu nieprawdopodobne, że nasz nauczyciel, a do tego jeszcze dyrektor szkoły przywiózł z frontu karty. Że być może nawet grał w karty! Na przerwie - już normalnie - jak to bywa w kindersztubach Wołodia zaproponował mi w "wielkiej tajemnicy", że jeżeli chcę to mogę przyłączyć się do nich do gry w oczko. Powiedziałem, że bardzo chętnie, ale w oczko nigdy dotąd nie grałem.

- To bardzo prosta i bardzo łatwa gra - usłyszałem w odpowiedzi.

Umówiliśmy się, że w godzinę po lekcjach spotkamy się w naszym bloku na strychu. Dodał, że zawoła mnie ( Simakowie mieszkali na parterze pod panem Karczewskim i nami). Po lekcjach, tak szybko jak mogłem, wróciłem do naszego pokoiku i wrzuciłem coś w pośpiechu na "ruszt". Czekałem niecierpliwie na Wołodię. Przyszedł po mnie w ustalonym terminie. Towarzystwo co się zowie zebrało się doborowe: Wołodia ze swoim młodszym bratem Wanią, Kazik



S., Jurek Kurczab i ja. Weszliśmy po drabinie na strych. Zajęliśmy miejsce pod świetlikiem. Oni dość długo targowali się kto będzie trzymać bank. Wreszcie po targach doszli do porozumienia. Wołodia pyta mnie czy mam pieniądze. Pieniądzy przy sobie oczywiście nie miałem. Powiedziałem, że następnym razem przyniosę. A teraz, jeżeli pozwolą, to będę przyglądał się ich grze. Przyglądałem się, a przede wszystkim starałem się uchwycić sens, zasady gry. Starałem się rozszyfrować wartość poszczególnych kart. Niekiedy w banku pula rosła do niewyobrażalnej dla mnie "sterty" banknotów. I tę "stertę" banknotów co jakiś czas upychał po kieszeniach któryś z grających.

Następnego dnia poprosiłem mamcię, by dała mi dwadzieścia rubli. Oczywiście parę godzin później w ciągu kilkunastu minut pieniądze przegrałem. Ciągłe <sup>jeszcze</sup> nie mogłem dać sobie rady z liczeniem tych przedziwnych kart. Ale gra w karty jak narkotyk, jak palenie papierosów wciągała, powodowała chęć wygrania bądź odegrania się. W ciągu kolejnych dni zacząłem podbierać pieniądze z naszego wyjątkowo ubogiego "skarbcza". I po kilku dniach "pożyczoną" kwotę cichaczem oddawałem w całości. A jeszcze później nawet z pewną nadwyżką. Szczęśliwie dla mnie, a przede wszystkim dla całej naszej rodziny karta szła mi znakomicie. Prawie codziennie ogrywałem solidnie swoich karcianych kompanów. Odtąd miałem przy sobie stale dwieście-trzysta rubli. Za wygrane pieniądze kupowałem prawie codziennie na miejscowym targu to kawałek masła lub twarogu, to mleko, to pestki z dyni. I dlatego właśnie, za moją zapobiegliwość, wpadłem jak sztubak. Przyznałem się mamci, że pieniądze, za które kupuję do domu różne produkty żywnościowe pochodzą z wygranych w oczko. Usłyszałem kategoriyczny sprzeciw mamci przeciwko dalszemu zajmowaniu się tym karcianym procederem. Usłyszałem - słyszane później wielok-

rotnie powiedzenie, iż "ojciec bił syna nie za to, że grał w karty, lecz za to, że próbował odegrać się". Groźne. Ostrzegawcze dla mnie słowa. Od tego czasu walczyłem sam z sobą, unikałem moich karcianych kompanów. Swoją nieobecność przy "karcianym stoliku", tłumaczyłem raz tym, że otrzymałem właśnie do naprawy buty Niemki (naszej nauczycielki języka niemieckiego). Innym znowu razem, że otrzymałem do podzelowania walonki. I tak rzeczywiście było, gdyż wkrótce stałem się znanym w "Indusriji" szewczykiem. Szczególnie uwielbiałem przyszywać wołkowe zelówki do walonek. Ale na strych w dalszym ciągu zaglądałem. Karta w dalszym ciągu szła mi wyjątkowo dobrze. Ogrywałem chłopaków do ostatniej suchej nitki.

Któregoś dnia w wielkiej tajemnicy pan Kazimierz Karczewski powiedział mi, że w pobliskiej stercie słomy ukrył dla nas dwa worki ziaren słonecznika. Że dobrze byłoby pojechać z tym majdanem do masłobojni. To pojechać znaczyło dla mnie tyle, że worki te należy włożyć na sanki i zawieźć do olejarni, zaledwie 18 kilometrów w jedną stronę po zaśnieżonych bezdrożach. Poszedłem wtedy i jeszcze kilka razy z pszenicą do młyna i słonecznikiem do olejarni. Wreszcie przestaliśmy być głodni. Nie musieliśmy już nigdy od tego czasu mleć pszenicy na ręcznym młynku własnej roboty.

Boże Narodzenie 1945 roku (oczywiście po lekcjach i po pracy) spędziliśmy wspólnie z rodziną państwa Karczewskich przy suto zastawionym stole blinami smażonymi na słonecznikowym oleju, plackami pszennymi pieczonymi na płycie piecyka, smakowitym rosółu ugotowanym na tuszkach wróbli i wron.

Od 2 stycznia 1946 roku zaczynam uczęszczać - po lekcjach - na kurs dla kierowców samochodowych. Za półtora-dwa miesiące mam zdobyć jeden z najbardziej prestiżowych w tym czasie zawodów kierowcy sa-

mochodowego. Mamcią znowu wzywają na komendę obwodową milicji w Woroszyłowgradzie. Znowu mamią świetlaną przyszłością, za podpisanie obywatelstwa sowieckiego, a gdy to nie skutkuje - ponownie następują pogróżki. Znowu władza grozi prokuratorem.

- A co ma do tego prokurator - nieopatrznie zapytała mamcia.

- A ma i to więcej niż wam się wydaje - usłyszała w odpowiedzi.

Tak czy owak mamcia otrzymała ponownie polecenie przeprowadzenia ogólnego zebrania Polaków.

I jak się okazało kilka dni później, już po odbyciu zebrania przedstawiciel ludowej milicji mógł mieć rację, że zainteresuje się nami prokurator.

A było to tak. Danka jak zwykle to czyniła, kiedy brakowało drewna lub łądyg słonecznikowych na opał poszła po słomę do pobliskiej sterty. Przy okazji dokonała wielkiego odkrycia. Mianowicie koło sterty, w różnych zresztą miejscach, natknęła się na lekko przykrytą słomą dużą ilość pszenicy. Ja natomiast w tym czasie od godziny byłem na strychu. Grałem oczywiście w oczko. W pewnym momencie odszedł od nas Wołodia Simakow. Wysikać się za kominem. Po chwili usłyszeliśmy: - Riebiata, smotritie, skolko sdieś muki.

- Muki? - ktoś z nas zapytał ze zdziwieniem.

- Da, muki! - odpowiedział Wołodia.

Rzeczywiście. I w tym, w którym wskazał nam Wołodia i jeszcze w kilku innych miejscach zobaczyłem rozsypaną mąkę. Było jej, tak na oko, ponad pięć kwintali. Moich pięćdziesiąt rubli powędrowało do kieszeni kolegów. Przerwaliśmy grę. Zaczęliśmy zadawać sobie pytania skąd, kto i dlaczego pozbył się tego cennego produktu. Postanowiliśmy, że mąkę podzielimy solidarnie, po równo. I po prostu zanieśliśmy ją do swoich domów.

Zeszliśmy ze strychu. Poszliśmy do domów po naczynia, worki. Mówię mamci o znalezisku. A ona do mnie, że Danką przed chwilą wróciła ze słomą. Że pod stertą leży sporo porzuconej przez kogoś, a ściślej wyrzuconej pszenicy.

- Danką właśnie poszła po nią, by przynieść trochę, bym nie musiała narażać się codziennie, i nosić ją w cholewach butów.

Wyleciałem z pokoju jak oparzony omal nie przewracając, mając zamiar wejść do naszego "apartamentu" panią Karczewską z dzieckiem na rękach. Dopadłem Dankę w pół drogi od sterty słomy, która dźwigała prawie całe wiadro pszenicy. Rozgarnąłem nogą zaspę śniegu i nic nie mówiąc pszenicę wysypałem. Dopiero później powiedziałem siostrze, że jeżeli już brać to lepiej mąkę, której na strychu jest pełno.

Po powrocie do mieszkania zapytałem mamcię co chciała pani Karczewska. Pytanie to było o tyle uzasadnione, że pani Karczewska bardzo rzadko składała nam "wizyty".

Pani Karczewska chce dać nam olej słonecznikowy. Mają widocznie jego nadmiar - ze zdziwieniem powiedziała mamcia.

Usiadłem na kufrze, moim łóżku, oparłem łokcie o kolana, dłońmi chwyciłem się za głowę. Myślałem. Myślałem tak intensywnie, że zdawało mi się, iż głowa pęknie, a oczy wyjdą z orbit.

Mąka na strychu, dużo mąki; pszenica pod stertą słomy, obywatelstwo sowieckie (o straszaniu prokuratorem dowiedziałem się od mamci dopiero po powrocie do kraju), pani Karczewska ze swoim nadmiarem oleju, Fiokła Nikiticzna i jeszcze... Nie, to wszystko nie ma żadnego sensu. A może jednak! Aha, do tego jeszcze dochodzi ta dziwna, operetkowa pokazucha nad kobietami, które przecież "zafasowały po piątku". Kobietami, które być może teraz mieszkają w tu-

leńskich barakach.

Proszę Dankę, by przyniosła wodę. Nie, mówię, może lepiej śniegu. Ze śniegu też będzie za kilkanaście minut woda. I do tego bez żadnego wysiłku. Po wyjściu Danki (młode, głupie dziewczę, by czegoś nie chlapnęła komuś przypadkowo), już w cztery oczy dzielę się z mamcią swoimi niepokojami, podejrzeniami związanymi z tą niespotykaną dotąd sytuacją: mączno-olejowo-zbożowo-sądową. Doszliśmy szybko do wspólnego wniosku, że wszystko co może wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenie, tzn. olej i mąkę, a przede wszystkim pszenicę, którą zapełniony był siennik - zamiast słomy - należy po zapadnięciu ciemności wynieść z domu.

A tu na to wpada Wołodia i pyta, dlaczego nie zabieram swojej do li mąki. Mówię mu, że mąki brać nie będą. Ponadto, dodaję, nie wiem co ma znaczyć cała kupa wysypanej pod stertą słomy pszenicy.

- Da, eto diejstwitielno podozritielno - słyszę w odpowiedzi.

- Pewnie, że podejrzane. Coś się niewątpliwie szykuje. Ale co i kiedy to ja naprawdę nie wiem - mówię.

-A ja pojdu posowietowat'sa otca.

Idź, myślę sobie. I prędko nie wracaj. Tobie i twojemu ojcu, inwalidzie wojennemu i do tego jeszcze sekretarzowi partyjnej ja-  
czejki krzywdy nikt nie zrobi. Jednak Wołodia wrócił. Powiedział, że ojciec zakazał mu znoszenia do domu mąki niewiadomego pochodzenia. I ojciec powiedział jeszcze, że to samo radzi innym... Na takie dictum poprosiłem więc Wołodię, by poszedł do Kazika S., że mąki narazie ze strychu ruszać nie będziemy. Ale do tych moich dyspozycji włączyła się mamcia, mówiąc, że właśnie wybiera się do Staszka S. i o mojej prośbie powie Kazikowi sama. Później Staszek S. uprzedził wszystkich Polaków o grożącym nam ewentualnym niebez-

pieczeństwie...

Po zapadnięciu ciemności olej w bańce, mąkę w worku ukryłem w oddalonej od naszego budynku zaspie. Około pięciu wiader pszenicy z siennika wysypaliśmy koło sterty słomy. Siennik - tak jak powinno być w cywilizowanym świecie - nabiliśmy słoną. Około godziny dziesiątej byliśmy "czyści", byliśmy przygotowani do przyjęcia nieproszonych gości. Mniej więcej godzinę później wrócił pan Kazimierz. Bez ogródek powiedział, że prawdopodobnie jutro odbędzie się w domach rewizja... Powiedział również, że wszystko co jest trefne należy ukryć...

Pan Kazimierz długo w noc pracował ze swoimi synami. Pospieszyliśmy się. Bowiem następnego dnia piętnastoosobowa grupa milicyjno-prokuratorsko-społeczniowska utknęła w zaspach pod Staniczno-Lugańskiem. Przyjechała dopiero następnego dnia. Przeprowadzono wyrywkową rewizję w mieszkaniach rosyjskich i ukraińskich, a dość szczegółową w polskich. U Polaków nic nie znaleziono. Aresztowano zaledwie cztery Rosjanki, czy też Ukrainki...

Cztery, a może pięć dni po sławetnej rewizji otrzymaliśmy dwa listy od ojca. Jeden z tych listów adresowany był do mamci, drugi do Danki i do mnie. Tatuś ciągle był w wojsku. Był cały i zdrowy. Czekał na zdemobilizowanie. Czekał na nas.

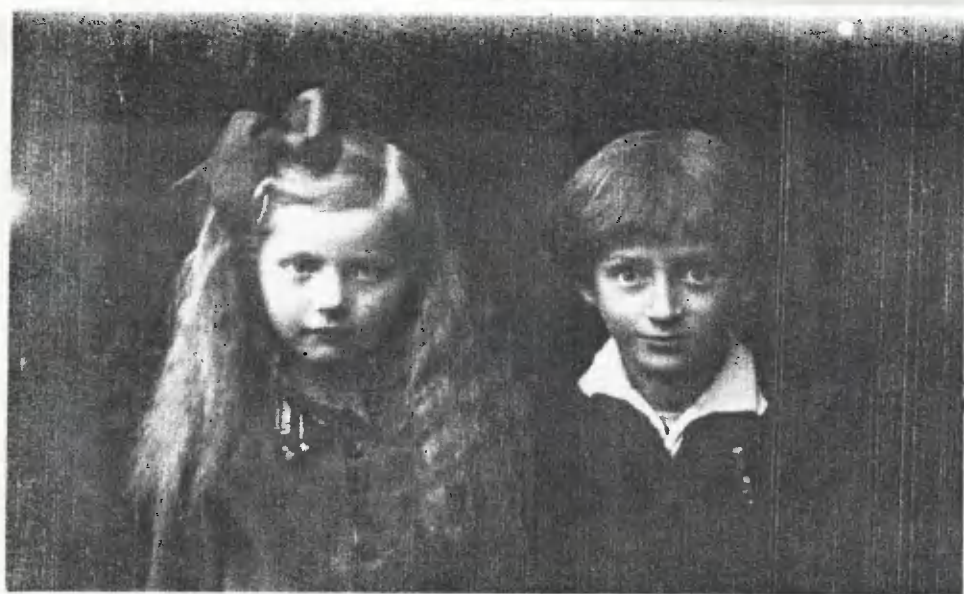
Kilka dni po tej radosnej wiadomości, 28 stycznia 1946 roku mamcia otrzymała telefonogram z Woroszyłowgradu. Wróciła następnego dnia późno w nocy. Mamcia przywiozła dla wszystkich Polaków zaświadczenia repatriacyjne. Zaświadczenia te były dwuczęściowe i dwujęzyczne. Pośrodku prawie niedostrzegalnie perforowane. Lewa strona druku rosyjskojęzyczna, prawa polskojęzyczna. Połówka rosyjskojęzyczna zaświadczenia została oddarta przed przekroczeniem granicy w

Chełmie w połowie marca 1946 roku. I być może do dnia dzisiejszego przechowywana jest w archiwach KGB. Część polskojęzyczna dokumentu leży przede mną dzisiaj, tj. 27 grudnia 1993 roku. Jest ona wypłowiała, zniszczona, miejscami mało czytelna. Te obydwie połówki dokumentu zarejestrowane pod numerem 16029 otwierały nam drogę do Wolności. Do życia wśród swoich. Do Polski. Zaś po tym, co przeżyliśmy pozostała pamięć. Syberia wryta w pamięć dziecka.

Wrocław, sierpień-grudzień 1993 rok



Miałem przed sobą jeszcze ponad 9 lat dzieciństwa, a mamcia ogrom pracy matki i żony. Foto: J. Załuski, Czortków, 1931 rok.



Mieliśmy przed sobą jeszcze ponad rok dzieciństwa. Po lewej siostra Danusia, po prawej autor wspomnień. Zdjęcie wykonał J. Załuski - mój ojciec chrzestny.- w sierpniu 1938 roku w Czortkowie.





Spośród 45-ciu dzieci, które rozpoczynały naukę w Tuleniu we wrześniu 1940 roku pozostało nas, Polaków 18-cie osób. W pierwszym rzędzie: trzecia od lewej siostra Danusia, drugi od prawej Józek Izbiński, trzeci autor wspomnień. W drugim rzędzie: czwarty od prawej nasz rosyjski kolega-pionier, czwarty od lewej nasz nauczyciel Głuszenkow. W trzecim rzędzie: drugi i trzeci od prawej to rosyjscy koledzy-pionierzy.

Zdjęcie wykonał wędrowny fotograf we wrześniu 1941 roku w Tuleniu.

24 grudnia

НИ РАБОЧИИ

## БЕСЕДА ген. СИКОРСКОГО С ПРЕДСТАВИТЕЛЯМИ ПЕЧАТИ

ТЕГЕРАН, 19 декабря. (ТАСС). Прибывший в Тегеран ген. Сикорский в беседе с иностранными корреспондентами заявил, что он весьма удовлетворен поездкой в СССР, где он пробыл 3 недели и имел встречу со Сталиным, во время которой был решен вопрос об участии в войне польской армии. Сформированная большая польская армия, состоящая из нескольких дивизий, будет сражаться в качестве самостоятельной военной единицы. Совместно с Вышинским, заявил Сикорский, я посетил три польских дивизии, моральное состояние которых прекрасное. По приказу Сталина все польские граждане сейчас освобождены, и из дальних пунктов поляки будут переведены в южные районы СССР, где им будут созданы надлежащие условия. Советские власти заверили меня, указал Сикорский, что польским солдатам, согласно Конвентии СССР, будет предоставлена полная свобода вероисповедания. Сталин проявил за меня впечатление большого realisma и великого государственного деятеля. Отношение советского народа к польским гражданам дружественное, поль-

ско-советская декларация произвела на советский народ огромное впечатление.

Отвечая на вопросы корреспондентов, как он оценивает успехи Красной Армии в последние дни, Сикорский заявил: «Все, что опубликовано в печати об этом походе, полностью соответствует действительности. Советские войска не только остановили продвижение немцев, но и отбросили их. Наиболее важным из направлений я считаю Ростов, где полностью разгромлена армия Клейста, и Московский участок, где достигнуты победы большого стратегического значения. Ленинград, Москва и Кавказ находятся сейчас в полной безопасности. Сталин сказал мне, что немецкие солдаты похожи сейчас на солдат Наполеона при их отступлении из России. Положение немцев тем более безнадежно, что у них нет поблизости никаких резервов. Однако нельзя думать, что война кончится этой зимой. Надо быть готовыми к новым атакам немцев в начале будущего года. Я полагаю, что польская армия примет активное участие в этом наступлении Красной Армии».

Wycinek z dziennika "Krasnojarskij Raboczij" z dnia 24 grudnia 1941 roku. U góry dzień i miesiąc napisany ręką mamci.

спедусь Влогувреск (Влогувреск) Красноярский Край	Fedus Włodzimierz
Алтайский р-н.	Красноярский Край
пос. Тиллин	Алаунский р-н
Служба Ан. Леśневск 42, Бен-Зехуда стр.	пос. Тиллин
	Tel-Aviv Palestina

Prócienny adresowy fragment opakowania paczki odzieżowo-żywnościowej otrzymanej przez tatusia w Tuleniu od byłego tuleńskiego Sybiraka, który miał to szczęście, iż wywiózł swoją rodzinę do Uzbekistanu, a później na Zachód. Paczka została wysłana z Palestyny przez pana Antoniego Leśniewskiego.

B. Z. D. Y.C.  
Y. D. 210.

Te tajemne litery miały strzec tatusia przed wszelkimi wojennymi i codziennymi nieszczęściami.



# ПОХВАЛЬНАЯ ГРАМОТА

Выдана ученику 4-го класса Шегаметской школы  
п. Шегамет села, города, уезда и урочища области Ташевского р-на Красноярского к.  
Федусь сбавкина и т.д. Збигневу Владимировичу  
ЗА ОТЛИЧНЫЕ УСПЕХИ И ПРИМЕРНОЕ ПОВЕДЕНИЕ

п. Шегамет

М П

М. Соколова  
Директор школы

25/12 - 1943

Учитель Соколова

№ 1



Dyplom pochwalny, którego zażyczył mi moi sowyiecsy koleczy.

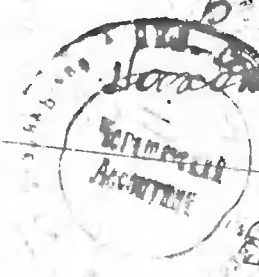


Syberyjskie przyjaciółki naszej rodziny. Po lewej pilot samolotu ko-2 Marusia Buk ze swoją siostrą również pilotem samolotu.



Po prawej Fiołka Iwanowa Kurlakowa ze swoją koleżanką Karpową, dla których podobnie jak dla sióstr Buk - mamcia haftowała, szydełkowała...

справка  
Дана средь Владимиру  
Уварову в том что он  
действительно работав  
на лесашетском узе в лесном  
приемном леса с 1940 г. по  
14 марта 1944 года.  
В настоящее время  
находится в рядах РККА.  
Нач узн [Signature]  
Генер. Секунд [Signature]




Zaświadczenie wydane mamci , potwierdzające, że tatuś pracował w czegaszetskim lesopunkcie w charakterze prijomszczika lesa od 1940 do 14 marca 1944 roku. Obecnie zaś służy w szeregach RKKA!?.

Справка

Дана передь Ваверши  
 Стенасовиче в том что  
 она действительно проживала  
 и работала на Зегашетском узезде  
 с 1940 г. по 19 августа 1944 года.

Дир. уз. Т. Шумилов  
 Дир. Зегашет



Zaświadczenie o zatrudnieniu i zamieszkaniu matki. Dokument wydał Głuszenkow - naczelnik lesopunktu w Tuleniu i Czegaszecie - dnia 19 sierpnia 1944 roku., tj. w dniu naszego wyjazdu do Polski.



Na pamięć  
 Kochanemu Ta-  
 tusiowi.  
 z Łaniska  
 9 września 1944  
 od Zbysia.

Zdjęcie autora wspomnień wykonane w pierwszych dniach września 1944 roku w Kańsku z dedykacją dla tatusia, przebywającego "gdzieś" na froncie.





Zarząd Główny  
Związku Patriotów Polskich w ZSRR

Wydział Opieki Społecznej  
ul. Puszczyńska 5  
tel. \_\_\_\_\_

Главное Правление  
Союза Польских Патриотов  
в СССР

ОТДЕЛ ОБЩЕСТВЕННОЙ РАБОТЫ

13/1  
№ 192/44  
ул. Пушечная 5

1944

Szanowny Obywatelu!

W odpowiedzi na Wasz list z dnia 8.XII.44 r. komunikujemy, że Opieka Społeczna przy Głównym Zarządzie ZPP w Moskwie przyjąć z pomocą Waszej rodzinie narazie nie może, gdyż w obecnej chwili nie dysponuje żadnymi zasobami materialnymi i pieniężnymi.

Mamy nadzieję, w najbliższym czasie otrzymać pewną ilość odzieży i żywności, gdyż w tym kierunku czynione są starania, po otrzymaniu których będziemy mogli okazać pomoc Waszej rodzinie.

Obecnie zaś zwracamy się do odnosnego Rajispolkomu z prośbą o okazanie pomocy Waszej rodzinie.

P.O. Kierownika  
Wydziału Opieki Społecznej  
Zarządu Głównego ZPP w ZSRR

*J. S. S. S.*

Odpowiedź na list tatusia skierowany z frontu do Wydziału Opieki Społecznej przy Zarządzie Głównym Związku Patriotów Polskich w Moskwie.

Związek Patriotów Polskich w ZSRR

Wydział Wojskowy

ul.  
tel.

Генеральное Управление  
Служба Польских Патриотов

ВОЙСЬКО-ПОДСИТЕЛНИК

16

III

1254/a

DO

OB. FEDUS WALERJI

W odpowiedzi na Wasz list z 19/II-45 Wydział  
Wojskowy zwrócił się Sztabowi Polskiego Wojska i do  
d-cy jednostki p.p. 55503-K o adres Waszego męża.  
Natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi zawiado-  
mimy Was. W sprawie udzielenia Wam pomocy materjal-  
nej zwróciliśmy się do stanicznego Kajsowietu i  
tem proszę zwrócić się o pomoc powołując się na nasz  
list.

Kierownik  
Sekcji Pomocy Rodzinom  
i Inwalidom Wojskowym Wydziału  
Wojskowego ZPP w ZSRR

*[Signature]*  
/HECHT-Kpt./

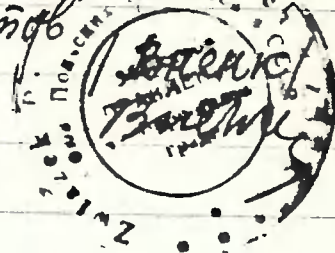
Odpowiedź na list mamci skierowany do Sekcji Pomocy Rodzinom  
i Inwalidom Wojskowym Wydziału Wojskowego przy Zarządzie Głównym  
Związku Patriotów Polskich w ZSRR.

Удостоверение

Дано Областным Правлением Союза Польских Патриотов в Ворошиловграде в том, что г-р Федусь Валерия действительно являлся Председателем Кружка Союза Польских Патриотов в з/совхозе, "Индустрия"

Председатель Областного Представительства  
Союза Польских Патриотов

25 августа 1945г.



Zaświadczenie potwierdzające, że mamcia rzeczywiście była przewodniczącą ZFP w "Industriji"

ФЕДУСЪ ВАЛЕРИЯ.  
ВОРОШИЛОВО-  
ГРАДСКАЯ. ОБЛ.  
ЛУГАНО-  
СТАНИЦНИИ РИ.  
ЗЕРНО-СОВХОЗ  
ИНДУСТРИЯ.

USSR  
FEDUS WALERIA  
WOROSHILOWO-  
GRADSKAYA, OBL.  
LUGANO-  
STANITCHNYI RN.  
ZERNO-SOVKHO  
INDUSTRYA.

SENDER: RYBCZYŃSKI KAROL;

JAFFA I CASANOVA

PALESTINE

Zachowana w archiwum domowym adresowa część opakowania paczki,  
którą otrzymaliśmy w "Indusriji" od nieznanego dobroczyńcy pana  
Karola Rybczyńskiego

d. 9. IV. 1745 r.

Kochany Mój Władziu! Dni 2 18. III. ałam  
małam całujemy Cię serdecznie za wiadomości  
o sobie, słyszmy rzucić i ja wody tyle oni wyfi-  
łom ile też wylalam za pomocą czasu 3<sup>ty</sup> oni  
suey i od Ciebie Kochany listu me małam.  
Dzisiaj Małce Najświętszej i ma Ciebie i  
Swojej świętej Apieci w Teresie, łom samom  
małam iype uśmiechając się zchoję jilera i  
małam uśmiechając się i, ołko ma się.  
Kochany Mój Apieci, jol amy łechamny  
za jilera Ty me czujisz tego jol ma on me spaw  
obowiazek i tworzą ołech i zgrzytania ulny  
małam rodzinę ma małam i rowe jony jony fi-  
xycnej. Łbyno bardzo podupada ma małam  
wygląda jol cum warunku słom ma. Wyco  
me ma dostalam o ma jednego z Teresie ma  
łom wyjda małam ma ma ogrody łma  
sadem łelaj: Władziu porad małam co ja  
małam robic z mieszkaniami w jednym  
mieszkaniami z ołech łol ma i le i opisać

Kserokopia jednego z licznych przechowywanych w "domowym archi-  
wum" listów napisanych przez mamcię do tatusia. Dalszy ciąg listu:  
patrz str. 227.

chodzilam o Gosuberkicuma w tej sprawie  
i tu jej prosiatolom wysylkich dyrektora  
i nie mu pomaga. Ty tylko moze zrobic  
ulge Wladumienu ze li moze to prosię cie  
poszlij nam posydzę ci na bieliemę, wysy  
cy tu co miesiaca dostaję posytki, o to byś  
dla mnie pomoe. Tu pomoej radnej one  
dostajemy. Na twoje listy do Moskwy dosta  
lom z Gosuberk. 150 rub. i to wysyła. Ja  
obecnie prosię na zgradach jaimym tma  
pucholę chodzi 8 km. idę na celi druzi.  
Słaba piola przy lišov Lotusey one odpiusz  
Słomcha prowadzobomni u moła. w Bron  
kome Wladumienii napisz do Guini i ja  
list i 10 rub i pobier ołmy moła listy do niej  
one idę wrociły się one ziom d lauzga.  
Porolom unas one nowego- Prosimy ty  
pisi do nas zezwiej jak dawniej. Porana  
mamny ty serdecznie moimo moimo co tu  
jomy o Dwidia spoyolmi co tyi swoga ta  
kusa i była ty kiedy z Wolunim spoi. Pranie  
M

Командир воинов  
 удостоверение  
 Дано настоящее тов. Федусь  
 Валери в том, что она  
 действительно командирует  
 в то год Воросыловград, на кондре-  
 реиюю для микшию.  
 Что удостоверение  
 Директор  
 Зле. Мидустри С. С. Т. Старицкий

Zaświadczenie-przepustka potwierdzająca, że mamcia delegowa-  
 na jest do Woroszyłowgradu na konferencję w obwodowej siedzibie  
 milicji



Zdjęcie wykonane w Woroszyłow-  
 gradzie podczas odbioru amery-  
 kańskich traktorów w październi-  
 niku 1945 roku.

20 lipca 1945 r.

Do  
Dowódcy Plutonu Powst. Polowej 55503/H.

Zwracam się z gorącą prośbą o  
łaskawe dozwieszenie mi w jaki sposób ma  
gę doznadzić się o istnieniu Njego męża  
Władysława Fedusia urodzonego 1901 roku  
w Inołopolu woj. Gorzowski pow. Suwów. W ca-  
ści powrotu z za Berlina z frontu do Polski  
anielskim listem przesłany 29 maja, obejmując  
zwracam prośbę powrotu do nich. Da tego  
czasu otrzymałem moich kilkakrotnie listów  
mi moim odpowiedziemi ani też przekazywałem  
listów. Po przebyciu półtora rocznie-  
mości w pierwszym liście z frontu Warszawa - Berlin  
został żywy i zdrowy co obecnie po powrocie  
z wyjątkiem do kraju powodem jego śmierci  
nie. Proszę łaskawie sprawdzić moją prośbę  
nie zostawić bez odpowiedzi i dozwieszenie mi gę  
przezwyciężać chęć skroczony rozpoznać słone  
skromną sy. Inołostwoz tego życia, dzień  
zostaną surowośćmi.

Zachowana kopia listu wysłanego do dowódcy tatusia. Dalszy ciąg  
listu: patrz str. 230.



Доступом остальной информации на год 1945  
выдается 24 мая 1945 г. № 1197. писателю и лицам  
и семье их семье. - Также не просы ознакоми  
они с тем же тем же. - Явно слово  
и т.д.

Тем же

Воронинская административная  
Строко Етохивский р. и  
эп. "Индустрия" среди Воронин

Воинское

Смерть немецким оккупантам

ПОСЛАНИЕ  
1945  
125657

Куда *Дорошиловградская область*

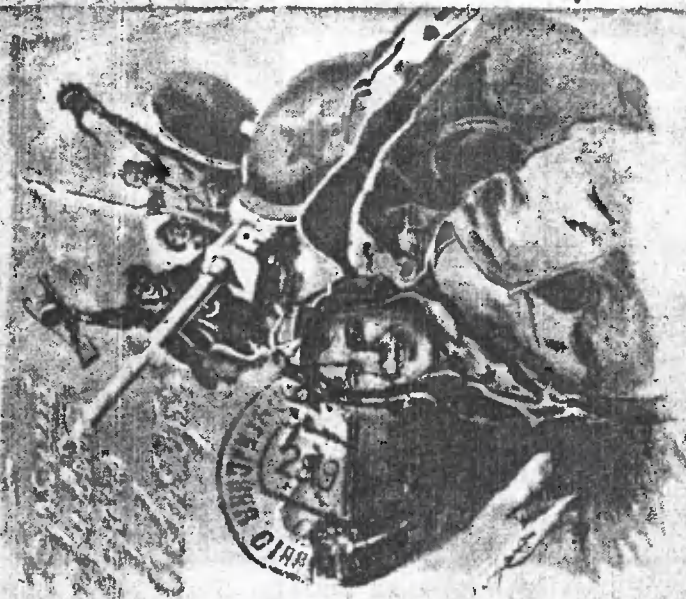
*Душанно Сталинский район 7-й полк 7-й армии Индустрия*

Кому *Зоеде Зобилев и Зануя*

Обратный адрес: Полевая почта № *55503 Н.*

*Зоеде Владислав Якович*

(имя, отчество и фамилия отправителя)



Г 532586. Воениздат НКО. По заказу Военкинижторга. Телогр. газ. "Правда" Зам. 2285. Цена 8 коп.

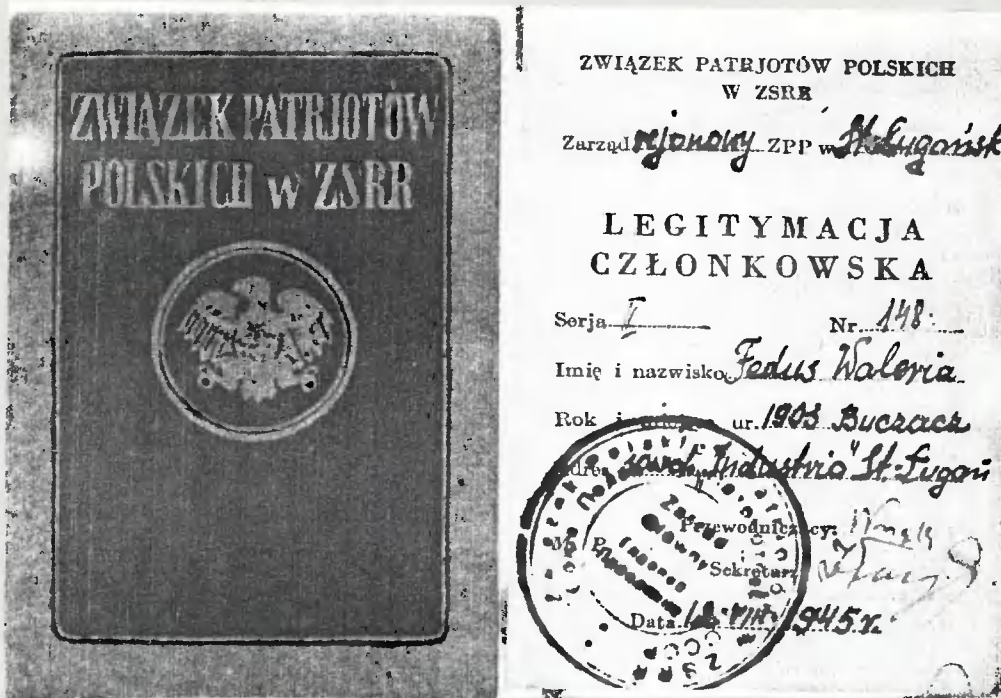
Strona adresowa "wojennego" listu otrzymanego od tatusia w ziemnosowchozie "Industrija". Na odwrocie treść listu.



233

to jest krapka a onowa, Niby obciwaj obciwaj i moterki  
le oni wiadomo wiedaj. Wygada oni cyklurowy, ale ona  
stolowaj konfocary obwodowej powieszli onowi za  
omiesic a onowi ze rok ziarno tu obokono ona okat  
lekarz onowj ona gawbiuwa arowo idac, pracy 4 hl.  
u kogo onyicyzono a doomu. To 1419 dobow a ony  
besilne bolki z obowozem na swietni besiloni. Zbycio  
shonowyl 5 hl. z dobowm spozyle pom i jui omiesic  
do pracy jutowo idaci piewozny onowi rok ony 1990 idc  
jizem z choroby ony poprozid sij tolu chudy jch uini  
oni onowi onowy Ina pracowai Zbycio ma kowacz ona  
koscilic ziarna na koniach a polom ona troch loze.

Donusia Kochone dziecko pomagaj co onowi to onowi  
prawa ofka i w doomu pracuje i ona agrodnie woda  
po 2 km. drowo i i.d. obciwaj ony ona zaid onow  
szkolę stowila i by Bog dopomogł ona m bielei  
dowolac sij to mofrowimny broli. Do Stely i ja  
onowoloon i Inol onilho s'owina nigdy ony onowy  
spora rownicus zastoi, lekarz krowy spowadala crowsacty  
Gicnie ony kowu Cugowit rowpuye onowj listooni  
ad kowuwoi mi onicnie sij zlowku potowiu. ad  
Cuebe potowu ady mowu y ale to onolo ona jedu  
Tewol list kow 5-6. tyke onowj powejim onowj Gic  
Wladumnie crowsy do onow i powjeradaj crowsy na  
wlop chyla mowu li sij po kowu. - Zbycio jui  
zawowu. Inowno liy laluyimny i serawowu crowsy  
mowdleglaci kowowajca liy calem serawem rowuine  
w



Okładka i pierwsza strona legitymacji członkowskiej Związku Patriotów Polskich.



Zaświadczenie o zatrudnieniu matki (14.11.44 - 01.02.46 r.) w ziarnosowchozie "Industria". Dokument podpisał Shomienkow.



Najdroższej Jolce  
i Kochanej Dziadku  
ofiarowałam na pamią-  
tkę  
Zbigniew Was  
6. V 1945 r. Wiedeń

Zdjęcie tatusia wykonane w Berlinie w maju 1945 roku i dedykacja.



Od lewej pani Helena Słonecka, mancia z wnuczką Jolą (córką Danki), żona Elżbieta z naszą córką Grażyną. Wilga koło Warszawy, 1960 rok. Foto: Zbigniew Fedus.

**POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA  
DO SPRAW EWAKUACJI**

osób narodowości polskiej i żydowskiej  
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

**ZASWIADCZENIE № ДЭ 16029**

Ob. *Jedus - Doiokubna*

*Walerji*

*Stapanowice*

zamieszkały (a) w *Staniczno-Luzc*

*skiego rejonu Włodzkiego*

*grodzkiego obwodu*

udaje się wraz z członkami swej rodziny

*syn Zbigniewa 19.3 roku*

*córka Danuta 19. roku*

na stały pobyt do Polski na podstawie Umowy  
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

Pełnomocnik Polskiej Delegacji

miasto

*Włodzisław*  
*29* 1946 r.



... ta polskojęzyczna połówka doku-  
mentu zarejestrowana pod numerem  
16029 otwierała nam drogę do Wolności,  
Do życia wśród swoich. Do Polski.

ZAŚWIADCZENIE

022722/U-5567/91  
FEDUS

(Nazwisko)  
ZBIGNIEW-BRONISŁAW

(Imiona)  
03.09.1930r Medwadowice  
(Data i miejsce urodzenia)



Udzielono do:  
10% świadczeń  
PKF i PPS w w.  
50% zniżki

*Wojty*

podpis posiadacza zaświadczenia



URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW  
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

Niniejsze zaświadczenie uprawnia do ulg i świadczeń określonych w ustawie z dnia 24 stycznia 1991r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. nr 17 poz 75).

1991.09.23  
Data

DYREKTOR  
m.p. *[Signature]*  
Podpis  
*Brach*

Zaświadczenie kombatanckie autora wspomnień: Syberia wryta w pamięć dziecka.

© ARCHIWUM WSKHOONIE

II/2149/P